Jan Skalik

Mała ojczyzna

Opowiadania o ziemi radomskiej i jej mieszkańcach

Wydawnictwo Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

Mała ojczyzna

Opowiadania o ziemi radomskiej i jej mieszkańcach

Jan Skalik

Mała ojczyzna

Opowiadania o ziemi radomskiej i jej mieszkańcach

Wydawnictwo Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu
Wrocław 2021

Mojej żonie Halinie

SPIS TREŚCI

Od autora 9

1. Nostalgia 11
2. Moja mała ojczyzna 17
3. Wsi spokojna, wsi wesoła 40
4. Inny świat 61
5. Dom rozbitków 94
6. Ocaleni z popiołów 117
7. Misjonarze 123
8. Bogowie 151
9. Pasterze dusz 159

Indeks nazwisk 173

OD AUTORA

Coś, co się wydarza,
a nie zostaje wypowiedziane, przestaje istnieć i umiera

Olga Tokarczuk

Inspiracją do napisania tej książki było opublikowanie w 2013 roku przez Wydawnictwo Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu zbioru wspomnień mojego autorstwa opatrzonych intrygującym tytułem „Podróże w przeszłość". W książce tej opisałem nie tylko drogę mojego naukowego rozwoju, ale również dzieciństwo i wczesną młodość spędzone na ziemi radomskiej. Nostalgiczne wspomnienia zawarte w jej pierwszej części, zatytułowanej „Okres radomski", stały się przedmiotem szczególnego zainteresowania czytelników, co zostało potwierdzone szybkim wyczerpaniem się nakładu. Mają one charakter bardzo osobisty, powstały bowiem pod wpływem dużego zaangażowania emocjonalnego ich autora i jego więzi z rodzinnymi stronami. Niewiele osób obecnie zamieszkujących w mojej małej ojczyźnie, którą jest ziemia radomska, miało możliwość zapoznania się z treścią książki. Dlatego też, wychodząc naprzeciw oczekiwaniom potencjalnych czytelników oraz biorąc sobie do serca zacytowaną przestrogę naszej noblistki Olgi Tokarczuk, postanowiłem w dziewięciu opowiadaniach przedstawić swoje przeżycia z lat 1943-1962, które były ściśle związane z Radomiem i okolicznymi miejscowościami w czasach realnego, siermiężnego socjalizmu. Wiedziony ogromnym uczuciem i mocnym przywiązaniem do rodzinnych stron, w swoich opowieściach przedstawiłem nie tylko wybitne postacie mojej małej ojczyzny, które w mrocznych czasach niemieckiej okupacji i powojennej rzeczywistości wykazały się ogromną odwagą i patriotycznym zaangażowaniem, ale również zwykłych ludzi, bohaterów dnia codziennego, próbujących odnaleźć się w systemie ludowej demokracji. Z oczywistych względów nie byłem w stanie przedstawić zasług wszystkich wybitnych mieszkańców ziemi radomskiej. Ograniczyłem się tylko do tych osób, z którymi zetknąłem się osobiście lub o ich zasługach dowiedziałem się od członków mojej najbliższej rodziny i od znajomych. Przywiązanie do przeszłości nie jest charakterystyczne dla współczesnych czasów. Liczy się teraźniejszość, ale przede wszystkim przyszłość, a w niej materialny sukces i wszechobecny konsumpcjonizm. W maratońskim biegu do złudnego szczęścia i wymarzonego dobrobytu warto czasem się zatrzymać, dostrzec

innych ludzi, obejrzeć się, aby uświadomić sobie, jak trudne i złożone są nasza historia oraz losy Polaków, którzy pragnęli wolności i godnego życia. Wielu z nich spotkałem, żyjąc na ziemi radomskiej. Byli oni dla mnie wzorcami w drodze do skromnego sukcesu zawodowego. Mam nadzieję, że większość pozytywnych bohaterów opowieści zamieszczonych w tej książce oraz ich zasługi dla Polski i ziemi radomskiej staną się źródłem twórczej refleksji nad sensem pielęgnowania pamięci o ludziach, którzy swoją pracą i patriotycznymi postawami stworzyli fundamenty rozwoju i pomyślności mojej małej ojczyzny.

W trosce o zapewnienie autentyczności wspomnień zawartych w tej książce zamieszczone zostały dodatkowo zdjęcia przedstawiające opisane wydarzenia i ich bohaterów oraz artefakty fizyczne z nimi związane. Oddają one atmosferę szarej rzeczywistości powojennych lat i utrwalają pamięć o ludziach zasłużonych dla ziemi radomskiej. Spełnienie moich oczekiwań w kwestii zgromadzenia satysfakcjonującej dokumentacji opisywanych zdarzeń było możliwe dzięki pomocy wielu instytucji i osób prywatnych, które udostępniły mi zdjęcia. W związku z tym pragnę gorąco podziękować za okazaną pomoc: pani mgr Beacie Drozdowskiej – dyrektorce Radomskiego Klubu Środowisk Twórczych i Galerii „Łaźnia", pani mgr Elżbiecie Kumiędze – dyrektorce Publicznej Szkoły Podstawowej w Cerekwi, panu prof. Tadeuszowi Lubelskiemu, pani mgr Zofii Maj – dyrektorce Gminnej Biblioteki Publicznej w Zakrzewie, pani prof. Janinie Noskowej, ks. Edwardowi Poniewierskiemu – Kanclerzowi Kurii Radomskiej, panu mgr. Leszkowi Ruszczykowi – dyrektorowi Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, panu mgr. Krzysztofowi Skarżyckiemu z Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, artyście fotografikowi Wojciechowi Stanowi, panu dr. nauk med. Wojciechowi Szafrańskiemu, pani redaktor Natalii Wolskiej – sekretarzowi redakcji w Wydawnictwie „Arkady", panu mgr. Dariuszowi Żytnickiemu – dyrektorowi II Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej w Radomiu.

1

NOSTALGIA

Nostalgia jest wyrazem tęsknoty za czymś, co przeminęło i stanowiło dla nas cenną wartość. Jest związana z nieubłaganym upływem czasu. Pobudza do refleksji i skłania do przywołania obrazów z przeszłości, które trwale zapisały się w naszej pamięci. Treść tych obrazów może być bogata i różnorodna, tak jak różnorodne są nasze doznania, preferowane wartości i oczekiwania. Wśród wielu obrazów, które zabrała mi przeszłość, jest obraz ukochanego miasta Radomia. Formalnie nie byłem jego rodowitym mieszkańcem, urodziłem się bowiem w Pionkach, a po zakończeniu wojny wraz z rodzicami zamieszkałem w Milejowicach, wsi odległej zaledwie 2 km od granic Radomia. Obiekt mojej tęsknoty był jednak miejscem, w którym urodziła się moja mama, gdzie całe dorosłe życie spędzili moi dziadkowie, a ja sam chodziłem tam do szkoły i korzystałem z dobrodziejstw obiektów kultury, których w powojennych czasach było niemało w mieście położonym nad rzeką Mleczną. Uczucie nostalgii, które zrodziło się u mnie w 1962 roku, po opuszczeniu rodzinnych stron i wyjeździe do Wrocławia na studia, trwa i trwać będzie do końca moich dni. Dla wielu tęsknota za czymś przeszłym jest zjawiskiem negatywnym, destrukcyjnym. Dla mnie jest jednak źródłem twórczej inspiracji, której efektem jest zbiór zawartych w tej książce opowieści o ukochanym mieście i ludziach, z którymi zetknąłem się w latach szarej powojennej rzeczywistości, widzianej oczami dziecka, a następnie dorastającego młodzieńca. W moim przypadku nostalgia stała się współtwórcą obrazów, które utrwaliły się w mojej pamięci i mogą zainteresować tych, którym bliska jest idea małych ojczyzn, tak bardzo eksponowana w niemieckiej kulturze, gdzie funkcjonują dwa odrębne pojęcia „die Vaterland" (ojczyzna) i „die Heimat" (strony rodzinne). To ostatnie jest zwykle kojarzone z miejscem urodzenia i najbliższą okolicą, a nie z Niemcami jako państwem składającym się z poszczególnych landów, stanowiących wcześniej odrębne księstwa. W Polsce bardziej akcentuje się patriotyzm ojczyźniany niż przywiązanie do miejscowości czy regionu pochodzenia. W moim wypadku więź z Polską jako krajem jest równie silna jak przywiązanie do rodzinnych stron postrzeganych z perspektywy małych ojczyzn. Stąd też moje dążenie do utrwalenia obrazów pochodzących z powojennej przeszłości Radomia jako miasta, gdzie wzrastałem, zdobywałem wiedzę i poznałem ludzi, którzy otworzyli mi okno na świat.

Mojego pierwszego odczucia nostalgii za utraconą małą ojczyzną doznałem w radomskiej pożydowskiej kamienicy stojącej naprzeciwko ratusza przy ul. Wolności 2. Mieszkali w niej moi dziadkowie, wśród przybyszów z różnych stron przedwojennej Polski, których wojenna zawierucha przygnała do Radomia. To właśnie na podwórku tego domu słuchałem opowieści ludzi ogarniętych tęsknotą za utraconymi małymi ojczyznami. Najbardziej odczuwało się ten żal w opowieściach warszawiaków, którzy uciekli z ruin zniszczonej przez Niemców stolicy, oraz mieszkańców Kresów Wschodnich (opowiadanie „Dom rozbitków"). Moja osobista nostalgia za rodzinnymi stronami dopadła mnie w 1962 roku, po wyjeździe na studia do Wrocławia. Przyjechałem do obcego miasta, w którym wciąż można było zauważyć ślady działań wojennych i wielowiekowego panowania niemieckiej kultury. Po ogromnych przestrzeniach, które pozostały po uprzątniętych ruinach domów, hulał wiatr. Niektóre z nich straszyły zniszczeniami, a ich wygląd mógłby stanowić scenografię filmów katastroficznych. Domy, które oparły się wojennemu kataklizmowi, dumnie prezentowały walory monumentalnej pruskiej architektury, upstrzonej licznymi śladami po kulach i pociskach niemieckich, a zwłaszcza radzieckich armat i karabinów. Niemieckie Breslau było przepięknym miastem. Dzieła jego zniszczenia dokonali najpierw sami Niemcy, nadając temu miastu status twierdzy (Festung Breslau), a później dokończyły go wojska radzieckie. Moje pierwsze spotkanie z Wrocławiem wzbudziło tęsknotę za rodzinnymi stronami. Chodząc po jego ulicach, na próżno poszukiwałem domów, które swoim wyglądem przypominałyby ciepłą, klasycystyczną architekturę radomskich domów prezentujących swoje piękno na głównej ulicy miasta noszącej imię Stefana Żeromskiego. Wiedziałem, że w dawnym niemieckim mieście nie znajdę materialnych śladów rodzinnych stron. Cała nadzieja pozostała w ludziach, których chęć poprawy swojego losu przywiodła z ziemi radomskiej do zrujnowanego Wrocławia. Poznałem ich wielu, a kontakt z nimi tworzył namiastkę małej ojczyzny. Niektórzy z nich, jak np. pan Stefan Kwieciński, rodowity radomianin, a we Wrocławiu działacz społeczny, wspomagał mnie materialnie w trudnych chwilach po śmierci mojej mamy. Radomianie mieli we Wrocławiu swoje stowarzyszenie, a o jego istnieniu dowiedziałem się przypadkowo tuż po przyjeździe, idąc ulicą Nowotki (obecnie ul. Krupnicza). Na okazałym budynku klubu sportowego „Gwardia" ujrzałem niewielką, białą tabliczkę z napisem „Stowarzyszenie Radomian". Sprawiło mi to ogromną przyjemność i dało poczucie, że nie jestem sam. Po latach tabliczka zniknęła, stając się potwierdzeniem upływającego czasu. Dawni przybysze z Radomia już odeszli, a ich potomkowie stali się wrocławianami i nie odczuwają potrzeby pielęgnowania więzi z rodzinnymi stronami ich rodziców i dziadków. Mieszkając we Wrocławiu przez 58 lat, zapuściłem korzenie w tym pięknym mieście, a przypadek sprawił, chcąc pewnie wynagrodzić mi tęsknotę za Radomiem, że dom, który wybudowałem, stoi

na przedłużeniu… ul. Radomskiej. Tak więc codziennie zdążając do przystanku tramwajowego czy pobliskiego sklepu, mimo woli muszę wspomnieć miasto mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Jakież to piękne zrządzenie losu. Całkiem niedawno zaskoczył mnie fakt, że po wrocławskich ulicach jeżdżą nowoczesne autobusy należące do radomskiej firmy „Michalczewski Sp. z o.o.". Zrządzeniem praw współczesnej gospodarki rynkowej, w celu złagodzenia mojej nostalgii za małą ojczyzną, podążył duch przedsiębiorczości zrodzony w mieście mojego dzieciństwa i wczesnej młodości, dostarczając materialnych dowodów więzi występujących między tak bliskimi mi miastami. Jadąc autobusami tej radomskiej firmy, żyję w przekonaniu, że część Radomia przyjechała do mnie.

Kiedy bywam w Radomiu, o dziwo szukam śladów wrocławskich. Raz udało mi się je odnaleźć. Było to w czerwcu 2017 roku. Zatrzymałem się w przeuroczym hotelu „Radisson", położonym w samym sercu miasta. Z hotelowego pokoju nad sennym rynkiem dominowała wieża farnego kościoła, a w blasku stylowych lamp przeglądały się tak znane mi kamieniczki, proszące o pilny remont. Wszystko zatopione w brzasku czerwcowego poranka, tworzyło świetną scenerię do nostalgicznych wspomnień z dzieciństwa. W hotelowej rzeczywistości trudno żyć samymi wspomnieniami. Stąd też obowiązkowym punktem pobytu w nim jest śniadanie. Idąc do przytulnego pomieszczenia, w którym czujny personel karmi swoich gości, doznałem olśnienia. Na ścianie klatki schodowej wisiała grafika przedstawiająca wrocławski ratusz, którego piękno kilka razy w tygodniu podziwiam od wielu lat. I tak nici mojej radomskiej nostalgii splotły się z uczuciami lokalnego wrocławskiego patriotyzmu. Radomskie ślady w mieście, w którym przyszło mi spędzić większość życia, odnajduję przypadkowo, ale zawsze są okazją do refleksji i budzą wspomnienia odległych lat. Niekiedy odwiedzam groby znajomych na wrocławskich cmentarzach. W czasie takich odwiedzin na Jerzmanowie, peryferyjnej dzielnicy Wrocławia, gdzie znajduje się niewielki cmentarz komunalny, natknąłem się na grób znanego sportowca i radomianina Kazimierza Paździora. Ten utytułowany bokser, wychowanek i zawodnik RKS „Broń", rozsławił Radom i Polskę, zdobywając tytuł mistrza Europy (Praga, 1957) i laur olimpijski w Rzymie w 1960 roku. Zakończył on doczesną podróż w 2010 roku, powiększając grono wielu radomian, którzy na zawsze pozostali we Wrocławiu. Nie zapomniał o nim Radom, gdyż radomscy kibice wybrali go najlepszym sportowcem ziemi radomskiej XX wieku, a jego imię nosi hala sportowa MOSIR-u. Na radomskim cmentarzu przy ul. Limanowskiego, na jednym z pomników, w niewielkiej odległości od grobu moich rodziców, zauważyłem inskrypcję poświęconą temu wybitnemu sportowcowi. Poszukiwania radomskich śladów na wrocławskich cmentarzach przywołują moje wspomnienia z czasów szkolnych, które obfitowały nie tylko w edukacyjne obowiązki, ale również w kulturalne przeżycia. Inspiracją do napisania o nich było odkrycie

przeze mnie na osobowickim cmentarzu we Wrocławiu grobu znanej pary aktorskiej Igi Mayr-Karczewskiej oraz Zdzisława Karczewskiego, którzy występowali na deskach radomskiego teatru. Ich kunszt aktorski mogłem podziwiać jako uczeń szkoły średniej, nasi wychowawcy bowiem organizowali wspólne wyjścia do Teatru im. Stefana Żeromskiego. Udział w tych spektaklach przysparzał niezapomnianych przeżyć i był okazją do zetknięcia się z kunsztem artystycznym znanych aktorów scen polskich. Wśród nich znaleźli się Iga Mayr-Karczewska oraz jej mąż Zdzisław Karczewski, człowiek legenda. Był on nie tylko wybitnym aktorem teatralnym i filmowym, ale również reżyserem i dyrektorem teatrów, a w młodości znanym sportowcem. W latach 1955-1958 pod jego artystycznym kierownictwem funkcjonował radomski teatr, który dostarczał miłośnikom Melpomeny niezapomnianych doznań, a młodym widzom pozwalał przeżywać akcję wielu szkolnych lektur, które w bezpośrednim odbiorze zwiększały moc swojego oddziaływania. Po wielu latach, jako widz Teatru Polskiego we Wrocławiu, mogłem podziwiać mistrzowską grę tej znanej pary aktorskiej, bardziej związanej z Wrocławiem niż z Radomiem, ale świetnie wpisującą się w kompozycję moich nostalgicznych opowiadań, w których te dwa miasta są tłem przekazu osobistych przeżyć ich autora. W powojennym Wrocławiu, ale również w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku wyczuwało się atmosferę nostalgii za utraconymi małymi ojczyznami. Do zniszczonego miasta przyjechali przybysze z różnych stron przedwojennej Polski. Znaczna ich część została do tego zmuszona postanowieniami wielkich mocarstw, które zapadły na trzech konferencjach: w Teheranie (1943), Jałcie (1945) i Poczdamie (1945). Ci, którzy zostali przesiedleni z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, najbardziej przeżywali utratę rodzinnych stron. Ich tęsknota była widoczna w codziennych kontaktach z ludźmi, demonstrowana podczas różnych okazji, spotkań rodzinnych czy rocznic. We Wrocławiu szczególnie odczuwalna była nostalgia za Lwowem, gdyż wśród nowych mieszkańców dawnego niemieckiego Breslau dużo było lwowiaków, którzy atmosferze codziennego życia nadawali szczególny ton. Stanowili oni elitę odradzającego się miasta, zwłaszcza jego akademickiej części, co było związane z powołaniem do życia Uniwersytetu Wrocławskiego, a później Politechniki i innych wyższych uczelni. Mój przyjazd do Wrocławia nie miał charakteru przymusowego i w każdej chwili mogłem wrócić w rodzinne strony. Lwowiacy nie mieli takich możliwości. Tęsknili i wierzyli, że wrócą do swojego ukochanego miasta. U niektórych ta wiara była tak silna, że ukształtowała ich codzienną egzystencję według reguł tymczasowości, które utrudniały budowę materialnych podstaw bytowania i naturalnego rozwoju. Atmosfera apatii ogarniała zwłaszcza starsze pokolenie. Młodzi mieli więcej zapału i stosunkowo szybko odnaleźli swoje miejsce w nowej rzeczywistości. Starsi pogrążali się w paraliżującej ich codziennej tęsknocie, co u niektórych prowadziło do niezrozumiałych dla mnie zachowań. W pierwszym

roku mojego pobytu we Wrocławiu, 17 lat po wojnie, zostałem zaproszony na kolację do starszej pani, której mąż był znanym adwokatem we Lwowie. Zajmowała ona wraz z rodziną duże poniemieckie mieszkanie w mieszczańskiej kamienicy. W jednym z ogromnych pokoi zauważyłem drewniane zdobione kufry. Stały na środku prawie pustego salonu, przykuwając moją uwagę. Właścicielka mieszkania zauważyła moje zaciekawienie tajemniczymi obiektami i ich zawartością, co spowodowało, że natychmiast pospieszyła ze stosownymi wyjaśnieniami, informując mnie, że znajdują się w nich różne rzeczy z poprzedniego, lwowskiego mieszkania. Dodała przy tym, że ich nie rozpakowała, gdyż lada dzień wróci do rodzinnego miasta i nie ma sensu ich eksponować w tymczasowym lokum. Oczywiście czas powrotu nigdy nie nadszedł, a po latach beznadziejnego oczekiwania przyszedł kres ziemskiej wędrówki uroczej lwowianki, która już w wolnej Polsce zmarła i pozostała na zawsze we Wrocławiu. Uczestniczyłem w jej pogrzebie na cmentarzu św. Wawrzyńca, w otoczeniu lwowiaków niosących sztandar kresowian. Pamiętam ich przemówienia, a do dziś słyszę głuchy odgłos małego woreczka z ziemią spadającego na wieko trumny. Ziemię zabrała ze sobą moja znajoma, opuszczając na zawsze ukochany Lwów.

Jak wynika z tej relacji, nostalgia za małą ojczyzną ma również swój materialny wymiar, a forma jej wyrażania potwierdza całą złożoną ludzkich odczuć związanych z utratą niepowtarzalnych wartości, bliskich nam osób oraz rzeczy, które tworzą środowisko pozytywnych wrażeń i szczęśliwej egzystencji. Uczucie utraty małej ojczyzny towarzyszyło nie tylko nowym powojennym mieszkańcom Wrocławia. Byli nim dotknięci również Niemcy mieszkający w tym mieście przed wojną, którym udało się przetrwać wojenną gehennę, a po jej zakończeniu z politycznego nakazu musieli opuścić swoje rodzinne miasto, do którego potem tęsknili i chętnie wracali w ramach tzw. sentymentalnej turystyki. W latach panowania w Polsce jedynie słusznego ustroju nie było to łatwe, stąd też przyjazdy dawnych mieszkańców Breslau nie miały zbyt masowego charakteru, ale można było na ulicach Wrocławia spotkać grupy starszych osób oglądających z zaciekawieniem i pewnym lękiem pozostałości bliskich im miejsc, przypominających lata młodości i czasy dawnej świetności. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku sam byłem świadkiem przejmującej sceny. Przed okazałym budynkiem dworca głównego zatrzymał się autokar z Niemiec Zachodnich. Wysiadła z niego grupa turystów, z charakterystyczną siwizną na głowach, ubranych w podobnym stylu, potwierdzającym ich przywiązanie do schludności i porządku. Z zaciekawieniem obserwowałem zachowania przybyszów i ich reakcję na dość szarą rzeczywistość z trudem odbudowywanego przez polskich mieszkańców Wrocławia. Dla nas była to jedna z form nawiązywania bliższych kontaktów z ludźmi, którzy przez oficjalną propagandę byli postrzegani jako dawni okupanci i wrogowie nowego ustroju. W pewnym momencie jedna z wysiadających pań powitała

swoje rodzinne miasto ze łzami, głośno mówiąc „meine liebe Breslau!", dając upust nostalgii za utraconą małą ojczyzną. Niemcy przybywający z NRD byli bardziej powściągliwi w wyrażaniu swoich uczuć do rodzinnych stron. Przyjeżdżali w oficjalnie zorganizowanych grupach, najczęściej w ramach tzw. wymiany z organizacjami, które w Polsce były odpowiednikami ich zakładów pracy, szkół i innych instytucji. Przedwojenni mieszkańcy Wrocławia najbardziej zaciekawieni byli stanem i wyglądem dawnych domów, w których mieszkali. Jak wynika z relacji powojennych właścicieli, którzy otrzymali te nieruchomości z nadania polskich władz, byli oni często odwiedzani przez poprzednich gospodarzy. Niektórzy wręcz znali ich osobiście, gdyż niejednokrotnie mieszkali z nimi wspólnie tuż po repatriacji lub zajęciu określonego lokum czy też gospodarstwa z własnej inicjatywy. Reakcje Polaków na odwiedziny Niemców były zróżnicowane. Jedni pozwalali na obejrzenie wnętrz, okazywali polską gościnność, częstując tym, „czym chata bogata", inni traktowali przybyszy z podejrzliwością, traktując ich przyjazd jako zapowiedź rychłego powrotu dawnych właścicieli, którzy też różnie odnosili się do swoich następców. Ci, u których pamięć przymusowego opuszczenia rodzinnych stron była wciąż żywa, przypominali polskim mieszkańcom o konieczności zachowania dbałości o pozostawiony dobytek i o tymczasowości istniejącej sytuacji. Inni nawiązywali trwalsze nici przyjaźni, zapraszali do Niemiec, pomagali materialnie w trudnych czasach stanu wojennego czy powodzi tysiąclecia z 1997 roku.

Nostalgia za utraconą małą ojczyzną może rodzić zatem nie tylko niechęć czy wrogość, ale również gesty ludzkiej przyjaźni ponad granicami państw uwikłanych w historyczne zaszłości. Moja tęsknota za utraconą małą ojczyzną miała inne, bardziej osobiste podłoże. Stąd też spełnienie marzeń o powrocie do rodzinnych stron było i jest w zasięgu ręki. W czasie studiów, podczas wakacji czy przerw wynikających z organizacji zajęć starałem się dość często odwiedzać Radom i okolice. Późniejsze okazjonalne powroty były wprawdzie rzadsze, ale zawsze dostarczały głębokich przeżyć i refleksji związanych z nieuchronnym przemijaniem. Im bliżej obecnych czasów, tym mniej żywych osób, które znałem z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości. Wędrując ulicami Radomia, nie widuję znajomych twarzy. Osoby, które chciałbym spotkać, już nie żyją, a pamięć o nich przywołuję, snując się między grobami na cmentarzach przy ul. Limanowskiego, na Firleju czy w tak bliskiej mi Cerekwi. Odczytuję ich nazwiska na nagrobnych płytach, witam przez dotyk materialnych dowodów potwierdzających ich dawną obecność wśród tych, którzy wciąż zdążają do kresu doczesnej egzystencji. Ci, którzy odeszli, żyją w naszej pamięci, tak jak żyje w nas obraz miejsc i zdarzeń, które należą już do przeszłości. Tęsknota za małą ojczyzną nie pozwala mi o nich zapomnieć, czego potwierdzeniem są opowiadania zawarte w tej książce.

2

MOJA MAŁA OJCZYZNA

Podążając ścieżkami nostalgii za rodzinnymi stronami, pragnę przywołać ich obraz widziany oczyma dziecka i młodego człowieka, dla którego ziemia radomska była i jest małą ojczyzną. Szczególne miejsce zajmują w niej dwa miasta: Radom i Pionki oraz trzy wsie: Milejowice, Cerekiew i Jaszowice, położone w gminie Zakrzew. Każda z wymienionych miejscowości jest miejscem zdarzeń i przeżyć, które zostały przedstawione w moich opowiadaniach. Poczesne miejsce wśród nich zajmuje miasto Radom, które było dla mnie nie tylko przestrzenią dla intelektualnych doznań, edukacji i spotkań z kulturą, ale również wakacyjnych przeżyć i kontaktów z ciekawymi ludźmi. Radom ma bogatą historię, której początki sięgają przełomu X/XI wieku. Jest jednym z najstarszych i największych miast w centralnej Polsce, które przeżywało na przestrzeni wieków swoje wzloty i upadki. Jego rozkwit był zwykle związany z czasami, kiedy lokowano w nim urzędy reprezentujące jednostki administracji terytorialnej wyższej rangi. Znaczenie Radomia rosło, gdy był on miastem kasztelańskim, departamentowym, obwodowym, gubernialnym czy też wojewódzkim. Jego zdolność rozwojowa się zmniejszała, gdy w murach dawnych władz wojewódzkich rozgościły się władze powiatowe. W czasach mojego zamieszkiwania w pobliżu Radomia mieściła się w nim siedziba władz powiatowych, a cały obszar powiatu radomskiego był podległy władzom wojewódzkim w Kielcach. Jednak mieszkańcy Radomia i okolic mentalnie i kulturowo byli bardziej związani z Warszawą, jako stolicą państwa i Mazowsza, niż z Kielcami, które traktowano jako miasto konkurencyjne w zakresie dostępu do środków finansowych będących w dyspozycji władz wojewódzkich. W przypadku Radomia można zauważyć swoisty paradoks. Z jednej strony miasto historycznie jest położone w Małopolsce, z drugiej zaś ciąży ku stolicy Mazowsza, która daje większe możliwości zdobywania materialnego i kulturalnego bogactwa oraz realizacji indywidualnych karier. Ogromną siłę przyciągania stolicy ostatecznie przypieczętował fakt, że w ostatnim dniu 1998 roku zapadła decyzja o przyłączeniu mojej małej ojczyzny do województwa mazowieckiego. Radom przestał być miastem wojewódzkim, a jego związki z Warszawą realizowane są od tej pory w nowej administracyjnej przestrzeni. Radomianie, formalnie przypisani do Mazowsza, mogą odkrywać uroki swojej ziemi, o których

pisali poeci Teofil Lenartowicz i Władysław Broniewski. Szczególnie zachęcająco brzmią frazy wiersza Lenartowicza „Jak to na Mazowszu":

„Oj, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
i czystsza tam woda i powietrze zdrowsze,
I sosny roślejsze i dziewki kraśniejsze
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze".

Konfrontacja treści tego wiersza z rzeczywistością mojej małej ojczyzny może rozczarować niejednego czytelnika tych opowieści, zwłaszcza jeżeli chodzi o czystość radomskiego powietrza. Kiedy studiuję raporty o jego zanieczyszczeniu, to zwykle notowania dotyczące Radomia odstręczają od długich spacerów po ulicach i parkach tego miasta rozłożonego nad rzeką Mleczną. Tym, co wciąż jest aktualne, są „kraśniejsze dziewki" i „mocniejsi ludzie". Będąc przejazdem w Radomiu, miałem okazję podziwiać urodę młodych radomianek siedzących w licznych kawiarnianych ogródkach, które jak grzyby po deszczu powyrastały na ul. Żeromskiego. Radosne twarze i rozdawane przechodniom uśmiechy potwierdzały dawne zachwyty poety nad urodą mazowieckich dziewcząt. Wciąż aktualne jest również stwierdzenie dotyczące mocy ludzi Mazowsza, zwłaszcza tych, którzy codziennie muszą dojeżdżać do pracy z Radomia do odległej Warszawy. To ogromny trud i wyzwanie, które nie każdy jest w stanie podjąć. Szkoda że ci, którzy je podejmują, nie mogą spożytkować swoich sił w swoim mieście, zapewniając godziwy byt materialny sobie i swoim rodzinom na miejscu. Cóż, prawa rynku i ekonomii są nieubłagane, a polityka też czasami bywa bezwzględna.

Mała ojczyzna to miejsce na ziemi, które ma swoją strukturę złożoną z przyrody, ludzi i materialnych wytworów ich działalności w postaci budynków i budowli. Przyroda, która stanowi naturalne środowisko naszej codziennej egzystencji, tworzy scenografię odwiecznego spektaklu, w którym uczestniczą ludzie realizujący swoje cele, marzenia i ambicje. Świat jest dynamiczny. Zmienia się wszystko wokół nas, a także my sami. Ten odwieczny ruch ogarnia również małe ojczyzny. Zmienia się w nich przyroda, powstają nowe budynki i budowle, stare z trudem opierają się naturalnej destrukcji. Ci, którzy opuszczają swoje rodzinne strony, zatrzymują w pamięci ich widok z momentu rozstania. Kiedy wracają po latach, są zawiedzeni, bo rzeczywistość, którą zastają, zwykle odbiega od obrazu utrwalonego przed laty. Obraz ten jest kadrem filmu, który kończy się wraz z ostatnim tchnieniem jego głównego bohatera, żyjącego w oddali od swoich korzeni. Najważniejsze role w tym filmie odgrywają ludzie, zwłaszcza najbliżsi, którzy są członkami rodziny opuszczającej domowe pielesze. Oni są ich strażnikami, a zarazem łącznikami małych ojczyzn z odległym światem, w którym ich bliscy zbudowali swoją przyszłość. W serdecznej pamięci tych, którzy tęsknią za rodzinnymi stronami, pozostają również ludzie obcy wielkiego serca i formatu,

którym coś zawdzięczamy, a uzyskane od nich dobro, najczęściej o charakterze niematerialnym, ma ponadczasową wartość. Odrębną grupą populacji małych ojczyzn są ci, których osobiście nie poznaliśmy, ale ich wybitne zasługi – nie tylko dla lokalnej społeczności, ale dla kraju czy świata – uzasadniają ich wyróżnienie oraz obdarzenie szczególnym uznaniem i szacunkiem. Ziemia radomska hojnie została obdarzona takimi osobami, reprezentującymi głównie świat kultury i nauki. W gronie tych zacnych postaci znaleźli się zarówno urodzeni w Radomiu bądź jego okolicach, jak i ci, których życiowe losy rzuciły do miasta nad rzeką Mleczną, umożliwiając wykorzystanie ich talentów nie tylko dla radomskiej społeczności, ale również dla całego kraju i mieszkańców innych kontynentów. W panteonie zasłużonych rodowitych radomian znaleźli się między innymi: Mikołaj z Radomia – kompozytor średniowiecznej muzyki polifonicznej, Jacek Malczewski – malarz, przedstawiciel symbolizmu, Tytus Chałubiński – lekarz, przyrodnik i odkrywca walorów leczniczych Zakopanego, Maria Fołtyn – śpiewaczka i reżyserka operowa, Leszek Kołakowski – filozof, Kazimierz Paździor – bokser, mistrz olimpijski z 1960 roku. W tej grupie wybitnych radomian znajdują się żyjący współcześnie artyści, których twarze znamy z telewizji czy okładek poczytnych czasopism. To oni ubarwiają nam szarość dnia codziennego swoim talentem, urodą i osobistym wdziękiem. Sądzę, że wielu czytelników pozostaje pod wrażeniem piosenek śpiewanych przez Jerzego Połomskiego czy pełnych uroku melodii oraz ról filmowych w wykonaniu Igi Cembrzyńskiej. Miłośnicy teatru, filmu i telewizji mogą podziwiać grę aktorską Małgorzaty Foremniak i jej wielką osobowość telewizyjną. Podobnych walorów nie można odmówić Tomaszowi Karolakowi, który ujmującą grą i prowokacyjnym uśmiechem wzbudza sympatię i niekłamaną radość wśród miłośników jego talentu. Piękną mamy reprezentację w polskim świecie kultury. W tyle nie pozostają również przedstawiciele może mniej spektakularnych, ale społecznie niezbędnych zawodów. Świat polityki i równocześnie nauki reprezentuje tu Dariusz Rosati, a wspiera go była premier Ewa Kopacz, która wprawdzie nie urodziła się w Radomiu, ale jest z nim związana od wielu lat jako polityk i lekarz. Ludzie biznesu mogą pochwalić się Zygmuntem Solorzem, który za moich radomskich czasów, jako Zygmunt Józef Krok, był po prostu niepozornym, zwyczajnym chłopcem.

Swoją obecność w historii Radomia zaznaczyli również ludzie kultury i nauki, którym nie dane było przyjść na świat w tym mieście, ale ich dłuższy lub krótszy pobyt w nim uświetnił jego wizerunek bądź też był związany z powstaniem znakomitych dzieł sztuki, utworów literackich czy prac naukowych. Niektórzy z nich byli bardziej związani z okolicami Radomia niż z samym miastem, jak np. wielki poeta epoki renesansu Jan Kochanowski – z racji urodzin w Sycynie i zamieszkiwaniu w Czarnolesie, czy etnograf, folklorysta i kompozytor Oskar Kolberg – ze względu na miejsce narodzin w Przysusze, odległej od Radomia

Fot. 1. Józef Brandt z wnukiem. Orońsko k. Radomia, początek XX wieku (własność Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, część druga, Radom 2015, s. 52.

o niecałe 40 km. Wśród znakomitości, które nie narodziły się w tym mieście, ale przyniosły mu chlubę, znajduje się Józef Brandt, polski malarz batalista, przedstawiciel szkoły monachijskiej. W swoich pełnych dynamizmu obrazach utrwalił ważne momenty w dziejach Polski. Oddał on po mistrzowsku istotę ruchu, którego uosobieniem są pędzące konie na tle pięknego polskiego krajobrazu, zwłaszcza Kresów Wschodnich. Ten wielki artysta na zawsze pozostał w Radomiu. Kiedy odwiedzam radomski cmentarz przy ul. Limanowskiego, stojąc nad jego grobem, jestem mu wdzięczny za te dzieła i ogrom przeżyć, które dostarcza ich oglądanie. Czasami, snując się ścieżkami nostalgii w odległym Wrocławiu, odwiedzam Muzeum Narodowe, aby podziwiać z nabożeństwem obraz Józefa Brandta „Bogurodzica". Mieszkańcy stolicy mogą podziwiać w Muzeum Narodowym między innymi takie jego obrazy, jak „Bitwa pod Chocimiem" czy „Wyjazd z Wilanowa Jana Sobieskiego z Marysieńką".

Jest również grupa osób w świecie polskiej kultury i nauki, dla których Radom lub miejscowości położone w jego pobliżu stały się miejscem epizodycznych pobytów. Zaowocowały one twórczymi inspiracjami i doświadczeniami, których rezultaty możemy podziwiać w dziełach artystycznych lub naukowych tak znakomitych postaci, jak: Tadeusz Kotarbiński, Jerzy Gombrowicz czy Andrzej Waj-

da. Pobyt wybitnego polskiego filozofa, twórcy etyki niezależnej i prakseologii Tadeusza Kotarbińskiego w Radomiu był stosunkowo krótki, gdyż zaczął się po upadku powstania warszawskiego, a zakończył po wyzwoleniu w 1945 roku. W tym czasie obecność wybitnego filozofa w mieście nad Mleczną była kojarzona z działalnością konspiracyjnego kursu filozoficznego, którego był organizatorem. Środowiska prawicowe dość sceptycznie odnosiły się do tego projektu, o czym osobiście mogłem się przekonać w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku podczas rozmowy towarzyskiej, którą prowadziłem w gronie osób pielęgnujących poglądy przedwojennej radomskiej prawicy. Jako ucznia szkoły średniej interesowała mnie bardzo historia Radomia i osób z nią związanych. Wykorzystywałem każdą okazję, aby zdobyć nową wiedzę na ten temat. Jedną z nich była wizyta w inteligenckiej rodzinie, której nestorka znała osobiście profesora T. Kotarbińskiego. Kiedy zapytałem starszą panią o wyglądzie dziewiętnastowiecznej hrabiny o jej zdanie na temat zasług profesora Kotarbińskiego dla Radomia, moja rozmówczyni spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem i westchnęła: „ileż ten człowiek poczynił zła w naszym mieście!". Uzyskana odpowiedź była dla mnie zaskoczeniem, ale równocześnie sygnałem o konieczności zakończenia rozmowy na temat „wywrotowej" działalności wielkiego filozofia w grodzie uświęconym tradycją i wartościami, których nie wolno podważać. Profesor Tadeusz Kotarbiński nie zagrzał zbyt długo miejsca w Radomiu, przeniósł się do Łodzi i tam został pierwszym rektorem miejscowego uniwersytetu. Ja jako pracownik innego uniwersytetu i przyszły profesor nauk ekonomicznych w zakresie zarządzania nie wziąłem sobie do serca dość dyskusyjnej opinii konserwatywnej radomianki i z ogromnym zapałem rozpocząłem studiowanie publikacji wielkiego filozofa dotyczących prakseologii, zwłaszcza „Traktatu o dobrej robocie", dzieła, które było i jest dla mnie źródłem nowych przemyśleń i twórczych inspiracji. Samego autora tej fundamentalnej książki dla przyszłych prakseologów miałem okazję osobiście spotkać latem 1963 roku w Lądku-Zdroju podczas jego spacerów po urokliwych uliczkach parku zdrojowego.

Spotkanie Andrzeja Wajdy z Radomiem miało nieco dłuższy przebieg. Przybył on do tego miasta wraz z rodzicami w 1934 roku. Tu chodził do szkoły podstawowej i zdobywał sprawności harcerskie oraz uczestniczył w tajnym nauczaniu. Po utracie ojca za sprawą oprawców z Katynia przeszedł twardą szkołę życia, pracując podczas niemieckiej okupacji jako robotnik magazynowy i tragarz. Jako 16-letni chłopiec wstąpił do AK. Był świadkiem okrucieństw niemieckich okupantów wobec ludności cywilnej Radomia, a tragiczne przeżycia z tego okresu znalazły odbicie w jego wybitnej twórczości filmowej. Szczególnie utkwiło w pamięci wielkiego reżysera zastrzelenie przez Niemców na ul. Żeromskiego ludzi z podziemia.

Fot. 2. Andrzej Wajda w kurtce z przefarbowanego na granatowo munduru ojca, który nie wrócił z wojny (został zamordowany w Katyniu). Radom ok. 1940 roku (kopia udostępniona przez prof. Tadeusza Lubelskiego)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, część druga, Radom 2015, s. 206.

Po zakończeniu wojny Andrzej Wajda opuścił Radom, lecz 12 lat spędzonych w tym mieście trwale zapisało się w pamięci artysty, który dawał dowody przywiązania do miejsca, gdzie zdobywał pierwsze wykształcenie i otrzymywał prawdziwe lekcje patriotyzmu. Wyrazem tego jest sprawowanie przez wielkiego reżysera mecenatu nad Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu i zasilenie jego zbiorów dziełami sztuki, które były prywatną własnością artysty. Jego zasługą jest również inicjatywa stworzenia w dawnym gmachu elektrowni Mazowieckiego Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia". Pierwotny budynek elektrowni pamiętam z dzieciństwa. Jego neogotycka architektura odróżniała go od innych budynków, a wnętrze było typowe dla dawnej architektury przemysłowej. Jego urodę mogłem podziwiać dzięki pani Dłużniewskiej-Kotlińskiej, która była sąsiadką moich dziadków, a zarazem mieszkanką kamienicy przy ul. Wolności 2 (opowiadanie „Dom rozbitków"). Podążając szlakami wyznaczonymi przez sieć nostalgii, starałem się odnaleźć we Wrocławiu ślady twórczej aktywności Andrzeja Wajdy. Odnalazłem je w postaci takich dzieł filmowych, jak „Popiół i diament" oraz „Kanał", które zostały nakręcone w tym mieście. Ostatnim węzłem wspomnianej wcześniej sieci moich sentymentalnych powią-

zań z Radomiem i ludźmi zasłużonymi dla jego chwały było moje uczestnictwo w autorskim spotkaniu z Andrzejem Wajdą, które odbyło się 2 czerwca 2016 roku w zamku na wodzie w Wojnowicach koło Wrocławia. Wybitny reżyser opowiadał o swoich filmach, ciekawych ludziach i zdarzeniach, które inspirowały go do twórczych działań. Pokazywał fragmenty swoich filmów i snuł plany na dalszą przyszłość, które niestety nigdy nie zostaną zrealizowane, gdyż niespodziewanie 9 października 2016 roku ich autor odszedł do wieczności.

Mniej szczęścia miałem do innego wybitnego twórcy, który z ziemią radomską był związany koligacjami rodzinnymi. Chodzi tu o Mariana Witolda Gombrowicza, powieściopisarza, nowelistę i dramaturga, który urodził się 4 sierpnia 1904 roku w Małoszycach, położonych w ówczesnej guberni radomskiej. Nie miałem okazji spotkać go osobiście, gdyż lata powojenne spędził on na emigracji, ale wsławił się jako autor wielu dzieł literackich, wśród których prym wiedzie arcydzieło „Ferdydurke", najsłynniejsza polska powieść, odkrywcza i wyprzedzająca śmiałością swoją epokę. Została ona uznana przez krytyków literackich za najważniejszą i najbardziej rozpoznawalną książkę XX wieku. Znaczna część tego dzieła powstała w pałacu brata pisarza, Jerzego, położonym zaledwie 10 km od Radomia. Gombrowicz długie miesiące spędzał w tej miejscowości, nie tylko racząc się urokami dworskiego życia, ale również do późnej nocy – jak to relacjono-

Fot. 3. Witold Gombrowicz (w pierwszym rzędzie po prawej stronie) z rodziną w parku we Wsoli w latach dwudziestych XX wieku (własność Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, Radom 2014, s. 119.

wała służba – pracując nad powieścią. Została ona wydana w Warszawie w 1937 roku, przynosząc rozgłos autorowi, który zaatakował w niej kulturę zamkniętą w systemach obowiązujących schematów.

Jak wynika z prezentacji znakomitych przedstawicieli mojej małej ojczyzny, ziemia radomska przysporzyła polskiej i międzynarodowej kulturze i nauce wielu znaczących osób, których dorobek jest jej chlubą. W tym wielowiekowym trudzie budowy i rozwoju moich rodzinnych stron uczestniczyli i dalej uczestniczą jej mieszkańcy, bohaterowie dnia codziennego, którzy swoją pracą i zaangażowaniem tworzą dzisiejszą pomyślność oraz zręby przyszłych sukcesów. Wśród nich są członkowie mojej rodziny oraz znajomi, którzy pozostali w Radomiu. Z biegiem lat jest ich coraz mniej, a ja żywię złudną nadzieję, że przy okazji kolejnego pobytu w moim mieście spotkam wszystkich jeszcze raz. Nadzieja pryska po przyjeździe, gdyż większość moich dawnych znajomych mogę już odwiedzić tylko na cmentarzach przy ul. Limanowskiego, na Firleju czy też w Cerekwi. Niektórzy odchodzą nagle, wyrwani z rytmu codziennych obowiązków. Inni, dotknięci przewlekłymi chorobami, przeżywają długotrwały rytuał stopniowego umierania. Stary świat odchodzi, rodzi się nowy. Marsz pokoleń trwa. Z tym trzeba się pogodzić oraz godnie i z pożytkiem dla siebie i ogółu należy przeżyć każdy dzień, szanować żywych i pamiętać o zmarłych, którym tak wiele zawdzięczamy. Być może są to prawdy oczywiste, ale nie wszyscy mają ich świadomość.

Na małe ojczyzny składają się również wytwory ludzkiej myśli i trudu fizycznej pracy. Należą do nich budynki, budowle, obiekty sakralne i ulice, których przebieg w starych miastach był kształtowany przez dziesiątki czy nawet setki lat. Tworzą one środowisko dla aktywności i codziennego bytowania mieszkańców. Opuszczając małą ojczyznę, tęsknimy nie tylko za ludźmi, ale również za jej materialną substancją, a zwłaszcza za starymi obiektami o charakterze zabytków, które były świadkami różnych wydarzeń i naszych osobistych przeżyć. Ich obecność w miejskim krajobrazie tworzy niepowtarzalną atmosferę i specyfikę. Nowe budynki i budowle mogą budzić podziw i zachwyt śmiałością nowych rozwiązań, ale nie będą emanowały specyficznej atmosfery przeszłości, której stworzenie wymaga wielu lat. Dlatego też każdy mój przyjazd do Radomia wiąże się z podziwem dla odrestaurowanego kościoła farnego św. Jana, kościoła ojców Bernardynów, kościoła ewangelicko-augsburskiego czy niektórych kamienic przy ul. Rwańskiej i w Rynku. Ogarnia mnie jednak smutek, gdy patrzę też na podparte kamienice w tych samych okolicach, walące się domy położone przy ul. Szwarlikowskiej czy też proszące o pilny remont dziewiętnastowieczne kamienice będące kiedyś chlubą ul. Żeromskiego. Ratowanie tych obiektów jest obowiązkiem kolejnych pokoleń i niezbędnym warunkiem zachowania historycznej tożsamości tak ważnego dla mnie miasta.

Fot. 4. Ulica Kolejowa w Pionkach w latach czterdziestych XX wieku

Źródło: Pionki – ul. Kolejowa-stare zdjęcia-Fotopolska.eu zdjęcie 1.

Wśród miejscowości, które są mi bliskie na ziemi radomskiej, znajdują się Pionki. To miejsce moich narodzin i krótkiego pobytu w latach niemieckiej okupacji. Moi rodzice mieszkali wówczas w jednym z domów przy ul. Kolejowej. Urodziłem się 30 kwietnia 1943 roku w miejscu i czasie niezbyt fortunnym. Pionki, będące wówczas wsią, a wcześniej, tj. do 1932 roku, znane jako Zagożdżon, były w sensie przenośnym i dosłownym położone na beczce prochu. To właśnie w tej miejscowości w 1923 roku rozpoczęto budowę Państwowej Wytwórni Prochu, która na długie lata wyznaczyła rozwój wiejskiej osady, a od 1954 roku prawie dziewiętnastotysięcznego miasta. Powstanie tego przedsiębiorstwa stało się impulsem do powstania przyszłej infrastruktury miejskiej. To dzięki powstaniu Wytwórni jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej ta wiejska osada położona wśród lasów nad rzeką Zagożdżonką mogła się pochwalić posiadaniem: nowego dworca kolejowego, osiedli mieszkaniowych, stadionu sportowego, kościoła, szpitala rejonowego, szkół, Kasyna Urzędniczego, łaźni z basenem, poczty i innych obiektów użyteczności publicznej. Praca w Wytwórni Prochu była dość niebezpieczna i w historii tak znaczącego dla rozwoju Pionek przedsiębiorstwa zdarzały się tragiczne wydarzenia, podczas których niejednokrotnie kilka osób traciło życie. Największy wypadek zbiorowy wydarzył się na terenie Fabryki Prochów Bezdymnych 2 marca 1937 roku. Spowodował śmierć aż 20 osób, w większości kobiet (wydarzenie to zostało opisane przez Stanisława Alfreda Traczyka w rozdziale „Zarys dziejów Państwowej Wytwórni Prochu oraz Zagożdżona – Pionek w latach 1922-1939" w książce „Szkice z dziejów Pionek", t. I pod red.

naukową Marka Wierzbickiego, Pionki 2000, s. 46). Prawdziwa gehenna dla tej niewielkiej miejscowości nadeszła wraz z okupacją niemiecką, podczas której życie straciło 2000 jej mieszkańców. W tamtych czasach patriotyzm miał bardzo wysoką cenę, a była to cena życia oddawanego za przeciwstawianie się okupantowi bądź też wykonywanie swojej codziennej pracy lub pełnienia społecznej misji wynikającej z faktu bycia nauczycielem, lekarzem czy księdzem. Militarny charakter produkcji prowadzonej w miejscowej Wytwórni Prochu rodził nie tylko naturalne zagrożenia wynikające z jej specyfiki, ale stwarzał szansę wsparcia dla tych, którzy z bronią w ręku zapragnęli walczyć o wyzwolenie ojczyzny. Wielki zbrojny zryw przeciwko okupantowi, jakim było powstanie warszawskie, mógł zaistnieć między innymi dzięki zaangażowaniu tych mieszkańców Pionek, którzy byli nie tylko pracownikami Wytwórni Prochu, ale również bojownikami podziemia, a zwłaszcza AK. Jak wynika z opowiadań mojego ojca, który współpracował z tą organizacją, a ściślej biorąc z Karolem Sadlikiem, członkiem AK o pseudonimie „Eugeniusz", a równocześnie mistrzem Oddziału nitrogliceryny, już w 1943 roku rozpoczęły się przerzuty do Warszawy niezbędnych materiałów wybuchowych potrzebnych do produkcji granatów

Fot. 5. Ojciec autora, Bolesław Skalik, komendant Policji Państwowej w Kozienicach, z córkami Jadwigą i Leokadią

Źródło: archiwum autora.

i innych środków otwartej walki podczas powstania warszawskiego. W walce z okupantem były zaangażowane również dzieci, czego potwierdzeniem są opowiadania mojej nieżyjącej już przyrodniej siostry Jadwigi, która przekazywała do punktu kontaktowego wiadomości ostrzegające przed aresztowaniami zdobywane przez mojego ojca. Punkt kontaktowy stanowił zakład fryzjerski, którego właścicielka była członkinią AK. To ona była odpowiedzialna za szybkie i skuteczne ostrzeganie zagrożonych osób. Przekazywanie tak ważnych informacji odbywało się w formie grypsów i wymagało szczególnej ostrożności. Każda taka akcja następowała zgodnie z ustaloną procedurą, a kluczową rolę odgrywało w niej odpowiednie ustawienie doniczek w oknie zakładu fryzjerskiego. Jedna z wersji ich rozmieszczenia oznaczała zakaz wstępu do środka. Wówczas misja przekazania wiadomości musiała być odłożona. W tych ponurych czasach panami życia i śmierci byli niemieccy okupanci, a rządy w Pionkach sprawował volksdeutsch Jan Bambinek, przed wojną wozak zajmujący się dostawą lemoniady do pionkowskich sklepów. Szczególnie okrutny los spotkał Żydów skoszarowanych w getcie oraz w obozie pracy na terenie Wytwórni Prochu. W czasie okupacji niemieckiej militarny charakter produkcji prowadzonej w miejscowej wytwórni potęgował dodatkowe zagrożenia związane z bombardowaniami i akcjami sabotażowymi. Dom, w którym przyszedłem na świat, był usytuowany przy ul. Kolejowej, w pobliżu linii kolejowej, która była obiektem nalotów bombowych.

Rodzice opowiadali mi, że szczególnie niebezpieczny był okres poprzedzający wkroczenie do Pionek wojsk radzieckich, które bombardowały tę miejscowość, a jej mieszkańcy byli zmuszeni uciekać do pobliskich lasów, aby ratować swoje życie. W drugiej połowie 1944 roku w Pionkach odczuwało się nadejście nowych czasów. Zwiększały się liczba akcji dywersyjnych podziemia i liczba nalotów bombowych na obiekty o znaczeniu militarnym. W czasie jednego z nich o mały włos stałbym się ich przypadkową ofiarą: spałem przed domem w tzw. kobyłce (odpowiednio związanym prześcieradle) zawieszonej na trzepaku, służącym również do wietrzenia pościeli, kiedy nadleciał samolot ostrzeliwujący naziemne obiekty, trafiając w misterne wiązania wiszącego legowiska, z którego wypadło dziecko, czyli ja. Na szczęście nic mi się nie stało, ale pilnująca mnie niania najadła się strachu co niemiara.

Od wschodu nadciągała ofensywa wojsk radzieckich, a wraz z nią nadzieja na odzyskanie wolności, która nadeszła, ale nie w takim kształcie, jak to sobie wyobrażali obywatele żyjący w przedwojennej Polsce. Niemniej jednak większość mieszkańców Pionek wyczekiwała rozpoczęcia ofensywy wojsk radzieckich, które zatrzymały się u brzegów Wisły i dopiero 15 stycznia 1945 roku ruszyły na zachód. Ich przyjście przerwało gehennę okupacyjnej nocy, wywołując z jednej strony uczucie radości, z drugiej zaś obawy co do przyszłości. Dramatyczne wieści

Fot. 6. Mama autora, Zofia Skalik z domu Wachnicka

Źródło: archiwum autora.

dotyczące eksterminacji ludności polskiej na Kresach Wschodnich, wywózki na Syberię, mordy na polskich oficerach w Katyniu i innych miejscowościach na nieludzkiej ziemi – wszystko to budziło nieufność do przybyszów ze wschodu. Moja rodzina miała możliwość ich bliższego poznania, gdyż grupa zmęczonych żołnierzy sowieckich rozgościła się na podwórzu przy ul. Kolejowej. W zawieszonych kociołkach nad rozpalonymi ogniskami gotowali zupę, którą później przelewali do żołnierskich menażek. Chcąc zademonstrować swoją sympatię do gospodarzy, w tym przypadku moich rodziców, częstowali ich ugotowanym posiłkiem, w którym pływały kawałki mięsa, trawy i trudnych do identyfikacji składników. Wygląd potrawy nie zachęcał więc do jedzenia. Mama podziękowała za poczęstunek, co spotkało się z niezadowoleniem przybyszów. Jeden z nich był szczególnie zdegustowany odmową jedzenia i tym, że jego przyjazny gest nie został doceniony. Pogroził bronią… Cóż, nie było wyjścia, mama musiała spełnić życzenie wyzwoliciela ze wschodu i zjeść zupę, aby nie narażać się na trudne do przewidzenia reakcje z jego strony. Nadejście wojsk radzieckich wywoływało wśród ludności polskiej różnorodne odczucia. Większość cieszyła się, że wreszcie skończył się koszmarny okres niemieckiej okupacji. Niektórzy mieli jednak obawy przed nieznanym. Wśród tych zróżnicowanych nastrojów pojawiały się akcenty humorystyczne, czego wyrazem było kursujące w powszechnym obiegu hasło „uciekajcie z margaryną, bo jadą ze słoniną". Jego treść miała być zapowiedzią nowych czasów. W okresie okupacji niemieckiej obowiązywały kartki żywnościowe, w tym również na margarynę. Słonina kojarzyła się ludziom z lepszym życiem, a więc z jedzeniem wieprzowiny, której kupno i spożywanie pod rządami hitlerowców groziło utratą życia, za zabicie świniaka bowiem groziła kara śmierci. We wszystkich systemach totalitarnych zawsze występowały problemy z zaspokojeniem potrzeb żywnościowych społeczeństwa. Wydawało się, że w powojennej Polsce nie będzie ograniczeń w zaspokojeniu tej podstawowej potrzeby człowieka. A jednak tak się nie stało i w latach siedemdziesiątych w naszym kraju pojawiły się kartki na żywność, a elementem szarej codziennej rzeczywistości, obok pracy, była znów walka o zdobycie pożywienia.

Rok 1945 był dla mojej rodziny ciągiem dramatycznych zdarzeń – aresztowanie ojca, postawienie go przed sądem, śmierć mojego starszego brata oraz brak pieniędzy i dachu nad głową były potwierdzeniem tragicznej sytuacji, w której znaleźli się moi najbliżsi. Podczas pobytu w więzieniu ojciec nabawił się tyfusu. Po jego opuszczeniu był wrakiem człowieka. Nowa władza chciała go ukarać, nie bacząc na jego zasługi w ratowaniu ludzi podziemia. Jednak zeznania jednego z członków AK – Karola Sadlika, pseudonim „Eugeniusz", potwierdzających współpracę ojca z tą organizacją, pozwoliły na jego uniewinnienie i odzyskanie wolności, która dla niego miała gorzki smak. Brak pracy, mieszkania i środków do życia dopełniał obraz beznadziejnego położenia mojej rodziny. Wydawało się, że już nic gorszego nie może się stać. A jednak stało się. W październiku tego samego roku mój trzyletni brat Zdzisław umiera na zapalenie opon mózgowych. Późne postawienie diagnozy i brak wówczas skutecznych leków pomocnych w opanowaniu tej choroby, jakimi dzisiaj są antybiotyki, nie pozwoliły na jego uratowanie. Pamiętam rozpacz mojej mamy, która swoje ukochane dziecko pochowała w rodzinnym grobie swoich dziadków na cmentarzu w Cerekwi. Człowiek jest bezsilny w obliczu nieuchronnej śmierci, ale wola życia tych, którzy pozostają, pozwala przetrwać największe tragedie. Tak też się stało w przypadku mojej rodziny, dla której nadejście nowych czasów otworzyło nowy rozdział jej historii.

Na mapie mojej małej ojczyzny pojawiły się wówczas wioski przytulone do granic Radomia, tj. Bielicha, Milejowice i Cerekiew oraz bardziej odległa od nich wieś Jaszowice. Każda z nich stanowiła tło wydarzeń, które utrwaliły się w mojej pamięci i zostały opisane w opowiadaniach zawartych w tej książce. Szczególnym sentymentem darzę wieś Cerekiew, gdyż przez siedem lat przemierzałem prawie trzy kilometry do szkoły podstawowej i parafialnego kościoła pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa i Męczennika.

W Cerekwi był również cmentarz parafialny, na który mieszkańcy podradomskich Milejowic i sąsiedniej Bielichy odprowadzali swoich bliskich i znajomych na miejsce wiecznego spoczynku. Niepozorna Cerekiew ma jednak bogatą historię. Jest jedną z najstarszych podradomskich wsi. Pierwsze wzmianki o jej istnieniu pochodzą z XII wieku. Była ona lokowana na podstawie prawa magdeburskiego przez Władysława Łokietka w 1326 roku. Otrzymała również średniowieczne prawa miejskie od Bolesława V Wstydliwego. Centralną budowlą wsi jest wspomniany kościół parafialny, którego wyniosła wieża witała mnie każdego poranka. Mały domek, w którym mieszkaliśmy w Milejowicach, był położony na niewielkim wzgórzu, stąd też codziennie, spoglądając przez okno w stronę Cerekwi, najpierw można było zobaczyć ciemną ścianę sosnowego lasu, zza której wyłaniała się dominująca nad całą okolicą wyniosła wieża kościoła wybudowanego w latach 1929-1936 za czasów probostwa ks. prałata Adama Popkiewicza, który w 1952 roku udzielał mi sakramentu Pierwszej Komunii.

Fot. 7. Kościół pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Cerekwi w latach pięćdziesiątych XX wieku

Źródło: zbiory archiwalne Gminnej Biblioteki Publicznej w Zakrzewie.

Fot. 8. Przed kościołem w Cerekwi po uroczystościach pierwszokomunijnych 29 czerwca 1952 roku (od lewej ks. dr prałat Adam Popkiewicz, autor, mama autora, ks. Jan Kruzel)

Źródło: archiwum autora.

Fot. 9. Pradziadkowie autora ze strony mamy: Anna Wachnicka i Wojciech Wachnicki

Źródło: archiwum autora.

Materialnymi dowodami bogatej przeszłości wsi są głównie kościoły i dwory ziemiańskie. Chłopskie chałupy i zabudowania gospodarskie, budowane zwykle z drewna, nie mogły się oprzeć wielowiekowemu i niszczącemu oddziaływaniu różnych zjawisk i zdarzeń związanych z upływem czasu. Ich urodę można podziwiać dzisiaj już tylko w Muzeum Wsi Radomskiej. Ja miałem jeszcze okazję poznać ich piękno w naturalnej scenerii we wsi Jaszowice, w której żyli moi pradziadkowie Anna i Wojciech Wachniccy oraz urodził się mój dziadek Jan Wachnicki.

Pierwszy kościół w Cerekwi, wybudowany w 1326 roku, miał drewnianą konstrukcję i dotrwał do 1470 roku. Następny, wzniesiony w 1529 roku, był murowany i przez 400 lat był miejscem modlitwy, podniosłych uroczystości i religijnych wzruszeń wiernych szukających w wierze nadziei i oparcia w trudnych sytuacjach. Dzisiaj cerekiewski kościół strzeże wielowiekowej tradycji i miejsca uświęconego modlitwą parafian. Za czasów mojego dzieciństwa fizycznymi artefaktami przeszłości w tej wsi były budynek szkoły, dawny ziemiański dworek przekształcony w 1927 roku w placówkę oświatową, oraz urokliwa kapliczka św. Jana nad pobliskim stawem.

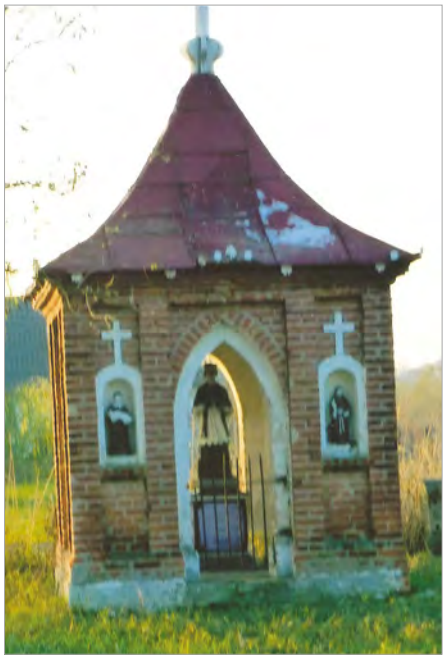

Fot. 10. Kapliczka św. Jana nad stawem w Cerekwi

Źródło: archiwum autora.

Dzisiaj nowoczesny budynek szkoły w niczym nie przypomina dawnej skromnej wiejskiej szkółki, która dla wielu jej uczniów otworzyła drogę do świata wiedzy, a często i zawodowej kariery. Dworek, w której mieściła się moja szkoła podstawowa, był miejscem zamieszkania matki Henryka Sienkiewicza – Stefanii Cieciszowskiej, żyjącej w XIX wieku.

Wśród wymienionych wcześniej wsi, które zostały zaznaczone na mapie mojej małej ojczyzny, jest Bielicha. To właśnie tam, jako dwuletni chłopiec, zamieszkałem wraz z rodzicami i starszym o rok bratem w ponurym poniemieckim domu. Przed wojną, jak i w trakcie okupacji jego właścicielem był kolonista niemiecki o nazwisku Matys. W jego gospodarstwie pracowali ci, którzy chcieli uniknąć wywózki na przymusowe roboty w głąb hitlerowskich Niemiec. Koniec wojny spowodował ucieczkę niemieckiego kolonisty, a jego posiadłość przejął ogrodnik Wielochorski, który wynajął część domu moim rodzicom. Warunki do mieszkania w nim były bardzo trudne. Nie było prądu, ogrzewania ani bieżącej wody. Jednak wybór tego miejsca nie był przypadkowy. Wynajęte mieszkanie sąsiadowało bowiem ze wsią Milejowice, w której przed wojną mój ojciec zakupił 2,5 hektara ziemi w ramach parcelacji majątku ziemskiego, traktując to jako formę lokaty kapitału. Jako komendant przedwojennej policji nieźle zarabiał i umiał trafnie ulokować swoje oszczędności, z czego do dzisiejszego dnia korzysta mój brat i jego rodzina. Brat mojego ojca, Stanisław Skalik, przedwojenny oficer Wojska Polskiego, dokonał gorszego wyboru, gdyż swoje oszczędności ulokował w banku i w czasie wojny niestety wszystko stracił. Posiadanie przez mojego ojca nieprzydatnego w nowej rzeczywistości politycznej zawodu policjanta oraz dość dobrze zlokalizowanej nieruchomości gruntowej wyznaczało dalszą jego drogę życiową. Postanowił osiedlić się w Milejowicach, postawić skromny domek i żyć z plonów dość ubogiej gleby, której pozbył się jej poprzedni właściciel. Jak na tamte czasy decyzja wydawała się rozsądna, lecz ryzykowna, gdyż ojciec nie miał pojęcia o uprawie ziemi ani środków na postawienie budynków gospodarczych. Jednak z pomocą mojego dziadka i dzięki sprzedaży stosunkowo

skromnych zasobów złotej biżuterii mojej mamy udało się sklecić zagrodę, która dzisiaj mogłaby być świetną scenografią do filmu opowiadającego o polskiej wsi w zamierzchłych czasach. Do dzisiaj pamiętam widok elementów przyszłego domu przywiezionych na furmankach z okolic Przytyka i złożonych na placu budowy. Spróchniałe bale, połamane deski nie nastrajały optymistycznie. Kupiona przez ojca chałupa bardziej nadawała się na opał niż dom do dłuższego zamieszkania. Mama była załamana, a miejscowy cieśla o nazwisku Duda nie chciał początkowo podjąć się budowy, jednak pod wpływem usilnych próśb mojej mamy zgodził się postawić dom. Kiedy wreszcie stanęła jego konstrukcja, a nad słomianym dachem dumnie wystawał murowany z cegły komin, w utrudzoną życiem rodzinę wstąpił duch optymizmu i nadzieja na poprawę losu. Byliśmy uratowani, gdyż tymczasowy właściciel poniemieckiego domu ciągle groził nam eksmisją, nie bacząc na beznadziejne położenie mojej rodziny. Zrządzeniem losu po naszej wyprowadzce przestał on być właścicielem poniemieckiego domu, a jego kolejnymi posiadaczami stali się dzięki decyzji nowej władzy sybiracy – Helena i Ignacy Waszkiewiczowie. Za udział w rewolucji 1905 roku władze carskie zesłały ich do Omska na Syberii. Byli to bardzo kulturalni ludzie, od których dowiedziałem się wiele o życiu Polaków na zesłaniu i ich wcześniejszej działalności rewolucyjnej. Zięć tych państwa, Ludwik Przybylski, był w latach 1948-1949 prezydentem miasta Radomia.

Z biegiem lat z takim trudem postawiona chałupka zmieniała swój wygląd. Zniknęła słomiana strzecha na dachu, dobudowano do niej murowaną część dzięki dolarowym oszczędnościom mojego dziadka Jana Wachnickiego, a wokół powstały gospodarcze zabudowania. Dzisiaj niewiele pozostało z dawnej zabudowy. Jej fragmenty zasłonił wyniosły dom mojego brata Zbigniewa, którego przedsiębiorczy duch zaowocował kolejnymi nowoczesnymi domami wybudowanymi w pobliżu przez niego dla swoich dzieci. Po biednej romantycznej chatce pozostało już tylko wspomnienie. Milejowice za moich czasów były niepozorną wioską, w której jedynym ciekawym obiektem był dwór z końca XIX wieku, będący przykładem ziemiańskiej architektury. Prowadziła do niego szeroka aleja kasztanowców, na końcu której rozłożył się piękny budynek ozdobiony wysokim gankiem wspartym wyniosłymi kolumnami. Wychodzących z dworu witał duży okrągły klomb, który w czasach świetności obsadzany był różnokolorowymi kwiatami. Z lewej strony wabiły wzrok dworskie ogrody warzywne, a prawa część rozległej posesji zajęta była przez duży staw porośnięty brzegami sitowiem i gdzieniegdzie plamami zielonej rzęsy. Z drewnianego pomostu można było się dostać na drewniane łódki pływające po tafli romantycznego stawu. Z jego uroków miałem okazję korzystać w czasie letnich upalnych dni razem z towarzyszami podwórkowych zabaw. Zagłada dworu rozpoczęła się wraz z przeznaczeniem go na gospodarstwo hodowlane prowadzone przez Zakłady Mięsne w pobliskim

Fot. 11. Dwór w Milejowicach

Źródło: archiwum Gminnej Biblioteki Publicznej w Zakrzewie.

Radomiu. We dworze ulokowano biura i mieszkania dla pracowników, którzy nie czuli się ich właścicielami. Latami budynek niszczał. Z czasem wyprowadzili się jego mieszkańcy, a dzieła zniszczenia dokonał w dniu 1 lutego 2017 roku nieznany sprawca, podpalając drzwi budynku. Dzisiaj ruiny dworu zostały wpisane na listę zabytków prawnie chronionych i czekają na ratunek oraz godne wykorzystanie. Powojenni włodarze dworu nie byli świadomi bogatej historii miejsca, w którym się znajdował, ani walorów budynku, który zadziwiał autentycznością formy i architektonicznego detalu. Sprofanowano ciekawe założenia dworsko-parkowe, budując w dworskich ogrodach ponure chlewnie, z których w czasie karmienia świń roznosił się na całą okolicę ich kwik pomieszany z wątpliwym zapachem gnojówki. Piękna kasztanowa aleja została osaczona gęstą, dość chaotyczną zabudową w czasach, gdy mieszkańcy odległych wiosek zapragnęli zamieszkać w pobliżu miasta wojewódzkiego, jakim w epoce Gierka był Radom. Exodus mieszkańców tego miasta, którzy woleli zamieszkać na łonie natury, dopełnił reszty. Milejowice mają dzisiaj bardziej charakter miejskiego osiedla niż urokliwej wioski, w której trudno odnaleźć spokój i wytchnienie od miejskiego gwaru. Pełzająca cywilizacja pochłonęła również piękne

Fot. 12. Autor i jego brat Zbigniew na milejowickim wzgórzu

Źródło: archiwum autora.

Fot. 13. Autor nad brzegiem stawu usytuowanego u podnóża milejowickiego wzgórza

Źródło: archiwum autora.

wzgórze morenowe, będące za moich czasów nie tylko miejscem wypoczynku pobliskich mieszkańców. Z jego wierzchołka można było bowiem podziwiać uroczy krajobraz najbliższej okolicy. Było ono z rzadka porośnięte niewysokimi sosnami, które kształtem przypominały japońskie bonsai. Zbocze wzgórza od południowej strony miało piaszczysty charakter. Jego złocisty piasek w bezpośrednim kontakcie z ciałami plażowiczów dawał odczucie pobytu na nadmorskiej plaży. Wprawdzie u stóp wzgórza zamiast morskich fal była tafla wody niewielkiego stawu, ale i tak dawała szanse na szybką ochłodę.

Dzisiaj ani śladu po tym uroczym miejscu. Wzgórze zostało wywiezione do pobliskiego Radomia, stając się cennym surowcem w postaci budowlanego piasku dla dzielnych budowniczych blokowisk. Cóż, jaka szkoda, że u nas nikt nie chroni krajobrazu, który też jest dobrem narodowym. Zrujnowany dwór w Milejowicach można jeszcze odbudować, ale wzgórze zostało zniszczone bezpowrotnie. Na szczęście mam zdjęcia tego miejsca i miłe wspomnienia z nim związane. Mieszkając przez prawie 17 lat w Milejowicach, nie znałem historii tej miejscowości, która istniała już w XV wieku, a jej właścicielem był rycerz Powała z Taczowa, który dzielnie wspierał króla Władysława Jagiełłę w bitwie pod Grunwaldem. W późniejszych czasach wieś należała do rodzin szlacheckich z Ukrainy. Ostatnim właścicielem majątku i dworu w Milejowicach był Napoleon Strzembosz, szambelan króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który za zasługi dla ojczyzny przyznał mu Order św. Stanisława. Nieskromnie muszę przyznać, że jestem od 2011 roku posiadaczem tego orderu.

W sieci miejscowości, które znajdują się w mojej małej ojczyźnie, są Jaszowice. Dzisiaj murowana wieś, ale za czasów mojego dzieciństwa, kiedy na wakacje rodzice wysyłali mnie do gniazda rodzinnego mojego dziadka Jana Wachnickiego, mogła stanowić idealną scenografię dla twórców filmu „Chłopi". Drewniane chałupy, obory i stodoły kryte strzechą rozłożyły się wzdłuż piaszczystej drogi prowadzącej do sąsiedniej wioski Golędzin, a dalej do Zatopolic i Cerekwi. Drewniane płoty chroniły przed dostępem niepowołanych gości, ale wyznaczały również życiową przestrzeń dla biegających kur, gęsi, kaczek i świń. Zagroda mojego pradziadka składała się z drewnianego domu pod strzechą, obory zbudowanej z dużych polnych kamieni oraz drewnianej stodoły. Zabudowania te wyznaczały powierzchnię podwórka, na którym od frontowej strony stała również kuźnia, gdyż mój pradziadek Wojciech Wachnicki był nie tylko rolnikiem, ale również kowalem.

Tuż za domem i budynkami gospodarczymi rozpościerał się ogromny ogród, w którym rosło dużo owocowych drzew. Wśród nich prym wiodły stare jabłonie, których gałęzie uginały się pod ciężarem dorodnych owoców o smaku dzisiaj rzadko spotykanym. Na końcu nieco dzikiego ogrodu płynął dość szeroki strumyk. Wpadały do niego wody z innego strumienia, biegnącego jak wąż wzdłuż

całej posesji. W wodzie tych strumieni latem miejscowe gospodynie prały bieliznę pościelową, posiłkując się, o dziwo, drzewnym popiołem, i schładzały w metalowych bańkach świeżo udojone mleko. Dalej za strumieniem było siedlisko należące do dworu. Urodziła się w nim Teresa Jadwiga Grodzińska, sanitariuszka, która jako 21-letnia ochotniczka wyruszyła na front podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. W okolicach Hrubieszowa dostała się do niewoli rosyjskiej i została zamordowana bestialsko przez Kozaków we wsi Czortowice. Była ona przedstawicielką zasłużonego dla ziemi radomskiej rodu ziemiańskiego Grodzińskich posiadających herb Paprzyca.

Rodzina mojego dziadka była dość liczna, gdyż miał on trzech braci i pięć sióstr. Odwiedzając siostry mojego dziadka, które pozostały na ojcowiźnie w Jaszowicach, zastanawiałem się, jak w niewielkim domu składającym się z pokoju, kuchni i poddasza mogło się pomieścić 10 osób. Najtrudniej było zimą. Pora letnia przynosiła ulgę, gdyż poddasze domu i stodoła w tym czasie stawały się sypialniami dla dorastających synów moich pradziadków. Ich córki były uprzywilejowane, gdyż przez cały rok zamieszkiwały w pokoju wraz z rodzicami. Pokój był dość przestronny. Stały w nim łóżka, stół i kredens, a potwierdzeniem wyższego standardu izby pełniącej funkcję salonu i sypialni była drewniana podłoga, utrapienie sióstr mojego dziadka, które co tydzień musiały ją szorować ryżową szczotką, aby zapewnić czystość i wydobyć piękno naturalnego surowca. W kuchni, będącej również jednocześnie sypialnią, nie było już takich luksusów. Podłoga była z ubitej gliny, a jej pielęgnacja polegała na codziennym zamiataniu brzozową miotłą i posypywaniu od święta żółtym piaskiem. Do domu wchodziło się z drewnianego ganku, po płaskich ogromnych polnych kamieniach pełniących funkcję schodków. Drzwi tego przybytku na ogół nie były zamykane, a jedyną zaporą dla niepowołanych gości była drewniana zasuwa, którą bez trudu można było odsunąć i dostać się do wnętrza. W tych czasach domy zostawiano otwarte, a strudzony wędrowiec mógł skorzystać z dobrodziejstw staropolskiej gościnności zgodnie z zasadą „czym chata bogata". W zagrodzie mojego pradziadka tętniło życie. Liczna rodzina znajdowała zatrudnienie w gospodarstwie, a dzielni synowie pomagali swojemu ojcu w kuźni, do której niezależnie od pory roku przyjeżdżali gospodarze, aby podkuć swoje konie. Czasami między braćmi dochodziło do nieporozumień i kłótni. Jedna z nich miała miejsce tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Jej uczestnikami byli mój dziadek Jan oraz jego brat Antoni. Doszło do siłowej próby między młodymi, po zakończeniu której urażony Antoni wybiegł z domu i wszelki ślad po nim zaginął. Zrozpaczona rodzina bezskutecznie poszukiwała uciekiniera, który po kilku miesiącach nadesłał list ze… Stanów Zjednoczonych, informujący o nowym miejscu jego pobytu. Było nim miasto Gran Rapids w stanie Michigan. Od tamtej pory Antoni Wachnicki stał się Antonem

Wachnickim zatrudnionym w miejscowej fabryce konserw. Tęsknił za ojczyzną, zapomniał o dawnych urazach, nieustannie wspierał finansowo i materialnie mojego dziadka i pisał do niego wzruszające listy.

Po wojnie, a więc w czasie moich wakacyjnych pobytów w Jaszowicach, na podupadłym gospodarstwie pozostały dwie niedołężne siostry dziadka. Nie były one w stanie podołać obowiązkom ponad ich siły, przekazały więc pozostały rodzinny majątek sąsiadom w zamian za deklarację opieki, która niestety okazała się iluzoryczna. Sąsiadka bowiem przejęła gospodarstwo, a niedołężną siostrę dziadka oddała do państwowego domu opieki, w którym ta wkrótce zmarła. Przed czterema laty odwiedziłem Jaszowice. Chciałem odświeżyć widoki z dziecięcych lat i pokazać moim najbliższym uroki wsi, której wygląd utrwalił się w mojej naiwnej pamięci. Cóż za rozczarowanie! Wieś, którą zobaczyłem, w niczym nie przypominała mi sielskiego obrazu Jaszowic z lat czterdziestych ubiegłego wieku. Nie było już ani jednej drewnianej zagrody. Zastąpiły je murowane budynki, przed którymi obok „wypasionych" aut stały nowoczesne traktory. Na siedlisku dawnej zagrody moich pradziadków nie znalazłem żadnego szczegółu, który potwierdzałby dawną obecność poprzednich właścicieli. Na posesji, starannie ogrodzonej siatkowym płotem, stał nowy solidny dom, a rosnący za nim młody sad owocowy w niczym nie przypominał dawnego uroczyska, jakim przed laty był ogród pełen dostojnych starych jabłoni i śliw. Na próżno można było szukać szemrzącego strumyka, który w dawnych latach był źródłem letniej ochłody i w przemyślny sposób doprowadzał kryształową wodę do kolejnego większego strumienia zaznaczającego naturalne granice siedliska moich pradziadków.

Fot. 14. Współczesny widok przydrożnego krzyża w Jaszowicach

Źródło: archiwum Gminnej Biblioteki Publicznej w Zakrzewie.

Jedynym elementem dawnego krajobrazu, który oparł się nieuchronnym zmianom cywilizacyjnym Jaszowic, pozostał przydrożny krzyż stojący w towarzystwie czterech wyniosłych kasztanów, które posadził osobiście mój dziadek Jan Wachnicki w dowód jego przywiązania do wiary i rodzinnej wsi.

Stawianie pamiątkowych krzyży i sadzenie drzew ma zatem głęboki sens, gdyż nie pozwala nam zapomnieć o związkach przeszłości z teraźniejszością i o małych ojczyznach, do których z utęsknieniem wracamy.

3

WSI SPOKOJNA, WSI WESOŁA

Uroki wiejskiego życia poznawałem w latach dzieciństwa i wczesnej młodości, przebywając w wymienionych wcześniej czterech wsiach mojej małej ojczyzny. Każda z nich miała inny charakter i dostarczała odmiennych wrażeń oraz wyników codziennych obserwacji. Życie na wsi nigdy mnie nie pociągało, ale powikłane losy mojego ojca sprawiły, że musiałem wzrastać w atmosferze wsi i specyficznej kultury, która od wieków tam panowała. Moja natura jest dość dynamiczna, żądna nowych emocji i wrażeń, których w większym stopniu można doznać w zgiełku miejskiego życia niż w wiejskiej głuszy. W powojennych czasach miasta stały się celem exodusu ludności wiejskiej, która poszukiwała szansy na zdobycie pracy, wykształcenia i na poprawę warunków życia. Zamieszkanie w mieście było potwierdzeniem awansu społecznego. Opinia o życiu na wsi w tamtych czasach kojarzyła się zwykle z zacofaniem, niższym poziomem kultury, ciężką pracą każdego dnia i trudnymi warunkami codziennej egzystencji. Stąd też decyzja moich rodziców o osiedleniu się na wsi wywołała zdziwienie wśród przyjaciół i znajomych mojej mamy. Traktowali ten wybór jako wyraz życiowej klęski i braku zdrowego rozsądku. Obecnie obserwujemy zjawisko odwrotne. Mieszkańcy dużych miast rezygnują z dobrodziejstw miejskiego życia, opuszczają ciężko zdobyte mieszkania w rozległych blokowiskach i swoje marzenia o życiu na łonie natury spełniają, budując nie zawsze gustowne „rezydencje" w okolicy wielkich miast. Ten exodus z miasta na wieś stał się potwierdzeniem wzrostu zamożności i życiowego sukcesu, tak niezbędnego do zdobycia uznania i szacunku znajomych oraz rodziny. Powstają często enklawy miejskich osiedli, które nie mają nic wspólnego z urokami dawnej polskiej wsi i rodzą nowe udręki związane z zachowaniem codziennych kontaktów z najbliższym miastem (jak np. stanie w korkach, dojazdy dzieci do szkoły i na dodatkowe zajęcia, konflikty ze stałymi mieszkańcami związane ze specyfiką wsi i prowadzonej produkcji rolno-hodowlanej).

W powojennych latach życie na wsi nie było łatwe, a jego bieg był wyznaczany nie tylko przez odwieczny rytm czterech pór roku i dni tygodnia, lecz również przez przemiany ustrojowe, które nadeszły ze wschodu wraz z zakończeniem wojny. Narzucony Polakom system tzw. demokracji ludowej mocno dawał

się we znaki mieszkańcom wsi. Obowiązkowe dostawy produktów rolnych, tzw. kontyngent, groźba przymusowej kolektywizacji, traktowanie ideologii komunistycznej jako oficjalnie obowiązującej oraz brak swobody w demonstrowaniu własnych poglądów, nie zawsze zgodnych z oficjalną linią partii rządzącej, ideologicznie opanowanej przez wyzwolicieli ze wschodu – wszystko to tworzyło atmosferę beznadziei i braku perspektyw. Niektórzy nie pogodzili się z nowym porządkiem i postanowili zbrojnie wystąpić przeciwko władzy. Nazywano ich wówczas „leśnymi", gdyż ukrywali się w lasach, a swój sprzeciw wobec nowych porządków wyrażali, napadając na posterunki milicyjne, siedziby władz partyjnych oraz obiekty publiczne. Dzisiaj określani są mianem „żołnierzy wyklętych". Dochodziło do bratobójczych walk, w których ginęli zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy nowej władzy. Sam jako dziecko byłem świadkiem jednej z takich akcji. Był rok 1947 lub 1948. Razem z ojcem wracaliśmy z pobliskiego Radomia. Na Bielisze, tam gdzie dzisiaj jest stacja benzynowa, od strony janiszewskiego lasu wbiegła na szosę grupa partyzantów. Tuż za nimi pędzili uzbrojeni milicjanci, strzelający do uciekających „leśnych", którzy schronili się na posesji gospodarza o nazwisku Hetman. Jego córka była w oddziale partyzanckim walczącym z komunistyczną władzą. W czasie tej akcji została zaaresztowana, a potem była poddawana nieludzkim torturom w siedzibie radomskiego Urzędu Bezpieczeństwa. Jego funkcjonariusze wymuszali na niej zeznania, wbijając dzielnej dziewczynie igły za paznokcie oraz bijąc ją drewnianą nogą od stołu. Takie opowieści krążyły po jej powrocie z więzienia. To, co wówczas widziałem, było pokłosiem wojny, która nawet w czasie pokoju przypominała o sobie widokiem żołnierskich hełmów wykorzystywanych w chłopskich zagrodach do pojenia i karmienia drobiu oraz kanonadą wybuchających niewypałów. Patrząc na wypełnione karmą lub wodą żołnierskie hełmy, zadawałem sobie pytanie, do kogo one wcześniej należały i jaki los spotkał ich dawnych właścicieli? Wybuchy niewypałów w lesie oddzielającym Milejowice od wsi Zdziechów i Mleczków były stałym elementem wiosennej i letniej scenerii powojennego życia w tych podradomskich wioskach. W lesie tym od czasu wojny były zakopane duże ilości pocisków i niewypałów. Żądni mocnych wrażeń nastolatkowie z okolicznych wsi oraz pobliskiego Radomia urządzali eksploracyjne wyprawy, których celem było rozkręcanie wydobytych z ziemi śmiercionośnych niewypałów. Te amatorskie akcje ich rozbrajania kończyły się zwykle ogromnym wybuchem rozrywającym nieszczęśników na kawałki, które znajdowano potem na koronach malowniczych sosen. Przerażający huk wstrząsał wówczas całą okolicą, a czarny złowieszczy dym dopełniał widoku grozy, powiadamiając okolicznych mieszkańców o tym tragicznym wydarzeniu. Podczas jednej takiej akcji poszukiwawczej zginęło dwóch braci Zielińskich. Była to ogromna tragedia dla rodziców, którzy nie mieli więcej dzieci. Ciężko został też poszkodowany syn dróżnika Guzy.

Przemiany ustrojowe na polskiej wsi, które miały miejsce po zakończeniu drugiej wojny światowej, następowały pod hasłem walki z analfabetyzmem. Znaczna część ludności wiejskiej nie umiała czytać i pisać. Niepiśmienni podpisywali różnego rodzaju dokumenty wymagające osobistego poświadczenia dwoma krzyżykami zastępującymi imię i nazwisko. Stąd też nowa władza wprowadziła akcję przymusowej nauki czytania i pisania dla analfabetów. Byli to ludzie w starszym wieku. Nie wszyscy zdołali opanować tak niezbędną do codziennej egzystencji umiejętność komunikowania się z otoczeniem. Wynikały z tego niejednokrotnie zabawne sytuacje. Widziałem, jak nieumiejąca czytać i pisać żona sołtysa w Milejowicach, nazywana przez miejscowych „moja złociutka", skwapliwie oglądała i wąchała urzędową korespondencję przyniesioną przez listonosza, aby ostatecznie zawyrokować o jej treści i zawołać do męża „stary, trzeba iść do powiatu". W tamtych czasach umiejętność czytania i pisania była potwierdzeniem intelektualnej sprawności i nadążania za nowymi wyzwaniami. Społeczność Milejowic starała się sprostać tym wyzwaniom, ale była dość mentalnie i ekonomicznie zróżnicowana. Mieszkańców tej wsi bardziej różnił stan posiadania niż poziom formalnego wykształcenia. Na szczycie wiejskiej hierarchii stali najbogatsi gospodarze i sołtys. Do tych pierwszych należały rodziny Stańczykowskich i Raków, właścicieli dużego gospodarstwa i młyna, który z racji usytuowania na zboczu pagórka wznosił się nad całością zabudowy, podkreślając dominującą we wsi pozycję gospodarzy. To właśnie u nich pojawiały się w pierwszej kolejności różnego rodzaju nowinki techniczne, a ich wiedza i ogólny poziom kultury były wzorcem dla pozostałych mieszkańców. Niżej usytuowani byli pozostali gospodarze oraz ci, którzy dzięki reformie rolnej stali się właścicielami dawnego dworskiego gruntu. Należeli do nich również mieszkańcy wioski, którzy przed wojną nie mieli własnej ziemi. Pracowali we dworze jako najemnicy i nie posiadali własnych zagród – mieszkali w czworakach nieopodal dworu. Nazywano ich pogardliwie „dworusami". My byliśmy „obcy" i inni. Traktowano nas z nieufnością. Z czasem miejscowi nabrali do nas przekonania, wiedza i umiejętności mojej mamy bowiem pomagały im w rozwiązywaniu wielu życiowych problemów. Mama udzielała korepetycji, pisała podania do urzędów, załatwiała pracę, o którą po wojnie nie było tak łatwo, jak to się ogólnie sądzi. W tej małej wsi mieszkały dość intrygujące osoby, które swoim zachowaniem budziły zaciekawienie, a czasami powszechną wesołość. Jedną z takich postaci był nasz sąsiad Piotr Jędrzejewski – osoba dość ekscentryczna, o wielkopańskich manierach. Jako przedwojenny leśniczy zawsze podkreślał swoją wyższość nad pozostałymi mieszkańcami, a swoją powojenną pozycję społeczną traktował jako niesłuszne zrządzenie losu i życiową klęskę. Miał on dwóch synów, którzy jak to wyniknie z dalszych opowieści, w sposób podstępny próbowali dowiedzieć się ode mnie czegoś na temat genezy pojawienia się mojej skromnej osoby na tym łez padole.

Ojciec tych znacznie starszych ode mnie chłopców chełpił się ich niezwykłą urodą, a zwłaszcza kolorem włosów. Podkreślał, że rzadko się zdarza takie szczęście, aby rodzice dwóch synów mieli jednego rudego, a drugiego, jak mawiał nasz sąsiad, „ryżego". Jak pokazała przyszłość, kolor włosów tych młodzieńców nie był przepustką do życiowych sukcesów. Obaj w dramatycznych okolicznościach zakończyli swój żywot. Drugą dość intrygującą postacią Milejowic był dróżnik o nazwisku Guza, który codziennie rano z łopatą opartą na ramieniu dostojnie przemierzał drogę biegnącą z Przytyka do Radomia i dokonywał jej drobnych napraw. Wieczorami i w niedzielne popołudnia, odświętnie ubrany, zasiadał przy stole, rozkładał „Kapitał" Marksa i połykał słowa tego dzieła jak słowa Świętej Ewangelii. Był człowiekiem niewykształconym, ale pochłoniętym marksistowską ideologią. Czasami dzielił się z innymi wiedzą tak trudno zdobytą. Jakież szczęście miał nasz bohater, że nie dożył współczesnych czasów. Za swoje ideologiczne pasje mógłby stanąć przed obliczem wysokiego sądu.

Nadejście wiosny w podradomskich Milejowicach, zwiastowane zwykle przylotem bocianów, oznaczało ożywienie w chłopskich zagrodach i na okolicznych ziemiach. Na wąskich płachetkach pól pojawiali się oracze ze swoimi końmi, które posłusznie poddawały się woli swoich właścicieli, ciągnąc za sobą pługi, brony i inne maszyny rolnicze. Posiadanie konia w tamtych czasach było wyrazem nie tylko pewnej zamożności, ale również niezależności i codziennej wygody. Koń bowiem umożliwiał komunikowanie się z miastem i przemieszczanie się po okolicy. Furmanki ciągnione przez konie umożliwiały uczestnictwo w okolicznych jarmarkach, dostarczenie do gospodarstw zakupów poczynionych w mieście, przewóz obłożnie chorych do szpitala czy wyjazd do kościoła. Wozy konne pełniły niejednokrotnie funkcję karawanów, na których transportowano zmarłych w ostatniej drodze ich ziemskiej wędrówki. Przybrany koń ciągnący wóz czy ustrojoną bryczkę był uczestnikiem weselnego orszaku, który podążał z młodą parą do parafialnego kościoła. W tamtych czasach na wsi nie używano koni do celów rekreacyjnych czy sportowych. Było to zwierzę wyłącznie gospodarskie, bez którego trudno było funkcjonować. Koni używano nie tylko do prac polowych, zaprzęgano je również do kieratu, który umożliwiał uzyskiwanie sieczki, czyli drobno pociętej słomy wykorzystywanej jako pasza dla bydła. Nie wszyscy jednak posiadali konie, ci mniej zamożni byli skazani na korzystanie z usług bogatszych gospodarzy, którzy za tzw. odrobek wykonywali prace polowe bądź też wypożyczali tak cenną siłę pociągową innym, którzy z kolei później pracą przy żniwach czy podczas wykopków spłacali zobowiązania wobec swoich usługodawców. Usługobiorcami byli najczęściej małorolni chłopi, którzy otrzymali ziemię w ramach reformy rolnej, traktując ją jako potwierdzenie dziejowej sprawiedliwości. Mój ojciec, jako rolnik amator, początkowo nie posiadał konia, ale z czasem stał się jego właścicielem, co ułatwiło mu prowadzenie go-

spodarstwa, ale uszczupliło skromne plony uzyskiwane ze stosunkowo małej powierzchni piaszczystych gruntów. Często zastanawiałem się nad ekonomicznym sensem utrzymywania zwierzęcia, które zjadało znaczną część uzyskanych plonów. Nieliczne traktory marki „Ursus" w podradomskich wsiach pojawiły się dopiero w latach pięćdziesiątych. Nie były one jednak dostępne dla wszystkich, nie tylko ze względu na ich wysoką cenę, ale również na ograniczone możliwości ich wykorzystania na wąskich skrawkach pól należących do różnych właścicieli. To ostatnie utrudnienie stało się dla władzy ludowej pretekstem do przeprowadzania kolektywizacji, która przez chłopów podradomskich wiosek była traktowana wrogo i po prostu się nie udała. Próbowano ją przeprowadzać na siłę, jak to miało miejsce w Cerekwi, ale dramatyczne gesty miejscowych gospodarzy, a zwłaszcza ich żon, polegające między innymi na rzucaniu się pod koła ciągników zaorywujących miedze wyznaczające działki poszczególnych właścicieli, powstrzymały ówczesne władze przed tworzeniem kołchozów na wzór radziecki. Obecnie konne zaprzęgi zostały zastąpione przez nowoczesne traktory, ale przywiązanie do koni pozostało, czego wyrazem są organizowane corocznie dwudniowe, największe w Europie targi końskie w podradomskim Skaryszewie. Tradycja tej handlowej imprezy trwa już od 1433 roku, w którym król Władysław Jagiełło nadał tej miejscowości prawa miejskie i przywilej organizowania wspomnianych targów. Ich atrakcją są nie tylko same konie, ale również rytuał ich zakupu kończący się charakterystycznym przyklepywaniem rąk uczestników tej dość egzotycznej transakcji. Od wielu lat cieniem, który kładł się na wizerunku tych targów był fakt sprzedaży koni na rzeź zagranicznym kupcom. Na szczęście zaprzestanie tego procederu w 2017 roku pozwala znów w nich uczestniczyć bez wizerunkowych obciążeń.

Wiosenne prace w gospodarstwach rozkręcały się na dobre w kwietniu. Odkrywano kopce z ziemniakami i przygotowywano je do sadzenia. Mozolnie ogacone igliwiem chaty rozbierano z zimowego odzienia, a ściany malowano wapnem z dodatkiem lakmusu, który nadawał domom kolor wiosennego nieba. Pełnia wiosny rozkwitała w maju, który hojnie obsypywał gałęzie drzew owocowych białymi kwiatami, a chłopskie zagrody przystrajał bukietami bzów rosnących prawie w każdym obejściu. Z rozrzewnieniem przypominam sobie aleję kwitnących wiśni, która prowadziła wprost do skromnego domu moich rodziców. O poranku na gałęziach obsypanych kwieciem siadały rozliczne ptaki, których śpiew stanowił muzyczne tło niezwykłego widowiska stanowiącego odwieczną pochwałę wiosny. Wieczorami śpiew ptaków mieszał się ze śpiewem uczestników majówek, na których pobożny lud czcił Matkę Boską. W Milejowicach te nabożne spotkania odbywały się przed żelaznym krzyżem stojącym na początku alei prowadzącej do dworu. Przed rozpoczęciem majówek krzyż przystrajano kolorowymi kwiatami z bibułki, porządkowano najbliższe otoczenie, aby godnie odprawiać majowe

nabożeństwa. Obecność wiosny odczuwało się również w najbliższym otoczeniu domu, w którym mieszkałem. Na sąsiadującym z nim polu rozwijały się dorodne kłosy żyta, a rosnące w pobliżu krzaki ziemniaków i truskawek okrywały się kwiatami zwiastującymi obfitość przyszłych plonów. Ten spektakl natury w miarę zbliżającego się lata nabierał mniej intensywnego kolorytu, zapowiadając nadejście nowych zdarzeń i zmian w wiejskim krajobrazie.

Fot. 15. Żniwa we wsi Gulin, gmina Zakrzew (własność pani Grzywacz z Gulina)

Źródło: zbiory Gminnej Biblioteki Publicznej w Zakrzewie.

Nadejście lata w Milejowicach, jak i w pozostałych wsiach mojej małej ojczyzny, kojarzy mi się z czasem żniw i ogromnym wysiłkiem żniwiarzy, których efekty pracy przystrajały okoliczne pola rzędami ustawionych w mendle snopków. W tamtych czasach nie było kombajnów z klimatyzowanymi kabinami. Bogatsi gospodarze mieli żniwiarki ciągnione przez konie, które wyręczały ręcznych kosiarzy. Na polach królowały jednak kosy, których użycie wiązało się z dużym wysiłkiem i koniecznością częstego wyklepywania – jego dźwięk w wiejskiej przestrzeni zapowiadał nadejście żniw. Ich rozpoczęcie przybierało postać swoistego rytuału, który pozwalał zaprezentować męską siłę kosiarzy oraz zwinność, a często godną podziwu urodę młodych żniwiarek. Jako kilkuletni chłopak przyglądałem się rozpoczęciu żniw na polu rodziny Owczarków, których zagroda znajdowała się w pobliżu skrzyżowania dróg prowadzących do Cerekwi

i Zakrzewa oraz morenowego wzgórza, nad którego zagładą wcześniej ubolewałem. Rozpoczęcie żniw w gospodarstwie Owczarków zwiastowały oględziny pola, na którym dojrzewały dorodna pszenica lub żyto. Senior rodu najpierw przyglądał się kłosom, później zrywał jeden z nich i rozcierał na swojej dłoni jego zawartość. Badał twardość uzyskanych w ten sposób ziaren. Jeżeli próba wypadała pomyślnie, podejmowano decyzję o terminie koszenia. Realizowali ją zwykle młodsi członkowie rodziny – muskularny i postawny zięć, przypominający rzymskiego gladiatora, oraz jego urodziwa żona, córka gospodarzy. Młody żniwiarz zdecydowanymi ruchami kosy powalał na ziemię łodygi dojrzałego zboża, a piękna żniwiarka z długim warkoczem, swoim wyglądem przypominająca postaci z obrazów Jacka Malczewskiego, zbierała je, układała w snopki i wiązała za pomocą słomy, która tak niedawno była jeszcze częścią falującego na wietrze łanu pszenicy. Po zakończeniu koszenia młodzi żniwiarze z pomocą starszych rodziców stawiali snopki w mendle, które po wysuszeniu w promieniach letniego słońca były przewożone do stodoły gospodarza drabiniastymi wozami. Tam złożone snopy oczekiwały na wymłócenie, które początkowo odbywało się w dość prymitywny sposób za pomocą cepów, czyli dwóch powiązanych ze sobą grubych kijów. Jeden z nich spełniał funkcję rękojeści, a drugi, ruchomy, uderzał w rozłożone na klepisku stodoły snopy z kłosami, z których uwalniano dzięki tej operacji zawarte w nich ziarna. Wymłócenie całej zawartości stodoły przy użyciu tak prymitywnej technologii wymagało nie tylko dużego wysiłku fizycznego, ale i dłuższego czasu. Korzystały na tym polne myszy, które jesienią sprowadzały się do stodół i „pomagały" wymłócić na swój sposób cenną ich zawartość. Z czasem cepy poszły do lamusa, a ich prosta budowa przybrała metaforyczną postać w potocznym języku, przydatną do wyjaśnienia prostych spraw czy problemów. Później nastąpiła era młockarni poruszanych za pomocą spalinowych silników, które instalowano w stodołach na czas młocki. Cały proces uwalniania ziaren odbywał się mechanicznie, ale przy zaangażowaniu kilku osób pracujących w tumanach kurzu i przy akompaniamencie ogromnego huku działającej maszyny. Po zakończeniu tej batalii o zboże wszyscy jej uczestnicy wyglądali jak górnicy po zakończeniu szychty – byli jednak pokryci szarym pyłem zmieszanym z potem, a nie czarnym węglowym pyłem. Dzisiaj tę katorżniczą pracę wykonują kombajny. Latem mieszkańcy podradomskich wsi myśleli już o nadchodzącej zimie. Gospodynie przygotowywały przetwory. Gromadzono opał na zimę. Zwożono drewno z lasu. Niektórzy mieli własne torfowiska, z których pozyskiwali torf. Korzystali z nich mieszkańcy Jaszowic. Będąc na wakacjach u rodziny mojego dziadka, widziałem, jak formowano kostki torfowe wielkości cegły, zwożono do zagród i układano wokół ścian zabudowań gospodarczych. Torf suszył się pod osłoną słomianych strzech, a zimową porą dostarczał żaru i ciepła w domowych paleniskach. Letnia pora na wsi była czasem ciężkiej i różnorodnej pracy, której

efekty pozwalały zapewnić egzystencję w kolejnych miesiącach starego i nowego roku. Zachętą do wzmożonego wysiłku w letniej porze była przestroga płynąca z ludowego przysłowia „kto latem szuka chłodu, to zimą zazna głodu".

Letni czas na wsi był związany też ze zjawiskami natury, które nie tylko niweczyły materialny dorobek ludzi, ale często pozbawiały ich życia. Zjawiskami tymi były letnie burze, przez niektórych mieszkańców wsi kojarzone z karą za grzechy. Zwiastunem letniej burzy w Milejowicach, następującej zwykle po upalnym dniu, była ciemna chmura nadciągająca od strony Zakrzewa oraz towarzyszący jej pomruk grzmotów i rozdzierające niebo błyskawice. Zatrwożeni ludzie chowali się do swoich chat, w oknach stawiali święte obrazki i zapalone gromnice. Wierzyli również, że zawieszone na zewnątrz chałup zasuszone gałązki brzóz, które zdobiły ołtarze wzniesione na potrzeby procesji Bożego Ciała, będą skutecznie chronić domostwa przed uderzeniem piorunów i będących ich skutkiem pożarów. Nie zawsze jednak ochrona ta była skuteczna i wówczas można było obserwować dramatyczny i niezwykły spektakl, który zwłaszcza nocą przerażał grozą i bezsilnością człowieka wobec natury i losowych zdarzeń o niszczącym charakterze. Drewniane, kryte słomą domy i budynki gospodarcze płonęły jak pochodnie. Słup ognia szybował w górę i rozświetlał całą okolicę, a odrywające się od niego iskry fruwały w powietrzu i rozsiewały zalążki nowego ognia na sąsiednich zabudowaniach, niemych świadkach przerażającego widowiska. Wokół słychać było krzyki rozpaczy właścicieli płonącej zagrody pomieszane z rykiem wypędzanego bydła i rżeniem przestraszonych koni. Niektórzy zdesperowani nieszczęśnicy, licząc na pomoc i łaskę niebios, trzymali w rękach uratowane z pożogi święte obrazy w nadziei poskromienia niszczącego żywiołu. Nie zawsze jednak ich wołania o niebiańską pomoc były wysłuchane. Wówczas, zanim dojechała straż pożarna, ogień dokonywał dzieła zniszczenia. Przybycie strażaków, nowych aktorów przerażającego widowiska, dawało nadzieję na przetrwanie sąsiednich budynków, które polewano strumieniami wody, aby nie dopuścić do rozprzestrzenia się ognia i zwiększenia rozmiaru strat spowodowanych uderzeniem bezlitosnego pioruna. Następnego dnia pogorzelisko było celem wycieczek ciekawskich z całej okolicy, którzy słowami otuchy, a czasem materialnym wsparciem podtrzymywali na duchu ofiary nocnego nieszczęścia. Podobny scenariusz miały również pożary wywołane niefrasobliwością i brakiem ostrożności ze strony gospodarzy, którzy wieczorową porą używali w łatwopalnych budynkach naftowych latarek i lamp oraz świec. Po wojnie, aż do połowy lat pięćdziesiątych, podradomskie wsie nie miały energii elektrycznej. Wówczas wybuchały pożary często z tych samych przyczyn, które w 1871 roku doprowadziły do wielkiego pożaru w Chicago. W jego rezultacie spaliło się 17 450 domów, prawie jedna trzecia całej zabudowy tego wielkiego miasta, a 300 osób straciło życie. A wszystko z dość banalnego powodu. Otóż w drewnianej oborze należącej

do irlandzkiego robotnika Patricka O'Leary'ego jego żona doiła krowę. Zniecierpliwiona tą czynnością krowa kopnęła stojącą w pobliżu lampę naftową i od tego zaczęło się całe nieszczęście. Ponieważ Milejowice to nie Chicago, skutki takich zdarzeń miały dość ograniczony charakter.

Opustoszałe i poszarzałe po żniwach pola, odlatujące bociany i nabrzmiałe od obfitości owoców przydomowe sady zwiastowały koniec lata. Oficjalnym akordem jego zakończenia były gminne dożynki organizowane w Zakrzewie lub Cerekwi. Kulminacyjnym punktem tego bardzo barwnego widowiska było wręczenie gospodarzowi dożynek misternie uplecionego z kłosów zbóż wieńca przy akompaniamencie okolicznościowych śpiewów. Impreza miała nie tylko podniosły, ale również radosny charakter, czego potwierdzeniem były tańce zespołów ludowych oraz większości uczestników imprezy na ogólnodostępnej zabawie, a dobrą atmosferę podtrzymywał, jak to zwykle bywa przy takich okazjach, wszechobecny alkohol.

Fot. 16. Wykopki ziemniaków w Gustawowie

Źródło: zbiory archiwalne Gminnej Biblioteki Publicznej w Zakrzewie.

Jesień w podradomskich wsiach zaznaczała swoją obecność dymami snującymi się nad kartofliskami, na których kobiety uzbrojone w motyki wydobywały z ziemi dorodne bulwy ziemniaków i wrzucały je do wiklinowych koszy. Po ich napełnieniu zręczne, ale utrudzone ręce wieśniaczek wysypywały ziemniaki do stojących w pobliżu konnych wozów. Atrakcją tej ciężkiej pracy było pieczenie ziemniaków w ogniskach, do rozpalania których służyły zeschnięte

łodygi ziemniaczane. Ich spalaniu towarzyszył dym rozpościerający się po całej okolicy. Widok był sielski, a jego uroki możemy dzisiaj podziwiać na obrazach Józefa Chełmońskiego. Z czasem motyki zastąpiły mechaniczne kopaczki, które wygrzebywały z ziemi jej cenną zawartość. Nadal pozostała jednak uciążliwa konieczność zbierania wydobytych z ziemi bulw, którą w obecnych czasach wyeliminowano dzięki zastosowaniu ziemniaczanych kombajnów. Jesienne prace polowe zmieniały koloryt wsi. Pola stawały się coraz bardziej szare, a ich smutek ożywiały zielone połacie świeżo zasianych zbóż oraz pożółkłe łąki. Radosnym akcentem jesieni było babie lato. Wówczas, w słoneczne dni, na tle błękitnego nieba błyszczały złote liście drzew przystrajane przez białe wstęgi nici fruwających w powietrzu. Z czasem liście szarzały i opadały na ziemię, a nagie konary drzew i jesienne szarugi pogłębiały uczucie wkradającego się smutku do tak niedawno radosnej atmosfery lata. Mocnym akordem jesiennego smutku był dzień Wszystkich Świętych, z którym wiązało się porządkowanie, przystrajanie i odwiedzanie grobów bliskich i znajomych. Już od najwcześniejszych dziecięcych lat uczestniczyłem w tym święcie pamięci, łącząc się w zadumie nad losem tych, którzy odeszli na zawsze i pocieszając się nadzieją ich spotkania w pozaziemskiej rzeczywistości. Cmentarze zawsze budziły we mnie nie tylko smutek, ale również refleksje nad sensem życia. Były impulsem do wspomnień i podtrzymywania pamięci o tych, którzy odeszli, a którym tak dużo zawdzięczamy. Miejscem przeżywania tajemniczej atmosfery Święta Zmarłych i budzenia się głębokich refleksji nad przemijaniem był najczęściej cmentarz w Cerekwi, a po śmierci moich dziadków – zabytkowa nekropolia radomska, czyli cmentarz przy ul. Limanowskiego.

Właściwe święto poprzedzało porządkowanie grobów. Całe rodziny wyruszały zatem na cmentarze. Z ziemnych grobów, które w ciągu lata zarosły chwastami, wyrywano zeschnięte łodygi, poprawiano ich bryłę przy wykorzystaniu świeżego żółtego piasku, a płaską część mogił przystrajano w zależności od zasobności kieszeni. Biedniejsi układali kompozycje złożone z białych owoców śnieguliczki i kasztanów. Bogatsi nie szczędzili pieniędzy na białe chryzantemy, które bez trudu można było kupić od ogrodników tuż za cmentarnym murem. Tam też odbywał się tajemniczy spektakl odprawiania modlitw za zbawienie dusz zmarłych. Głównymi aktorami tego spektaklu były klęczące na ziemi, zgarbione postacie dziadów proszalnych, z wyciągniętymi dłońmi proszących o datki, oferując w zamian modlitwę za duszę zmarłych wskazanych przez ofiarodawców. Ci zaś, z nadzieją na skuteczność modłów, wrzucali drobne pieniądze do oczekujących na wsparcie dłoni, wymawiając głośno imię i nazwisko osoby oczekującej na wieczne zbawienie. W rezultacie tego dobroczynnego dla obu stron aktu z ust modlitewnego usługodawcy zaczynały płynąć słowa modlitwy za spokój duszy wskazanej osoby. Usatysfakcjonowani ofiarodawcy, słysząc je, odchodzili z poczuciem spełnionego obowiązku. W dniu 1 listopada cały cmen-

Fot. 17. Zabytkowa część cmentarza w Cerekwi

Źródło: zbiory Gminnej Biblioteki Publicznej w Cerekwi.

Fot. 18. Kaplica na cmentarzu w Cerekwi

Źródło: zbiory Gminnej Biblioteki Publicznej w Cerekwi.

tarz tonął w bieli chryzantem. Ich kolor, symbol niewinności, był w pewnym sensie potwierdzeniem odkupienia grzechów zmarłych, którzy doznali łaski wiecznego zbawienia. W przekonaniu żyjących obecność tych kwiatów na grobach była doczesnym świadectwem tego aktu. Z czasem białe chryzantemy zostały wyparte przez kiczowate wiązanki ze sztucznych kwiatów, które nie tylko obciążają naturalne środowisko, ale i wywołują negatywne odczucia estetyczne i odbierają oglądającym możliwość podziwiania piękna żywej natury na miejscu wiecznego spoczynku drogich im osób. Tajemniczo, a zarazem pięknie prezentowały się cmentarze wieczorną porą podczas uroczystych procesji. Palące się na grobach świece podkreślały urodę białych chryzantem i okadzały przestrzeń wystrojonego cmentarza, w której unosiły się odgłosy szeptanych modlitw i nabożnych pieśni. Powrotowi z cmentarza towarzyszyła łuna światła unosząca się nad jego powierzchnią, przypominająca żywym, że nie wszystko umiera. Pozostaje tradycja, pamięć i nadzieja wiecznego życia. Tajemnicza atmosfera cmentarza w Cerekwi, która panowała podczas zapadających ciemności wieczoru Święta Zmarłych, pobudzała moją wyobraźnię. Przywoływała wspomnienia o zmarłych z mojej rodziny i dawała złudną nadzieję spotkania z duchami zmarłych w tajemniczej scenerii przedstawionej w Mickiewiczowskich „Dziadach". Cmentarna kaplica w Cerekwi zawsze kojarzyła mi się z obrzędem przywoływania duchów pokutnych przedstawionym w tym utworze.

Ten metafizyczny spektakl jest idealną okazją dla poetów i filozofów, umożliwia interpretację zdarzeń i zjawisk, które często wykraczają poza doświadczenia zmysłowe. Ziemia radomska ma takiego poetę i filozofa. Jest nim urodzony w Cerekwi Michał Sobol, który w wierszu „Cmentarze" odkrywa sens odwiedzania miejsca spoczynku zmarłych:

> Gdy na gwałt potrzebujemy potwierdzenia, że jednak możliwe jest
> umrzeć, odwiedzamy cmentarze. Te rzadkie chwile postoju –
> pożółkły wieniec udekorowany bożonarodzeniową bombką
> usuwamy dopiero wiosną, gdy kwitną bazie – z roku na rok
> trwają kilka minut dłużej. Cyfrowa muzyka dobiega
> nawet tu z zaparkowanych za murem samochodów i gniew
> wywołany tym niesmacznym kawałem, że umysł przetrwa, tylko
> ciało nie, łagodzi widok ziemnych grobów, ale już nie zawsze.
>
> (Michał Sobol „Schrony", wydanie II, Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2017).

Refleksje płynące z treści tego wiersza nie budzą we mnie gniewu, lecz umacniają moją wiarę w potęgę i wieczne trwanie ludzkiego umysłu oraz mądrość poetów, którzy zauważają to, czego przeciętni ludzie nie postrzegają i w pogoni za złudnym szczęściem oraz wytworami cywilizacji gubią głęboki sens ziemskiej egzystencji.

Fot. 19. Wiejski dom w Gulinie ocieplony na zimę (własność pani Grzywacz z Gulina)

Źródło: zbiory archiwalne Gminnej Biblioteki Publicznej w Zakrzewie.

Jesienny czas i bliska perspektywa zimy rodziły nowe troski i konieczność wykonania prac warunkujących przetrwanie tej złowrogiej pory roku. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku zimy były mroźne i śnieżne. Pnie drzew pękały od silnych mrozów, a idącym po zamarzniętych drogach towarzyszyło nieodłączne skrzypienie obuwia. Zimy zaczynały się w listopadzie i kończyły swoje panowanie w marcu, wraz z przylotem bocianów zimujących w ciepłych krajach. Dwudziesto- czy też trzydziestopniowe mrozy nie były rzadkością. W obecnych czasach śnieg na terenach nizinnych, jeżeli pada, to w niewielkich ilościach, a trzaskające mrozy goszczą tylko na szczytach wysokich gór. W Milejowicach i Cerekwi posiadacze drewnianych chałup grabili w lasach opadłe z sosnowych drzew igliwie i otulali nimi ściany drewnianych domów. W potocznej mowie czynność tę określano jako „gacenie", co rodziło u niektórych skojarzenie z nazwą męskiej bielizny tak przydatnej zimową porą. Terenem pozyskiwania tak cennej otuliny był las rosnący między Milejowicami i Cerekwią, który dzisiaj jest gęsto zabudowany okazałymi domami amatorów świeżego powietrza. Poszczególnych posesji strzegą masywne ogrodzenia i groźne psy. W czasach mojej wczesnej edukacji mijałem codziennie ten las i zbierałem w nim gąski, czyli grzyby zwane często zielonkami, z których mama gotowała pyszną zupę. Las ten odgrywał również rolę naturalnego teatru, w którym powracająca ze szkoły młodzież urządzała widowiska w stylu halloween, wykorzystując w tym celu wdzięczny element martwych natur na starych obrazach, jakimi są dynie. Starsza młodzież, chcąc wystraszyć tych młodszych wracających wieczorem ze szkoły, ustawiała je

w lesie. W środku umieszczała zapalone świece, których światło wyzierało przez wydrążone w dyni oczodoły i usta z wyszczerbionymi zębami, wywołując uczucie grozy i niesamowitości. Strach oglądających to widowisko był potęgowany przez fakt, że w lesie znajdował się grób z czasów wojny, o którym krążyły tajemnicze opowieści pobudzające wyobraźnię młodych widzów tajemniczego spektaklu. Jak z tego wynika, zatrute owoce zachodniej kultury w postaci halloween, bo tak się mówi dzisiaj w Polsce o tym święcie, a zarazem zjawisku popularnej kultury, były znane w Milejowicach i Cerekwi już w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Sądzę, że nie poczyniły one wielkiej szkody w umysłach dzieci, które dzisiaj jako dorośli tłumnie odwiedzają cmentarze i kościoły w dniu Święta Zmarłych.

Pora późnej jesieni była również czasem kiszenia kapusty, której dorodne głowy szatkowano i ścinkami kapuścianych liści wypełniano drewniane beczki, ubijano je drewnianymi ciężkimi bijakami przypominającymi maczugi pierwotnych ludzi. Większość jednak ułatwiała sobie tę dość trudną pracę, używając do maltretowania biednej kapusty własnych nóg. W tym celu ktoś z domowników zdejmował obuwie, wskakiwał do beczki i bosymi stopami ugniatał jej zawartość, wykonując przy tym rytmiczne podskoki i gesty przypominające rytualny taniec. Po jego zakończeniu na „umęczonej" kapuście układano duży ciężki kamień, który wieńczył dzieło zmęczonej „tancerki" lub „tancerza". Reszta zadań należała do niewidocznych bakterii, które przeistaczały ubitą masę w jadalny produkt będący składnikiem kapuśniaków, pierogów i innych pyszności polskiej kuchni.

Spragniona wypoczynku natura powoli układała się do zimowego snu, a pojawiający się w okolicy św. Marcina śnieg przykrywał pola i słomiane dachy przycupniętych chat. Życie gospodarzy koncentrowało się głównie na obrządku żywego inwentarza i przygotowaniach do Świąt Bożego Narodzenia. Z dużym wyprzedzeniem dokonywano świniobicia i przygotowywano wędliny o smaku, którego dzisiaj trudno zaznać w wyrobach nasyconych chemią i różnymi dodatkami, kuszących oczy klientów, ale jednocześnie nadwyrężających ich żołądki i kieszenie. Odrębnym akcentem przedświątecznych przygotowań, zwłaszcza dla dzieci, było robienie ozdób choinkowych z kolorowego papieru, słomy, które później w formie papierowych kul i łańcuchów nadawały blasku zielonym świerkom przynoszonym z lasu. Choinki ustawiano przy oknach, aby ich światło przyciągało wzrok ciekawskich przechodniów i nadawało świątecznego szyku całemu obejściu. Bożonarodzeniowe drzewko nabierało niezwykłego uroku po zapaleniu na nim stearynowych świeczek, które z czasem zastąpione zostały przez oświetlenie elektryczne. Nie ma ono jednak wdzięku tamtych światełek, które dostarczały nie tylko ciepłego światła, ale również często emocji związanych z zagrożeniem pożarowym. Do dzisiaj z uczuciem grozy wspominam swoją przygodę związaną z zapaleniem świeczek na choince w moim domu. Będąc kilkuletnim

chłopcem, pewnego styczniowego wieczoru wpadłem na pomysł rozświetlenia zapalonymi świeczkami pokoju, w którym stała choinka. Używając zapałek, spowodowałem, że umieszczone na świerkowych gałązkach świeczki rozbłysły urokliwym światłem. W pewnym momencie jedna ze świeczek się przechyliła, a jej płomień spotkał się z papierowym łańcuchem okalającym całe drzewko i w oka mgnieniu zielona choinka zamieniła się w płonącą pochodnię, od której zapaliła się firanka. W odruchu przerażenia przewróciłem palące się drzewko na podłogę i bosymi nogami zacząłem je deptać. Pod stopami czułem ból wbijających się w ciało szklanych bombek choinkowych, potęgowany przez żar palących się gałązek. Chwilami czułem, że walka z pożarem będzie przegrana, a w mojej dziecięcej wyobraźni pojawił się obraz naszej płonącej chatki. W stanie desperacji ściągnąłem z zasłanego łóżka aksamitną kapę, pamiętającą jeszcze przedwojenne czasy, i przykryłem nią całego ognisko. Ogień został opanowany, ale stan kapy i moich stóp był opłakany. W domu unosił się zapach spalenizny, a okno pozbawione firanki podkreślało ponury obraz pokoju dotkniętego pożarem. W obawie przed przykrymi konsekwencjami całego zdarzenia położyłem się do łóżka i przykryty od stóp do głów kołdrą oczekiwałem powrotu rodziców, którzy podczas mojej przygody z palącą się choinką gościli u sąsiadów. Nie będę już opisywał ich reakcji na widok, który zastali po powrocie do domu. Mówiąc współczesnym językiem młodzieżowym, było dużo „dymu", a ich przerażenie zakończyło się groźbami pod moim adresem, które nigdy nie zostały spełnione. W ten sposób potwierdziła się zasada, że czas leczy rany, zarówno w sferze naszej psychiki, jak i ciała, co swoim wyglądem potwierdziły później moje poparzone stopy. Chcąc dopełnić obrazu dawnych zim, należy wspomnieć, że towarzyszący im śnieg dawał szanse przejażdżki sankami z okolicznych wzniesień lub w ramach kuligu ciągnionego przez konie. Zima zmieniała również sposób podróżowania. Chłopskie sanie w porze zimowej zastąpiły wcześniej wykorzystywane furmanki. Parskaniu koni ciągnących zimowe pojazdy towarzyszył dźwięk dzwonków, które, przyczepione do uprzęży, umilały czas podróży i wybijały rytm wysiłku pracującego zwierzęcia. Wszystko to tworzyło uroczą, zimową scenerię, którą możemy podziwiać obecnie najczęściej na starych obrazach. Śnieg znikający z dróg i pól, coraz rzadszy dźwięk saneczkowych dzwonków oraz przylot bocianów zwiastowały koniec złowrogiej zimy i nadejście wiosny. Natura zatoczyła koło.

Na życie wsi wpływa nie tylko rytm pór roku, ale również odwieczny reżim dni tygodnia, wymuszający określone zachowania jej mieszkańców związane z ich materialnymi i duchowymi potrzebami. W czasach mojego dzieciństwa i wczesnej młodości szczególnymi dniami tygodnia były czwartek i niedziela. Priorytet miał również piątek. Czwartek był w Radomiu dniem targowym. Jego nastanie przynosiło wiele atrakcji, a mieszkańcom okolicznych wiosek dawało szanse sprzedaży owoców ich pracy i zakupu niezbędnych produktów potrzeb-

Fot. 20. Wyjazd na targ Anny i Eugeniusza Plutów, Kozinki 1958 rok

Źródło: Gminna Biblioteka Publiczna w Zakrzewie.

nych w gospodarstwie. Wyjazd na targ był również pewną formą rozrywki i życia towarzyskiego. We wsiach położonych w pobliżu Radomia już we wczesnych godzinach porannych odczuwało się atmosferę targowego dnia. W kierunku miasta podążały końskie zaprzęgi, a stukot końskich kopyt nasilał się z każdą godziną. Najwięcej hałasu czyniły furmanki, których drewniane koła zabezpieczone metalowymi obręczami potęgowały nasilenie odgłosów wzmożonego ruchu. Bardziej komfortowo podróżowali do miasta bogatsi gospodarze, właściciele wozów na gumowych kołach zwanych „gumówkami". Z rzadka można było spotkać na drodze również bryczki, które nadawały szczególnego szyku szosie wypełnionej różnymi pojazdami. Najbardziej przydatne w tej targowej eskapadzie były jednak proste chłopskie wozy, na przodzie których siedział woźnica z batem w ręku w towarzystwie wiejskiej gospodyni z chustką na głowie. Na jej twarzy można było zauważyć uczucie satysfakcji i dumy z zajmowanej pozycji u boku męża. Większość tych wieśniaczek, obdarzonych obfitymi kształtami, była potwierdzeniem ich siły i przydatności do ciężkiej pracy w gospodarstwie. Na wsi określano je mianem „paśnych". Szczupła gospodyni była najczęściej podejrzewana o chorobę i zaliczana do grona nieprzydatnych do pracy w gospodarstwie. Wozy podąża-

jące na targ wypełnione były wszelakim towarem. W wiklinowych koszach można było dostrzec owinięte białymi szmatkami i liśćmi chrzanowymi białe sery, osełki masła, stosy jaj, owoce, warzywa. Niektórzy przestrzeń wozu za woźnicą wypełniali workami z ziarnami zbóż, mąką, kaszą, a jeszcze inni chełpili się różnorodnym drobiem, kwiczącymi prosiętami lub dumnie patrzącymi na otoczenie cielętami. Potokowi zmierzających ku miastu wozów towarzyszyły sylwetki zmęczonych kobiet, które całą ofertę targową dźwigały w białej płachcie zarzuconej na plecach. Kobiety szły boso, a buty, zawieszone także na plecach, zakładały po przekroczeniu granic miasta. Oczywiście tak daleko posunięta oszczędność użytkowania butów mogła być praktykowana tylko w okresie letnim. Srogie zimowe warunki nie pozwalały na niezrozumiałe w dzisiejszych czasach ekstrawagancje. Z upływem czwartkowego dnia zmniejszała się liczba chłopskich wozów zdążających w kierunku miasta, a nieliczni piechurzy zamykali cotygodniowy exodus na spotkanie z targowymi atrakcjami. Targowiskowe spektakle odbywały się w różnych miejscach Radomia, dostarczając ich aktorom oczekiwanych korzyści, a obserwatorom – niezapomnianych przeżyć. Interesującym akcentem targowego dnia był również powrót uczestników jarmarku do domu. Pełni wrażeń, często podchmieleni woźnice, zadowoleni z udanych transakcji na targu i poczynionych zakupów, urządzali wyścigi furmanek. Konie poganiane batem pędziły co sił do przodu ku uciesze ich właścicieli i zgromadzonych przy drodze gapiów. O dziwo, zawody te rzadko kończyły się kolizją. Następujący po czwartku dzień był spokojniejszy, sprzyjał refleksjom związanym z dniem męki Pańskiej i obowiązującym postem upamiętniającym to religijne wydarzenie. Organizowanie w tym dniu imprez przynoszących radość i wesołość było nie do pomyślenia. Dniami stosownymi ku temu były sobota i niedziela. Szczególny urok miała niedziela, była nie tylko dniem wytchnienia od codziennej ciężkiej pracy, ale również okazją do duchowych przeżyć. W tym dniu odświętnie ubrani mieszkańcy całymi rodzinami zmierzali do kościoła. Na ogół szanowali ten świąteczny dzień i w swoich obejściach robili tylko to, co było niezbędne do życia zwierzętom gospodarskim. Pójście do kościoła było nabożnym obowiązkiem i w pewnym sensie formą relaksu stwarzającą szansę spotkania znajomych i wymiany informacji. Czas nabożeństwa był okazją nie tylko do modlitwy i refleksji nad sensem ludzkiej egzystencji oraz wysłuchania Słowa Bożego podczas kazania, ale i do pozyskania cennych wiadomości o tym, kto i z kim był w kościele i dlaczego oraz jak był ubrany. Rozmowy przed kościołem dopełniały reszty – oprócz strawy duchowej co bardziej rozgarnięte osoby miały aktualny materiał do emisji nowych wioskowych wiadomości i plotek na cały następny tydzień. Na wsi nic się nie dało ukryć, każdy był pod czujną obserwacją sąsiadów, a powiedzenie „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi" znajdowało pełne uzasadnienie. Wynikały z tego pewne uciążliwości, ale i pożytki: ludziom nie doskwierała samotność, a w swoim środowisku czuli się zauwa-

żalni i bezpieczni. W dużych skupiskach miejskich mieszkańcy czują się często samotni w tłumie. Moje obserwacje ludzi w kościele i na jego dziedzińcu w Cerekwi potwierdzają, jak bardzo zmieniły się normy i formy okazywania szacunku duchowieństwu. Patrząc oczyma dziecka na podparte laskami staruszki, podążające szybkimi krokami, aby ucałować rękę młodego wikarego wychodzącego z pobliskiej plebanii do kościoła, doznawałem już wówczas pewnego zażenowania. Takie praktyki w dzisiejszych czasach budziłyby bardziej powszechną wesołość i zdumienie niż podziw dla specyficznej formy wyrażania szacunku młodej osobie duchownej. W tamtych czasach zadziwiało mnie również zakładanie butów przed kościołem przez niektóre wieśniaczki, które w trosce o ich długi żywot drogę z domu do kościoła pokonywały bez obuwia. Szczególnego blasku nabierało otoczenie kościoła w dniach odpustowych. Kolorowe kramy pełne tandetnych zabawek, lizaków, cukierków i cukrowej waty były obiektem pożądania dzieci zamęczających swoich rodziców prośbami o kupno upatrzonych skarbów. Zakupy odbywały się przy akompaniamencie piszczących zabawek i śpiewów klęczących dziadów proszalnych, którzy z błagalnym wzrokiem oczekiwali wsparcia ze strony podekscytowanych uczestników odpustu. Wnętrze i dziedziniec kościoła tworzyły szczególną scenerię również dla takich uroczystości, jak chrzty, śluby, pogrzeby i pierwsze komunie. Swoją uroczystość pierwszej komunii wspominam bardziej jako przeżycie duchowe niż okazję do otrzymania upragnionego prezentu. W tamtych biednych czasach obdarowywanie dzieci pierwszokomunijnych nie było praktykowane. Oprawa uroczystości była nader skromna, bez hucznych przyjęć przypominających małe wesela i drogich prezentów. Aktu komunijnego w moim przypadku dokonał ks. prałat Adam Popkiewicz, proboszcz parafii i budowniczy kościoła w Cerekwi, w towarzystwie ks. Wikarego Jana Kruzla, który przygotowywał mnie do tego sakramentu. Po dość męczącej ceremonii zrobiono wspólne zdjęcie i „komuniści" w jednej z sal plebanii zostali ugoszczeni garnuszkiem kakao i słodkim rogalikiem.

Pewnym urozmaiceniem życia wiejskiego w podradomskich wsiach były zabawy, wesela, pogrzeby, przejazd cygańskich taborów oraz zwykłe sąsiedzkie konflikty. Wiejskie zabawy, najczęściej mocno zakrapiane alkoholem, były okazją nie tylko do autentycznej rozrywki, ale również do nawiązywania znajomości, które często znajdowały swój finał na ślubnym kobiercu. Większość tych zabaw kończyła się bójką, a narzędziem walki były sztachety wyrwane z drewnianych płotów. Powodem zaś tych potyczek były najczęściej dziewczyny, o które walczyli ich adoratorzy. Rzadziej do siłowej konfrontacji dochodziło podczas wesel, które odbywały się zwykle w domu panny młodej. Na tę okoliczność dekorowano weselne domy, stawiano strojne bramy służące do pobierania od gapiów i weselnych gości okupu w postaci butelki wódki. Na weselu przestrzegano uświęconych tradycją rytuałów w postaci błogosławieństwa młodej pary przez rodziców

przed wyjazdem do ślubu, powitania ich chlebem i solą po powrocie z kościoła oraz tzw. oczepin. Stoły uginały się od obfitości wszelkiego jadła, a muzyka na żywo porywała do tańca rozochoconych weselników. Bawiono się do białego rana i przyjęcie weselne opuszczano z nadzieją rychłego spotkania na poprawinach. Wesele było wydarzeniem, którym żyła cała wieś. Większość jej mieszkańców bezpośrednio w nim uczestniczyła. Im więcej zaproszono gości, tym bardziej zwiększały się szanse organizatorów na częstszy udział w kolejnych weselnych uciechach. Zupełnie odmiennym wydarzeniem w życiu wsi były pogrzeby, będące wówczas pewną formą demonstracji życia przeciwko nieuchronnej śmierci, która w smutku łączyła dotknięte nieszczęściem rodziny, a często i zwaśnionych sąsiadów. W obecnej dobie, pochwały młodości i sukcesu, śmierć jest marginalizowana, związana z nią obrzędowość ma bardziej kameralny charakter. W czasach mojego dzieciństwa i młodości pogrzeby przerażały grozą i przypominały o nieuchronności ludzkiego losu. Czas pogrzebu był poprzedzony wystawieniem ciała zmarłego w domu żałoby, do którego przybywali jego krewni i znajomi, aby uczestniczyć w modłach za spokój jego duszy. Często odbywały się one nie tylko w ciągu dnia, ale również nocą, co jeszcze bardziej pogłębiało dramaturgię przedpogrzebowego spotkania zmarłego z tymi, którzy pozostali na ziemskim padole. W ostatniej drodze zmarłemu towarzyszyła również cała wieś. Dość uciążliwym obowiązkiem dla rodziny zmarłego była konieczność osobistego zaproszenia uczestników pogrzebu, którzy dzięki temu wzmacniali poczucie swojej roli i rangi w lokalnej społeczności. W pobliskim Radomiu przekaz o uroczystościach pogrzebowych odbywał się dzięki nekrologom, które informowały nie tylko o planowanym ich przebiegu, ale również o stopniu uciążliwości cierpień, których doznał zmarły, przenosząc się do wieczności. W świadomości dzieci czytających nekrologi największą grozę budziła formuła „zmarł po długich i ciężkich cierpieniach". Sceneria wiejskiego pogrzebu zależała od zasobności portfela rodziny zmarłego. Biedniejsi mieli mniej okazały orszak żałobny, gdyż zmarły ostatnią ziemską drogę pokonywał chłopskim wozem, a obecność kapłana prowadzącego kondukt pogrzebowy była możliwa dopiero w drodze z kościoła na cmentarz. Bardziej zamożni drogę na cmentarz pokonywali zdobnym czarnym karawanem ciągnionym przez dwa zadbane konie. Na czele żałobnego pochodu niesiono krzyż i czarną chorągiew, następnie podążał ksiądz w asyście organisty. Pierwszy etap ostatniej doczesnej wędrówki zmarłego kończył się w kościele parafialnym w odległej o prawie trzy kilometry Cerekwi. Tam odprawiano mszę żałobną, po zakończeniu której kondukt pogrzebowy kierował się w stronę miejscowego cmentarza, gdzie pochowani są między innymi moi pradziadkowie i przedwcześnie zmarły brat Zdzisław.

Zupełnie odmiennych wrażeń w porze wiosenno-letniej dostarczał przejazd cygańskich taborów, które zwykle na kilkanaście dni zatrzymywały się w lesie

oddzielającym Milejowice od Cerekwi. Kolorowe wozy urzekały widokiem wystroju, ciekawiła również egzotyczna uroda cygańskich wędrowców. Na wsi nastawał czas wzmożonej czujności i nadziei na pomyślną wróżbę. Zagrożony był wówczas los gospodarskich kur, których żywot kończył się w kotłach z gotowanym rosołem rozstawionych w cygańskim taborze. Akcja łapania kur w chłopskich zagrodach przebiegała dość sprawnie. Zwykle na zagrożony teren wkraczały trzy Cyganki: dwie zabawiały gospodynię przejmującą wróżbą, a trzecia w tym czasie łapała kurę i ukrywała ją w przepastnej spódnicy. Dla dzieci szczególnie ekscytujące były wieczorne wyprawy w pobliże taboru. Z oddali przyciągał widok palącego się ogniska i Cyganek tańczących w długich spódnicach, czemu towarzyszyła porywająca muzyka skrzypiec i akordeonów.

Pewną formą urozmaicenia codziennego życia mieszkańców Milejowic i sąsiednich wiosek były sąsiedzkie konflikty. Dawały one zatrudnienie sędziom i adwokatom, ale były również powodem ekscytacji i specyficznej rozrywki. Ubarwiały koloryt życia wiejskich ludzi, którzy nie tylko zajmowali się własnymi problemami, lecz żyli również troskami i radościami innych. Źródła konfliktów miały najczęściej banalny charakter – uszczuplona podczas orki miedza, szkoda wyrządzona w zasiewach przez zwierzęta domowe nieuznające sąsiedzkich granic czy też zwykła zawiść. Wieść o sądowym finale jakiegoś konfliktu rozchodziła się lotem błyskawicy. Co bardziej zainteresowani występowali w roli obserwatorów zmagań skonfliktowanych stron na sali sądowej. Zmagania te przyjmowały często charakter teatralnego spektaklu, w którym sprawcy przestępstwa odgrywali rolę bogu ducha winnych ofiar. Ich gra była na tyle przekonująca, że często udawało im się opuszczać salę sądową w triumfalnej pozie niewinnej osoby, co budziło później wśród mieszkańców konsternację i jeszcze bardziej podgrzewało atmosferę konfliktu, którym żyła cała wieś. Poczucie ludowej sprawiedliwości było zgodne z regułą znaną z filmu „Sami swoi", której zaskakująca treść „sądy sądami, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie" znajdowała odbicie w opiniach skonfliktowanych stron. Nie wszystkie konflikty i nieporozumienia miały swój finał na sali sądowej. Przebieg niektórych można było obserwować na wiejskich podwórkach. W głównych rolach konfliktu występowały najczęściej zadziorne gospodynie. Zaczynało się od zaczepnego powiedzonka czy sformułowania prawdziwego lub fałszywego zarzutu. Zwykle strona zaatakowana próbowała coś wyjaśniać i bronić swojego stanowiska, co jeszcze bardziej wyprowadzało z równowagi przeciwniczkę lub przeciwnika. Temperatura wymiany zdań rosła, co w kulminacyjnej fazie kłótni doprowadzało do użycia argumentów ostatecznych w postaci niecenzuralnych słów i gróźb. Jeżeli i to nie pomagało, rozjuszona gospodyni odwracała się tyłem do swojej przeciwniczki, zadzierała spódnicę i odsłaniała tę część swojego ciała, która zwykle służy do siedzenia, a nie do publicznej ekspozycji. Ten dość heroiczny akt był zazwyczaj ostatnim akordem

całego spektaklu. Każda ze stron wycofywała się na swoje pozycje, udając się do chaty, aby w niej ochłonąć z nadmiaru wrażeń. Później konflikt przybierał chroniczną postać, przeradzając się w długotrwałe milczenie, które czasami mogło trwać latami i zatruwać codzienną atmosferę sąsiedzkiej egzystencji.

Bliskie położenie Radomia powodowało, że graniczące z nim wioski nie wytworzyły własnych form kulturalnej rozrywki. Atrakcje miasta o znacznej wielkości, jakim był w czasach mojej młodości gród nad Mleczną, przyciągały mieszkańców sąsiednich wsi, amatorów godziwej rozrywki. Nie było ich wielu. Część z nich zrażała się trudnościami komunikacyjnymi, gdyż w latach czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych komunikacja miejska nie docierała poza granice miasta. Stąd też w mojej wsi zrodziła się inicjatywa organizowania przedstawień i różnego rodzaju występów w stodole sołtysa Lewandowskiego. Na prowizorycznej scenie, zbudowanej na klepisku tego gospodarczego obiektu, występowała młodzież szkolna. Poziom tych imprez był różny, ale zawsze budził zainteresowanie, zwłaszcza wśród starszych mieszkańców Milejowic, którzy mogli podziwiać kunszt aktorski znanych im na co dzień aktorów.

4

INNY ŚWIAT

Mój inny świat zaczynał się za wschodnim horyzontem naszego domu, w odległości nieprzekraczającej trzech kilometrów. Nocą horyzont jaśniał tam światłami miasta… Był to Radom, miasto pozostające w cieniu wszechwładnych Kielc, które w tamtym czasie były stolicą województwa. Miasto wspaniałej historii i miejsce narodzin lub długoletniego bytowania wielu wybitnych Polaków, o których już wcześniej wspominałem. Tam urodziła się i wychowywała moja mama Zofia, której doczesne szczątki znajdują się na cmentarzu przy ul. Limanowskiego, podobnie jak i jej rodziców, a moich dziadków – Anny i Jana Wachnickich, którzy większość swojego życia spędzili w Radomiu. W latach czterdziestych moja droga z Milejowic do innego świata była dość uciążliwa, gdyż najczęściej przemierzałem ją piechotą – najpierw w towarzystwie mamy, później samodzielnie. Opis tej drogi jest niepowtarzalną okazją do przypomnienia ludzi i świata materialnego, który towarzyszył mi w częstych wędrówkach do radomskiego rynku. Dzisiaj nie ma już tych ludzi i tej scenografii, która tworzyła tło moich dziecięcych doznań. Jej ślady można znaleźć jedynie w Muzeum Wsi Radomskiej. Moja droga do innego świata zaczynała się po wyjściu z domu rodziców, który, sklecony ze starej drewnianej chałupy, dawał szanse przetrwania w trudnych powojennych czasach. Do asfaltowej drogi, która biegła z Przytyka do Radomia, prowadziła wiśniowa aleja. Zaczynała się tuż przy domu, nadając mu szczególnego uroku w porze kwitnienia wiśni, które po pewnym czasie pokrywały się gronami dorodnych czerwonych, lecz kwaśnych owoców. Nie przepadałem za nimi, nie ze względu na ich smak, ale z powodu trudu towarzyszącego ich zrywaniu. Po wyjściu na drogę asfaltową ochoczo skręcałem w lewo, mijałem murowany dom sąsiadów Jędrzejewskich i witając się z tablicą z napisem „Bielicha", mogłem podziwiać co niektóre zabudowania i czasami witać zdawkowym „dzień dobry" ich właścicieli. Pierwszym domem, który przykuwał moją uwagę, był zwalisty i dość ponury poniemiecki budynek, zbudowany z czerwonej cegły i kryty dachówką. Podobne oglądam dzisiaj na dolnośląskich wsiach, są one jednak bardziej zaniedbane. Nie kojarzą mi się też z przykrymi przeżyciami z domu, którego wcześniejszym właścicielem był kolonista niemiecki Matys. Pewne ożywienie w krajobrazie Bielichy wnosiła figura Matki Boskiej wzniesiona na posesji

Fot. 21. Na tle wiśniowej alei autor (w środku) wraz z mamą i bratem Zbigniewem

Źródło: archiwum autora.

państwa Sadowskich. Dzisiaj mało widoczna i wciśnięta w gęstą zabudowę obiektów żywiołowo stawianych w czasach powrotu do kapitalistycznej gospodarki. Nieco dalej, po przeciwnej stronie, znajdował się drewniany domek, w którym mieszkała wspomniana przeze mnie Hetmanówna, dzielnie walcząca w oddziałach „leśnych" z ustrojem narzuconym Polsce przez wielkiego brata ze wschodu. Nie doczekała czasów, w których „żołnierze wyklęci" są szczególnie honorowani i swoimi zasługami przyćmiewają czyny bohaterów AK.

Powiew miasta odczuwało się w tamtych powojennych czasach w strukturze mieszkańców Bielichy. Zamieszkiwało w niej wiele osób reprezentujących według współczesnej terminologii pracowników wiedzy, do których zalicza się między innymi nauczycieli. W domu przypominającym szlachecki dworek zamieszkiwali państwo Węgierscy. Jego właściciel usiłował nauczyć mnie podstaw języka rosyjskiego w cerekiewskiej szkole, a pani Węgierska przez wiele lat pokonywała pieszo dość duży dystans do szkoły przy ul. Kieleckiej, gdzie była nauczycielką. W sąsiedztwie tej rodziny zamieszkiwał pan Osuchowski, również nauczyciel, który pracował w Gimnazjum Rolniczym na Wacynie. Naprzeciwko domu państwa Węgierskich mieszkali przedstawiciele młodszego pokolenia nauczycieli – państwo Lewandowscy. W sąsiedztwie nauczycielskich domów, obok posesji mojego nauczyciela języka rosyjskiego, wznosił się solidny drewniany dom kryty blachą, w którym mieszkał wraz z żoną przedstawiciel ginącego już zawodu – rymarz, pan Kołacz. Szył on uprząż dla koni pociągowych, a jego żona

jako położna pomagała przyjść na świat wielu mieszkańcom okolicznych wiosek. Utkwił mi w pamięci niespotykany dzisiaj obrazek furmanki, na której obok woźnicy siedziała z dużą lekarską torbą pani Kołaczowa, zdążająca o każdej porze dnia i nocy do rodzących kobiet. W tamtych czasach większość pań wydawała na świat potomstwo w swoich domach. Jedynie skomplikowane porody były odbierane w radomskim szpitalu św. Kazimierza przy ul. Warszawskiej. Postać pani Kołaczowej zawsze kojarzyła mi się z pozytywnym faktem narodzin nowego życia i misją wspomagania kobiet w tym trudnym, ale wzniosłym akcie kreowania nowego pokolenia. Moja ciekawość ludzi i zdarzeń podczas częstych wędrówek do innego świata, jakim był dla mnie Radom, pozwoliła mi zwrócić uwagę na rodzinę Wlazłów, których gospodarstwo znajdowało się w pewnym oddaleniu od szosy prowadzącej z Przytyka do miasta nad rzeką Mleczną. Była to zacna rodzina, będąca w opinii mieszkańców Bielichy i okolicznych wiosek wzorem chrześcijańskich cnót i niezwykłych zasług dla Kościoła. A to wszystko za sprawą kapłańskiego i zakonnego powołania jej synów i córek. Nazywana była przez miejscowych z pewną dozą zazdrości „świętą" rodziną. Rzadko się bowiem zdarza, aby w jednej rodzinie było kilku księży i dwie zakonnice.

W drodze do Radomia zwracał uwagę dość wyniosły dom sióstr zakonnych otoczony gospodarstwem rolnym, na którym obecnie znajduje się kościół pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej. Tuż po wojnie gospodarstwo to zakupił ks. Stanisław Nowocień i sprowadził do niego zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek od Cierpiących. W domu zakonnym została ulokowana kaplica, w której odbywały się coniedzielne nabożeństwa odprawiane przez księży z parafii św. Jana w Radomiu. Po śmierci schorowanego ks. Stanisława Nowocienia w 1955 roku siostry zakonne przejęły gospodarstwo wraz z małą kaplicą, którą później zastąpiono nową, bardziej okazałą. Spełniała ona swoją funkcję aż do czasu wybudowania nowego kościoła, którego architektura urozmaiciła dość monotonny charakter miejscowej zabudowy. Ciekawym obiektem moich obserwacji w drodze do Radomia był dość niepozorny dom pana Potockiego, w którym mieścił się najbliższy od naszego domu sklep spożywczy. Wprawdzie nie było w nim obfitości towarów, ale moją uwagę przykuwała przedwojenna reklama piwa umieszczona na zewnętrznych drzwiach sklepu. Widniała na niej roześmiana piękna kobieta, trzymająca w ręku okazały kufel piwa, z którego wydobywała się piana złocistego napoju. Wprawdzie w sklepiku piwa nie było, ale reklama przypominała o dobrych przedwojennych czasach i o kunszcie sztuki reklamowej, którą współtworzyli wówczas nie tylko znani pisarze, poeci i aktorzy, ale również malarze i graficy.

Dalsze kamienie milowe mojej wędrówki do „innego świata" przypominały o skrzeczącej powojennej rzeczywistości. Jednym z nich był dom na Wacynie, w którym nielegalną działalność masarską prowadził pan Wrześniak. W każdy

czwartek po południu można było kupić świeżo wyprodukowaną przez niego kiełbasę, której zapach i smak potwierdzał jego wędliniarskie umiejętności. Obecnie, mimo obfitości różnego rodzaju wędlin i wyrobów wędliniarskich, kiełbasa od pana Wrześniaka może być już tylko niedoścignionym marzeniem. Podziwu godna były również jego odwaga w prowadzeniu nielegalnej wytwórczości oraz skuteczne neutralizowanie działań milicji zwalczającej pożyteczną działalność uzupełniania niedoborów w państwowych sklepach mięsnych. Sposób wspomnianej neutralizacji był niezawodny i polegał na wręczaniu stróżom prawa paczki wypełnionej świeżo wyprodukowaną, pachnącą kiełbasą. Pod koniec lat czterdziestych i później w latach pięćdziesiątych zaopatrzenie w mięso i jego przetwory było katastrofalnie niewystarczające. Przez cały właściwie okres panowania socjalizmu w Polsce mięso stanowiło problem polityczny, gdyż jego niedobory i podwyżki cen były powodem niepokojów społecznych i zmian na stanowiskach rządowych. Niedobory na rynku mięsnym pobudzały nie tylko przedsiębiorczy zmysł nielegalnych producentów wędlin, ale również inwencję twórczą wśród anonimowych poetów. W latach pięćdziesiątych zachwycano się dowcipnym tekstem „Ody do świni", wychwalającym to mądre zwierzę jako obiekt westchnień i marzeń Polaków. Przepisywany na maszynie tekst ożywiał spotkania towarzyskie i potwierdzał fakt, że poczucie humoru i duch w narodzie w tych mrocznych czasach jednak pozostały.

Przejście obok domu znakomitego masarza otwierało nową przestrzeń do „innego świata", w której dominowały wysokie wieże radiostacji, nie tylko emitujące fale radiowe, ale przede wszystkim zagłuszające audycje „Wolnej Europy" i innych stacji zagranicznych. Hamowały one pochód miasta w zachodnim kierunku i tworzyły dość skuteczną barierę przed dopływem prawdziwych wiadomości o sytuacji w Polsce i na świecie. Największym powodzeniem wśród moich znajomych cieszyła się stacja „Wolna Europa", nazywana przez zwolenników władzy ludowej „szczekaczką". Mój ojciec całymi godzinami, zwykle późnym wieczorem, z uchem przy radioodbiorniku marki „Pionier", słuchał wiadomości i dziennikarskich komentarzy aż do momentu nadejścia snu. Ojciec śnił wówczas zapewne o nowej Polsce, której niestety nie doczekał. Przebudzeni nocną porą domownicy wyłączali radioodbiornik, a wierny słuchacz tej zakazanej stacji budził się kolejnego dnia znów w szarej socjalistycznej rzeczywistości.

Jaś wędrowniczek, czyli ja, mijając rozległy teren radiostacji, wkraczał w sferę zachwytu, która zaczynała się wraz z kresem ul. Przytyckiej. Jej naturalny bieg kończył się na skrzyżowaniu z ul. Kielecką. To z tego miejsca można było podziwiać piękno panoramy „innego świata". Miasto prezentowało swoje architektoniczne wdzięki na lekko wznoszącym się terenie. Wzrok przyciągało ciepło starej architektury domów, wśród których – jak drogocenne kamienie – błyszczały w słońcu dostojna wieża farnego kościoła, koronkowy układ wież i wieżyczek

Fot. 22. Panorama miasta Radomia w latach pięćdziesiątych XX wieku. Widok z ul. Kieleckiej

Źródło: archiwum artysty fotografika Wojciecha Stana.

kościoła ojców Bernardynów, wyniosła sylwetka dwóch wież i samej górującej nad wszystkim, jak królowa radomskich świątyń, obecnie katedry pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Przez tę wystawę kościelnych wież z trudem przebijała się sylwetka ratusza. Niestety, tego widoku już nie ma, gdyż piękno starej panoramy Radomia przysłoniły wyniosłe bryły bloków postawionych bliżej ul. Kieleckiej. Szkoda, że obecnie nikt nie chroni miejskich krajobrazów. Zdążając pieszym szlakiem do „innego świata", najpierw, tuż przy niewielkiej sadzawce położonej po lewej stronie drogi, mijało się granicę miasta Radomia. Tuż za nią, po tej samej stronie szosy, rozgościła się brzozowa aleja prowadząca do dość okazałego budynku, w którym mieścił się Zespół Szkół Mechanizacji Rolnictwa. Ominięcie cywilizacyjnej przeszkody, jaką były wieże radiostacji, otwierało dalszą drogę – najpierw na Zamłynie, a później do rynku, przy którym mieszkali moi dziadkowie. Tuż za rozległymi obszarami radiostacji stał budynek Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Syrokomli, obok którego postawiono krzyż przypominający o zbrodni dokonanej przez Niemców 15 października 1942 roku. Powieszono wówczas na szubienicy dziesięcioro mieszkańców Radomia aresztowanych po akcji „Rożki", której celem było zlikwidowanie Maksymiliana Szymańskiego. Był on szefem referatu wywiadu AK na obwód konecki w Radomsko-Kieleckim Okręgu ZWZ/AK i równocześnie agentem radomskiego gestapo. Wśród ofiar z ul. Warszawskiej znalazła się Halina Bretsznajder,

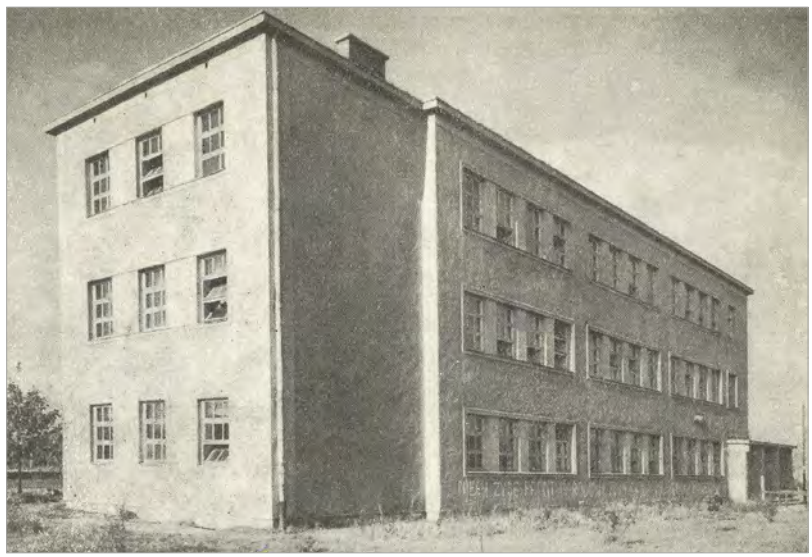

Fot. 23. Liceum Ogólnokształcące im. Syrokomli (ul. Kielecka 2) w latach pięćdziesiątych XX wieku

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 156.

komendantka Obszaru Radomskiego Żeńskiej Chorągwi Kieleckiej ZHP. Każda moja piesza wędrówka do miejsca zamieszkania moich dziadków była związana z koniecznością przejścia obok krzyża upamiętniającego to tragiczne wydarzenie. Na jego ramionach wisiał sznur, za pomocą którego niemieccy oprawcy pozbawili życia niewinne ofiary będące zakładnikami przetrzymywanymi w radomskim więzieniu. Widok tego miejsca zawsze napawał mnie grozą i przypominał o tym, jak wysoką cenę trzeba było w tych okrutnych czasach płacić za patriotyzm.

W dalszej wędrówce do serca mojego ukochanego miasta nie było już tak dramatycznych miejsc. Ostatni odcinek przebiegał ul. Okulickiego (wówczas Karola Świerczewskiego) wśród dość chaotycznej zabudowy, jaką charakteryzowała się wówczas dzielnica Zamłynie. Na początku ulicy dominowała drewniana zabudowa, pamiętająca czasy przedwojenne. Zwiastunem trwalszej zabudowy był murowany budynek piekarni Tchórzewskiego, za którym rozpościerały się składy z materiałami budowlanymi i opałem, prowadzone w pierwszych latach powojennych przez pana Kunderę. Tuż za nimi na niewielkim placu królowała figura Matki Boskiej w otoczeniu handlarek sprzedających warzywa i owoce. Bardziej okazale prezentowały się murowane i dość wysokie kamienice po przeciwnej stronie ulicy. Należały one przed wojną do bogatych właścicieli zakładów garbarskich, które jak grzyby po deszczu powstawały na Zamłyniu na początku XX wieku, jak i w latach późniejszych, głównie za sprawą żydowskie-

go kapitału. Żydzi w większości byli właścicielami ok. 40 zakładów garbarskich, które funkcjonowały w przedwojennym Radomiu. Jednak najbardziej okazała kamienica należała do państwa Borkowskich, którzy przed wojną należeli do zamożnych radomian. Wędrówka w kierunku radomskiego rynku wymagała przejścia przez most na rzece Mlecznej, dość niepozornej, która jednak w czasie lipcowych deszczów w niektórych latach wylewała na ulicę i sąsiednie posesje, uniemożliwiając przejście do centrum miasta. Nazwa tego najdłuższego cieku wodnego przepływającego przez Radom zawsze mnie intrygowała. Jako dziecko kojarzyłem nazwę tej rzeki z mlekiem, które miało płynąć w jej nurtach. Stąd też przechodząc mostem, wypatrywałem mlecznych strumieni, które miały przepływać zamiast wody. Zawsze jednak spotkanie z rzeką Mleczną kończyło się rozczarowaniem, bo zamiast płynącego białego mleka można było zobaczyć brunatne ścieki z okolicznych garbarni. Po latach poznałem genezę nazwy rzeki, która prawdopodobnie wywodzi się od dawnego obrębu leśnego znajdującego się między Gołębiowem a Lesiowem lub też od mleczu obficie porastającego jej brzegi. Po przekroczeniu mostu na Mlecznej można było dojrzeć dość interesujący obiekt po lewej stronie ulicy, czyli pałacyk właściciela zakładów fajansowych. Klasycystyczny styl budowli odróżniał się od szarej i drewnianej zabudowy okolicznych domów. Po prawej stronie ulicy moją dziecięcą ciekawość budził ogródek jordanowski, na terenie którego stał stylowy budynek przyciągający wzrok przechodnia bogactwem drewnianych ozdób, które można jeszcze podziwiać w galicyjskich uzdrowiskach. Ostatnim etapem moich dziecięcych wędrówek do dziadków były kamienne schodki, które zwiastowały rychły koniec wyprawy. Tuż obok nich rozgościła się piekarnia Skorżyńskich, gdzie można było kupić chrupiące bułki i chleb o smaku dzisiaj niespotykanym. Starodawne wyposażenie sklepu, w którym sprzedawano pieczywo, oraz osobisty udział starszych właścicieli piekarni w procesie sprzedaży i traktowanie przez nich klientów z wielką atencją – wszystko to nadawało szczególnej atmosfery temu miejscu, które było swoistą świątynią chleba. Kamienne schodki z rynkiem łączyła krótka ul. Szpitalna. Po jej lewej stronie rozpościerał się pusty plac, a po prawej – gruzy kamienicy zawalonej podczas wojennych bombardowań. Pokonanie Szpitalnej otwierało drogę do ostatecznego celu, którym była kamienica na rogu ulic Wolności i Szewskiej – tam mieszkali moi dziadkowie. Widok rynku był nagrodą za pokonanie prawie sześciokilometrowego dystansu z Milejowic. Jego zabudowa świadczyła o roli tego miejsca w wielowiekowej historii miasta.

Rynek przez wieki był centrum Nowego Radomia (Miasta Kazimierzowskiego), w którym koncentrowało się życie gospodarcze, administracyjne i polityczne. Dominującym budynkiem na rynku, który tuż po wojnie nosił nazwę Plac 15 grudnia, a od 1955 roku Plac 800-lecia, był ratusz (nowy) wzniesiony w latach 1845--1848 według projektu włoskiego architekta Henryka Marconiego. W czasach

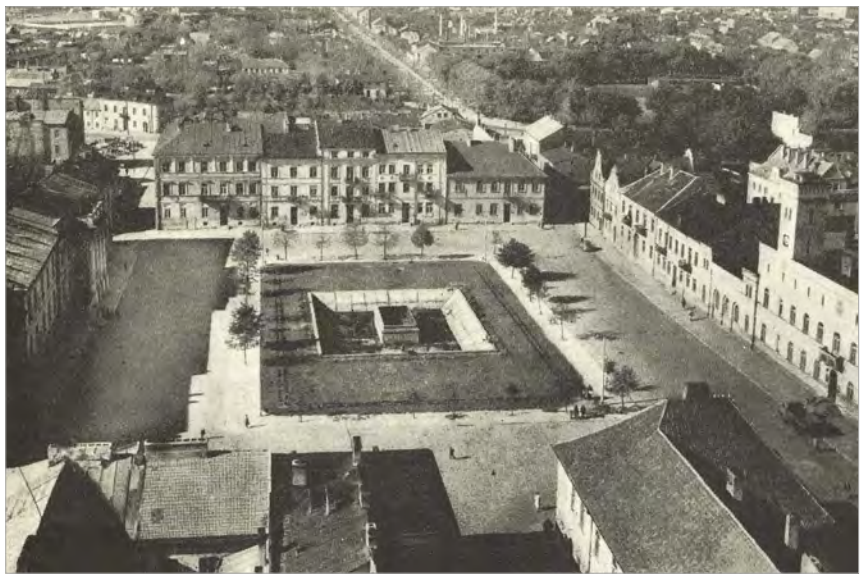

Fot. 24. Radomski rynek w latach pięćdziesiątych XX wieku

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 47.

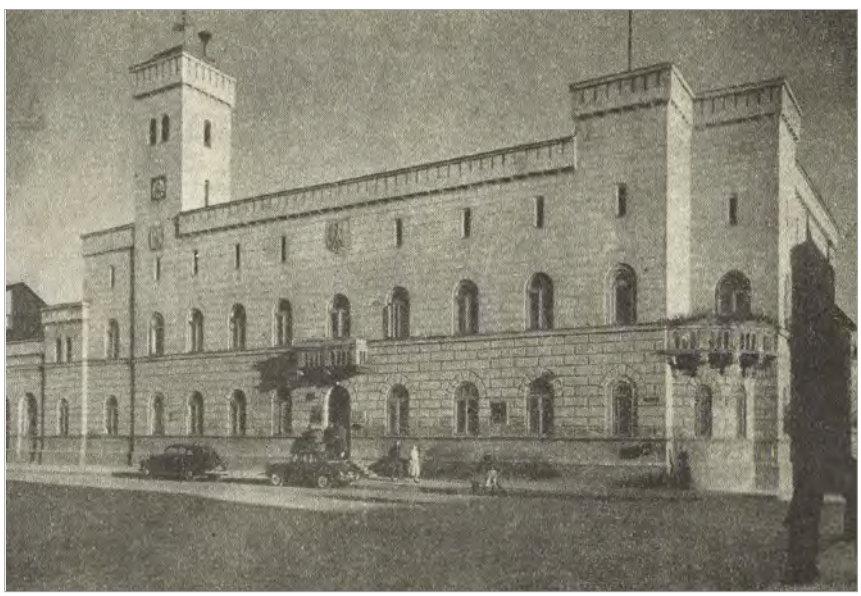

Fot. 25. Ratusz w latach pięćdziesiątych XX wieku

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 56.

Fot. 26. Dziedziniec radomskiego ratusza (stan obecny)

Źródło: archiwum autora.

mojego dzieciństwa mieścił się w nim Urząd Miasta. Dziedziniec ratusza był miejscem zabaw dla okolicznej dzieciarni, która w dużych pojemnikach na śmieci poszukiwała licznych „skarbów" w postaci niepotrzebnych dokumentów i różnych, często kolorowych papierów. Front ratusza, w którym znajdowały się podcienia, dostarczał również nie lada atrakcji. Otóż sprowadzały się do nich eksmitowane rodziny lub ci, którzy na władzach miejskich chcieli wymusić przydział mieszkania. Życie tych ludzi odbywało się na oczach przechodniów i dziecięcej gawiedzi. Psuło to wizerunek miasta i cieniem kładło się na oficjalne deklaracje ówczesnych władz dotyczące panującego wówczas ustroju. Problem rozwiązano radykalnie i zamurowano podcienia ratusza, zubażając jego architektoniczną wartość. Po przeciwnej stronie ratusza, a więc na jego południowej pierzei, dumnie wznosił się budynek dawnej szkoły pijarów, w którym po wojnie umieszczono Liceum Ogólnokształcące im. Tytusa Chałubińskiego. Wokół budynku zawsze coś się działo, a licealna młodzież nadawała temu miejscu szczególnej atmosfery, kultywując chlubne tradycje szkoły, w której kształcili się między innymi: Walery Przyborowski, Maciej Glogier, Henryk Tochterman, ks. Henryk Gierycz i wielu innych wybitnych przedstawicieli polskiej elity intelektualnej. Dzisiaj wokół tego budynku jest dość sennie, a w murach dawnej szkoły umieszczono Muzeum im. Jacka Malczewskiego z bogatymi zbiorami archeologicznymi, przyrodniczymi i obrazów wybitnych artystów – Józefa Chełmońskiego, Józefa Brandta, Leona Wyczółkowskiego, Jacka Malczewskiego i Ignacego Witkiewicza. W czasach mojego dzieciństwa radomski rynek tętnił życiem. Na wschodniej jego pierzei była cukiernia, nieco dalej zawsze oblegany sklep mięsny i tuż obok niego sklep z artykułami mleczarskimi. Na południowej stronie rynku przyciągał uwagę sklep ogólnospożywczy. Od czasu do czasu pojawiały się w nim chodliwe towary, po które ustawiały się kolejki chętnych zwabionych wiadomością, że właśnie „rzu-

Fot. 27. Dawne Kolegium Pijarów – w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku. Szkoła Podstawowa i Liceum Ogólnokształcące im. Tytusa Chałubińskiego

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 164.

cili" cukier. Niejednokrotnie udawało mi się kupić ten cenny towar, pamiętam, kosztował wówczas 5 zł i 25 groszy. Sprzedawano tylko po jednym kilogramie, ale ileż radości sprawiałem moim dziadkom, kiedy wracałem do domu z cennym nabytkiem! W tych szarych czasach powojennej rzeczywistości tak niewiele mogło sprawić ludziom radość. Dzisiaj z obojętnością mijamy półki w supermarketach zapełnione różnymi towarami, a obecność wielu rodzajów cukru nie budzi już żadnych emocji. Tuż za sklepem spożywczym wchodziło się po kamiennych schodkach do apteki Kasprzykowskich, której początki działalności sięgają 1848 roku. W aptece panowała atmosfera tajemniczości i pozytywnej energii, która emanowała z jej zabytkowego wystroju i mieszaniny zapachów wszelkiego rodzaju maści, ziół i sprzedawanych leków. Dokonując zakupów w tej aptece, nie miałem świadomości, jaką chwalebną funkcję pełniła w latach niemieckiej okupacji. Dopiero po latach dowiedziałem się, że w jej podziemiach w tych ponurych czasach znajdował się skład materiałów konspiracyjnych, lekarstw, żywności przerzucanej do getta oraz materiałów wybuchowych dostarczanych do Warszawy. Działalność tego punktu została zdekonspirowana, a właścicielka apteki wraz z synem zostali aresztowani i zgi-

nęli w Oświęcimiu. Tak wysoką cenę w tamtych czasach trzeba było płacić za patriotyzm, który współcześnie jest dość błędnie pojmowany, zwłaszcza przez niektóre skrajne ugrupowania polityczne. Część ich członków uważa bowiem, że przemarsz ulicą w koszulce z napisem „Śmierć wrogom ojczyzny" czyni ich prawdziwymi patriotami. Dzisiaj nie ma już tej apteki i mało kto wie i pamięta o bohaterstwie jej dawnych właścicieli, którym ostatecznie władza ludowa odebrała ją w 1951 roku. Po zakończeniu wojny aptekę prowadził cudem ocalały z zawieruchy wojennej mąż i ojciec zamordowanych w Oświęcimiu – Edward Kasprzykowski. Była to nietuzinkowa postać w środowisku radomskich aptekarzy. Podczas pierwszej wojny światowej walczył w 1 pułku ułanów Legionów Polskich, a w 1935 roku był posłem na Sejm RP.

Fot. 28. Stary dom w rynku na rogu ul. Rwańskiej

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 48.

Wśród budynków, które zdobią radomski rynek, są domy Esterki i Gąski usytuowane na jego północnej pierzei. Dom Esterki uważany jest za jeden z najstarszych murowanych budynków w Radomiu. W czasach mojego dzieciństwa budynku tego nie było. Jego obecny stan jest rekonstrukcją obiektu, który w czasie okupacji niemieckiej został rozebrany. Dopiero w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku na starych fundamentach postawiono budynek, którego piękno możemy dziś podziwiać. Jest on gratką zwłaszcza dla miłośników sztuki, gdyż w Domu Esterki mieści się obecnie Muzeum Sztuki Współczesnej.

Fot. 29. Dom Esterki (z lewej) i Dom Gąski w latach sześćdziesiątych XX wieku

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 49.

Podobne przeznaczenie ma sąsiednia kamienica – Dom Gąski, która przetrwała czasy wojennej zawieruchy. Jej historia jest bardzo bogata. Kamienica powstała w końcu XV wieku, a w jej murach w czasach potopu szwedzkiego miał dwukrotnie gościć król szwedzki Karol Gustaw. Obecnie centralnym punktem radomskiego rynku jest Pomnik Czynu Legionów Marszałka Józefa Piłsudskiego, którego w czasach mojego dzieciństwa nie było. W miejscu zburzonego przez niemieckich okupantów pomnika po wojnie powstał basen przeciwpożarowy, który rzadko był wypełniony wodą, stąd też stał się ulubionym miejscem zabaw dla dzieci. Wokół basenu rosły kwiaty, rozmieszczono tam też ławki. Dawały one szanse odpoczynku w letnie wieczory dla okolicznych mieszkańców, którzy nie mieli ochoty na spacery w Starym Ogrodzie, najstarszym parku w mieście oddanym do użytku w 1825 roku z inicjatywy Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Bawiąc się jako mały chłopiec w pobliżu basenu, nic nie wiedziałem o wartości historycznej tego miejsca. Po upadku powstania styczniowego władze carskie postawiły tam szubienicę, na której wieszano powstańców skazanych na śmierć za to, że chcieli wolnej Polski. Tak wyczekiwaną wolność odzyskaliśmy w 1918 roku, a na miejscu uświęconym krwią polskich patriotów wzniesiono w latach trzydziestych ubiegłego wieku Pomnik Czynu Legionów Marszałka Piłsudskiego. Powstawał on w warunkach piętrzących się trudności finansowych, stąd też 10 sierpnia 1930 roku odsłonięto w obecności marszałka Piłsudskiego figurę

Fot. 30. Stary ogród

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 40.

legionisty wykonaną z patynowego gipsu. Dopiero po czterech latach wykonano postać legionisty z brązu i dokonano ponownego uroczystego odsłonięcia. Niezbyt długo pomnik przypominał radomianom chwałę legionistów, gdyż w 1940 roku niemieckie władze okupacyjne zburzyły pomnik. Trzeba było czekać 58 lat, aby postać legionisty przypomniała znów potomnym o zasługach żołnierzy Józefa Piłsudskiego w odzyskaniu niepodległości naszej ojczyzny. Historia tego pomnika jest symbolem naszej historii, heroizmu narodu, który, walcząc o przetrwanie, buduje materialne podstawy swojego bytu i symbole nieugiętej woli, jakimi są pomniki. Jako naród mamy wiele wad, ale nasz upór w walce o niepodległość i umiłowanie wolności to cechy godne podziwu.

Moje przywiązanie do radomskiego rynku wynika z tego, że było to miejsce moich dziecięcych uciech podczas pobytu u dziadków, którzy mieszkali w kamienicy położonej w jego pobliżu. W moich wspomnieniach została ona nazwana „domem rozbitków", gdyż większość jej mieszkańców była ofiarami wojennej zawieruchy. Rzadko bywam w Radomiu, ale każda obecność w jego przyjaznej przestrzeni zawsze skłania mnie do refleksji i przysparza nowych wrażeń. Wizyta w 2015 roku przytłoczyła mnie widokiem opuszczonych i zabezpieczonych przed zawaleniem kamienic stojących na wschodniej ścianie rynku. Na ul. Szwarlikowskiej, niezbyt odległej od rynku, rząd opuszczonych i walących się domów swoim widokiem błaga o ratunek. Jedynym pocieszającym odczuciem, jakiego doznałem podczas kolejnej wizyty w czerwcu 2017 roku, był wieczorny widok

z okna przytulnego hotelu „Retro", wyniosła wieża odnowionego kościoła farnego, stylowe lampy wokół rynku i zapadający zmrok skrywały mankamenty widoczne w ciągu dnia. Rankiem martwe, podparte drewnianymi stemplami kamienice oraz powiązane łańcuchami stoliki piwnego baru opodal pomnika i śpiący w pobliżu na trawie amatorzy złocistego trunku – wszystko to zburzyło romantyczny obraz poprzedniego wieczoru i przywołało moje wspomnienia z 1955 roku, w którym obchodzono 800-lecie Radomia. Z tej okazji odnowiono większość kamienic. Na części z nich, położonych wzdłuż zachodniej pierzei, wymalowano motywy przypominające historię miasta, po których dzisiaj nie ma śladu. Nie trzeba jednak tracić nadziei, wizja odrestaurowanego rynku przybliża się coraz bardziej dzięki inicjatywom władz miasta wspieranym środkami unijnymi. Mogłem przekonać się o tym podczas pobytu w Radomiu w październiku 2018 roku z okazji jubileuszu 90-lecia mojej szkoły podstawowej w nieodległej Cerekwi. Z okien ulubionego hoteliku „Retro" mogłem podziwiać, jak pięknieje fasada ratusza i odzyskuje dawny blask. Do łask powróciły podcienia, które przed laty zamurowano, aby uniemożliwić zamieszkanie w nich bezdomnym. Wymarłe kamienice na wschodniej pierzei rynku odradzają się jak feniks z popiołów. Mam tu na myśli Dom Andrzeja Deskura wraz z przyległymi budynkami wyznaczającymi ul. Rwańską. Wprawne ręce budowniczych dokonują misternego połączenia dawnych ceglanych ścian z nowoczesnymi betonowymi konstrukcjami, które mają zapewnić długowieczność budynku na wiele dziesięcioleci, a może i na setki lat. Marzy mi się przywrócenie pierwotnego wyglądu tego klasycystycznego budynku z lat 1824-1825, którego fasadę można podziwiać na starych fotografiach sprzed pierwszej wojny światowej. Na postęp robót z zazdrością „spogląda" jeszcze jedna podparta drewnianymi belkami kamienica na wschodniej pierzei rynku, której wygląd po rewitalizacji dopełni obrazu całości. Jest mi ona szczególnie bliska, gdyż w czasach mojego dzieciństwa mieściła się w niej mała cukiernia, której wąska wystawa kusiła widokiem przepysznych ciastek. Chodzi o kamienicę usytuowaną na rogu ul. Rwańskiej i rynku, tak malowniczo przedstawianą na starych fotografiach i na obrazie Wacława Dobrowolskiego.

Rynek był dla mnie bramą do centralnej arterii miasta, czyli ul. Żeromskiego. Jej przekroczenie wymagało jednak przejścia ul. Rwańską, przy której nie brakowało atrakcji. Największą z nich był kościół farny pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. Bywałem w nim czasami, towarzysząc mojej babci w mszach wieczornych, które mnie nużyły, dając jednocześnie okazję do podziwiania bogatego wystroju gotyckiej świątyni. Najbardziej atrakcyjne były dla mnie wypady wraz z podwórkowymi kolegami na dziedziniec kościelny, zwłaszcza w czasie ceremonii ślubnych i pogrzebów. Po zakończeniu ślubnej ceremonii młoda para, przejęta doniosłością chwili, wychodziła z kościoła w otoczeniu rodziny i weselnych gości. Można było podziwiać weselne stroje i niezrozumiałe dla dzieci zachowania

niektórych uczestników uroczystości szlochających w tak radosnej chwili. Być może płacz w chwilach szczęścia ma swoje uzasadnienie, ale dla podwórkowej ferajny z ul. Wolności w tym przypadku był czymś niezrozumiałym. Ulica Rwańska była również świadkiem pogrzebów, które nadciągały od strony szpitala przy ul. Warszawskiej, gdzie w zabytkowej, zbudowanej w 1836 roku rogatce warszawskiej mieściła się kostnica szpitala św. Kazimierza. Stamtąd ruszały pogrzeby przypominające manifestacje sprzeciwu wobec nieuchronnej śmierci, która często składała wizytę swoim ofiarom w najbardziej nieodpowiednim momencie, krzyżując ludzkie plany i uruchamiając kaskadę trudnych do opanowania problemów i nieszczęść tym, którzy pozostali i musieli kontynuować ziemską wędrówkę. Kiedy czoło konduktu wkraczało w ul. Rwańską, grozę żałobnego pochodu potęgowało bicie dzwonów kościoła farnego, których dźwięk odprowadzał kondukt w kierunku rynku i dalej do wylotu ul. Krakowskiej. Oprawa tej smutnej uroczystości w dużym stopniu zależała od jego pozycji społecznej i od stopnia zamożności najbliższej rodziny. Co bardziej znaczącym za życia zmarłym towarzyszyła muzyka żałobna orkiestry, której przejmujący dźwięk zagłuszał płacz najbliższych. Kobiety podążające za trumną zmarłego skrywały zwykle swoją twarz za czarnymi welonami, które pozwalały stworzyć intymny świat rozpaczy. Nieliczni dostępowali zaszczytu wprowadzenia konduktu do kościoła, w którym odprawiano mszę żałobną. Po jej zakończeniu kondukt podążał w kierunku miejsca wiecznego spoczynku. Nikt z moich najbliższych, ze względu na usytuowanie społeczne i finansowe, nie dostąpił zaszczytu ostatniego nawiedzenia farnego kościoła podczas pogrzebu. Jednym z najbardziej widowiskowych pogrzebów, które było mi dane oglądać z perspektywy tłumu na ul. Rwańskiej, był kondukt żałobny tragicznie zmarłego w kwietniu 1959 roku dyrygenta Dominika Kozłowskiego, postaci zasłużonej dla radomskiego środowiska muzycznego. Prawie 50 lat związany był z Radomiem. Prowadził orkiestrę kolejową oraz kierował chórem „Lutnia". Zginął, przechodząc przez ul. Żeromskiego, która w tamtych czasach była ruchliwym ciągiem komunikacyjnym, pełnym samochodów, dzisiaj zaś jest spokojnym deptakiem.

Widok ul. Rwańskiej w czasach mojego dzieciństwa przysparzał również przyjemnych wrażeń, które były związane z oglądaniem sklepowych witryn i wizytami w cukierni kuszącej widokiem smakowitych ciastek. Nie ma już wspaniałych napoleonek z budyniowym kremem i tortowych ciastek o wyszukanych smakach. Nie ma też tej cukierni i położonego naprzeciwko niej małego sklepiku, którego wąska witryna przed Bożym Narodzeniem iskrzyła się bogactwem choinkowych ozdób. Ciekawym obiektem do obserwacji była również witryna kwiaciarni. Duże okno w całości wypełniały kwiaty przepięknej urody, z których jej właścicielka o obfitych kształtach wyczarowywała kompozycje stosownie do okazji. Cały urok kwiaciarni potęgowało wejście do jej wnętrza wypełnionego

ogromną ilością różnego rodzaju kwiatów, wśród których królowała jej właścicielka. W powietrzu czuło się tropikalną wilgoć. Często zastanawiałem się, jak ona wytrzymywała te egzotyczne warunki, gdyż kwiaciarnia ta była również jej mieszkaniem. Najpiękniej ul. Rwańska wyglądała przed Bożym Narodzeniem. Wystawy małych sklepików lśniły różnokolorowymi świecidełkami i światełkami. Prawie na każdej z nich wyeksponowany był św. Mikołaj z białą brodą. Często wystawiano miniaturowe szopki, a czarownego uroku ekspozycji przyciągających wzrok dzieci dodawały wszechobecne anielskie włosy. Ulica tonęła w śniegu, którego spadające płatki dopełniały widoku przedświątecznej scenerii. W latach mroźnej zimy dodatkowych efektów dostarczały częściowo zamarznięte szyby. Wszystko wyglądało bajecznie.

Ulica Rwańska kojarzy mi się również z mniej przyjemnymi zdarzeniami, które miały miejsce w czasach realnego socjalizmu lat pięćdziesiątych. Były nimi pochody pierwszomajowe oraz przymusowe manifestowanie żałoby po śmierci Józefa Stalina w marcu 1953 roku. W mroźne przedpołudnie 9 marca przechodziłem ul. Rwańską i w pewnym momencie zawyły w całym mieście syreny. Ich przejmujący ryk oznajmiał o uczczeniu pamięci jednego z wodzów bolszewickiej rewolucji Józefa Stalina, którego pogrzeb odbywał się właśnie w Moskwie. Zgodnie z wcześniejszym nakazem należało w tym momencie się zatrzymać, przyjąć wyprostowaną postawę, aby oddać cześć osobie mającej na sumieniu miliony ofiar ludzkich, które straciły życie w imię szaleńczej ideologii. Miała ona zapewnić powszechną szczęśliwość, dobrobyt i zaspokoić odwieczne pragnienie społecznej sprawiedliwości. Przyniosła jednak ubóstwo i zagładę milionom niewinnych istnień ludzkich. Jako dziesięcioletni wówczas chłopiec nie wiedziałem wiele na ten temat, jednak wewnętrzny instynkt kazał mi zignorować formalne nakazy uczczenia pamięci zmarłego przywódcy kraju, który w powszechnym odbiorze był nazywany wielkim bratem. Nie zatrzymałem się. Poszedłem dalej i w pewnym momencie jak spod ziemi zjawił się milicjant, który głosem nieznoszącym sprzeciwu nakazał mi natychmiastowe zatrzymanie się. Nie było wyjścia. Stanąłem jak wryty i w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że nie żyję w wolnym kraju. Innym zdarzeniem, które potwierdziło moje odczucia, było uczestnictwo w pierwszomajowym pochodzie. Zgodnie z przekonaniem rządzących pochody miały być formą zbiorowego poparcia dla obowiązującej ideologii i władz wdrażających w życie jej przesłanie. W latach pięćdziesiątych miały charakter obowiązujący. Często przybierały postać „czerwonego pikniku", w którym brały udział również dzieci zabierane przez swoich rodziców. Po raz pierwszy w pochodzie uczestniczyłem razem z moim dziadkiem, który zabrał mnie na radomski rynek – miejsce zbiórki uczestników przemarszu. Wszyscy byli odświętnie ubrani, ale u większości trudno było zauważyć objawy euforii z powodu uczestnictwa w przymusowym pochodzie. Zebranym manifestantom przypinano czerwone

wstążeczki, wręczano flagi, portrety przywódców państwa i socjalistycznej rewolucji oraz transparenty informujące o oszałamiających wynikach przodowników pracy. Organizatorzy tych „spontanicznych" manifestacji mieli nie lada problem, aby zapewnić godny wystrój pochodu i taką scenografię imprezy, która nie tylko wyrażałaby społeczny entuzjazm wywołany sukcesami nowego ustroju, ale i zaspokajała oczekiwania władz politycznych. Nieliczni chcieli nieść czerwone sztandary i portrety Lenina, Stalina, Marksa czy Engelsa. Największym wzięciem cieszyły się biało-czerwone flagi, a na dalszym miejscu portrety krajowych przywódców: Bolesława Bieruta, Konstantego Rokosowskiego, Józefa Cyrankiewicza, a w późniejszych latach – Władysława Gomułki. Ci, którym je wręczano, też nie byli tym uszczęśliwieni, ale nie mieli wyjścia, bo odmowa spełnienia tej przysługi dla władzy ludowej mogła zaszkodzić przyszłej karierze delikwenta niezbyt przychylnie nastawionego do socjalistycznej rzeczywistości. Kiedy wreszcie ruszył pochód z radomskiego rynku ul. Rwańską w kierunku ul. Żeromskiego, mój dziadek wykonał dość heroiczny gest. Zdecydowanym ruchem ręki zerwał z klapy marynarki czerwoną kokardkę. Zaskoczony jego zachowaniem zapytałem, dlaczego to zrobił. Odpowiedział bez zastanowienia: „ochrzczono mnie tylko raz i niech tak pozostanie". Miał wyraźnie prawicowe poglądy i nienawidził komunistycznej ideologii oraz wszelkich przejawów jej akceptacji. Tymczasem uformowany pochód posuwał się dalej ul. Żeromskiego, zmierzając do honorowej trybuny ustawionej na pl. Konstytucji. To przed nią następowała kulminacja imprezy. Głośne okrzyki popierające władzę i jej osiągnięcia, zaplanowane gesty sympatii dla dostojników odbierających pochód mieszały się z marszową muzyką graną przez orkiestry. Nad głowami uczestników pochodu powiewał na wietrze las sztandarów. Gęsty tłum na chodnikach podziwiał maszerujących, zwłaszcza gdy wśród pierwszomajowych manifestantów pojawiały się różnobarwnie ubrane zespoły ludowe, tancerze i sportowcy wykonujący gimnastyczne figury. Podziw obserwatorów pochodu wzbudzali ci jego uczestnicy, którzy byli przodownikami pracy. Kroczyli oni dumnie, przepasani białymi lub czerwonymi szarfami na których widniały porażające cyfry: 200% normy, 300% normy, a często i więcej. Odbiorcy tych informacji, nie oceniając realności tak imponujących wyników, oklaskami nagradzali ich nadludzki wysiłek w tworzeniu świetlanej przyszłości narodu, która miała się ziścić po zbudowaniu socjalizmu. Niektórzy z niedowierzaniem oceniali zaskakującą treść napisów. Po przejściu przed trybuną, na której usadowili się ci, których poziom życia był bliższy obietnicom świetlanej przyszłości, w porównaniu z tymi, którzy, maszerując, wątpili w poprawę swego losu, następował czas relaksu i dodatkowych atrakcji. Zmęczeni nadmiarem wrażeń i pewną uciążliwością samego marszu jego uczestnicy z uczuciem ulgi oddawali rekwizyty pierwszomajowej scenografii i z pewnym ożywieniem oblegali platformy samochodów ciężarowych, na których zorganizowano prowi-

zoryczne sklepy. Sprzedawano w nich napoje chłodzące, kiełbasę, słodycze i inne towary, których nabycie w zwykłym dniu nie zawsze było możliwe. Zbliżanie się pierwszomajowego święta kojarzono zwykle z możliwością kupna trudno dostępnych towarów, które w potocznym języku nazywano „rzucaniem", co zwykle przyjmowało formę zwrotu: „pewnie z okazji 1 Maja coś rzucą". Zwabieni tym oczekiwaniem uczestnicy pochodu, jak i jego obserwatorzy powiększali liczbę doraźnych entuzjastów nowego porządku. Ci bardziej wytrwali brali jeszcze udział w festynie, który w latach czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku odbywał się na rozległym placu za koszarami wojskowymi. Dzisiaj na tym miejscu powstała świątynia kapitalizmu, którą jest galeria handlowa „Słoneczna". Na festynie panowała atmosfera autentycznej zabawy. Tłum kłębił się na placu. Niektórzy tańczyli na prowizorycznych podestach. Przez zainstalowane megafony rozbrzmiewały znane melodie „Cicha woda", „Na lewo most, na prawo most" czy „Karuzela" w wykonaniu Marii Koterbskiej. Przygrywały orkiestry, a centralnym punktem festynu był wysoki drewniany słup, na wierzchołku którego umieszczono cenne nagrody dla śmiałków, wspinających się po jego śliskiej powierzchni. Nie wszystkim udawało się dotrzeć do upragnionych trofeów. Ci, którzy potrafili pokonać śliskość powierzchni słupa, zjeżdżali tryumfalnie na dół z pętami kiełbas lub innych smakołyków. Zabawa ludu była przednia. Pozwalała chociaż na chwilę zapomnieć o trudach dnia codziennego. Po pierwszomajowych obchodach następowała szara codzienność, o której nadejściu oznajmiały wczesnym rankiem następnego dnia fabryczne syreny. W obecnych czasach początek maja obfituje dniami wolnymi od pracy. Wówczas dzień 3 Maja, o którym nawet nie wolno było wspominać, był zwykłym dniem roboczym.

Pozostając pod urokiem ul. Rwańskiej z lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku, warto wspomnieć o położonej w pobliżu ul. Wałowej, która ożywiała się w czwartek – w dzień targowy. Przy tej ulicy był niewielki plac, gdzie wiejskie gospodynie oferowały do sprzedaży niezliczone ilości jaj, śmietany, rzepakowego oleju, masła owiniętego w chrzanowe liście oraz przepysznych serów otulonych śnieżnobiałymi kawałkami płótna. Początkowo moje wyprawy na tzw. Wał odbywały się w towarzystwie babci, która uwielbiała cotygodniowy rytuał targowych zakupów. Był on dla mnie dość nużący, gdyż radomskie paniusie przystawały prawie przy każdej gospodyni, chętnie próbując smaku wszystkich produktów. Śmietanę w niewielkiej ilości umieszczano za pomocą łyżki na zewnętrznej powierzchni dłoni potencjalnej nabywczyni, która zręcznym ruchem języka zlizywała białą przynętę, negocjowała cenę i podejmowała decyzję o ewentualnym zakupie. Podobny rytuał odbywał się przy zakupie innych produktów, które do woli można było próbować. Do sprzedaży wystawiano również drób. Przygnębiający był widok leżących na ziemi kur z powiązanymi nogami, oczekujących na chętnego nabywcę, a tym samym rychły koniec swoje-

go żywota. Ponieważ ul. Wałowa nie była zbyt odległa od rynku, dziecięca ciekawość skłaniała mnie do samotnych odwiedzin wystaw sklepów, które przy niej się znajdowały. Tuż po wojnie wyglądały one bardzo ubogo. Sprzedawano w nich kolorową oranżadę w butelkach, landrynki na wagę umieszczone w szklanych słojach, napój cytrynowo-pomarańczowy, w którym pływały plasterki cytrusów, sosnowe drewienka na podpałkę przewiązane słomianą przewiązką, groch, fasolę, mąkę i różne kasze oferowane klientom na wagę. Towarów kolonialnych tam nie było. Była za to szara rzeczywistość.

Fot. 31. Targ na Rajszuli (obecnie pl. Jagielloński) w 1941 roku (własność Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, część druga, Radom 2015, s. 213.

Prawdziwa atmosfera czwartkowego jarmarku panowała jednak na pl. Jagiellońskim, zwanym potocznie Rajszulą, wypełnionym po brzegi furmankami. Odprzęgnięte konie stały przy wozach wypełnionych różnorodnym towarem, a na każdej wolnej przestrzeni rozkładały się ze swoimi produktami wiejskie gospodynie. Dawało to odczucie pewnego chaosu i nieuporządkowania, któremu towarzyszył targowy zgiełk. Załączone poniżej zdjęcia przedstawiające Rajszulę podczas niemieckiej okupacji oddają charakter tego miejsca, które mogłem oglądać w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Wokół unosił się odór końskiego moczu. Jako dziecko byłem zainteresowany głównie tymi rejonami targu, na których wystawiano wyroby z drewna. Szczególnie ponętnie wyglądały drewniane bryczki z konikami pomalowanymi na czerwono, motyle z klaszczą-

Fot. 32. Wiejskie gospodynie na Rajszuli
(własność Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, część druga, Radom 2015, s. 213.

cymi skrzydłami, tańczące lalki czy konie na biegunach. Targ miał różne wyspecjalizowane rejony, w których można było kupić żywe zwierzęta do dalszego chowu, wszelkiego rodzaju zboża, liny i powrozy, drewniane koła do furmanek i inne sprzęty potrzebne w wiejskim gospodarstwie. Czwartkowe jarmarki były też okazją do spotkań ze znajomymi i uczczenia udanych transakcji sprzedaży, w czym bardzo pomagał zakupiony z tej okazji alkohol. Ta forma jarmarcznej rozrywki w przeszłości była również praktykowana w innych krajach, między innymi w Niemczech. Potwierdzeniem tego jest nazwa jednej z ulic we Wrocławiu, w którym mieszkam już przeszło 58 lat. Jest to ul. Na ostatnim groszu. Za czasów niemieckich przy tej ulicy była karczma „Ostatni Grosz". Jej nazwa wywodziła się stąd, że wieśniacy wracający z targu, który odbywał się na wrocławskim rynku, ostatnie pieniądze tam zarobione wydawali w tym przybytku kulinarnych uciech i alkoholowych swawoli. Z upływem lat lokalizacje radomskich targowisk się zmieniały. W 1952 roku miejsce targowego spektaklu przeniesiono na wolny teren przy ul. Wernera, zwany powszechnie „Koreą", gdyż zdaniem ówczesnych władz targowisko nie pasowałoby do pomnika „wdzięczności" ku czci żołnierzy radzieckich, który odsłonięto w następnym roku na pl. Jagiellońskim. Zmiana ustroju po czerwcowych wyborach w 1989 roku spowodowała, że w 2004 roku odnowiony pomnik znalazł swoje miejsce na cmentarzu prawosławnym przy ul. Warszawskiej. Cóż, wiatry historii nie tylko eliminują ludzi z ich dotychcza-

sowej społecznej pozycji, ale również zmieniają usytuowanie pomników, których powstanie budzi kontrowersyjne odczucia.

Radom, czyli mój „inny świat", zwiększał swoją przestrzeń w miarę mojego wzrastania. W czasach wczesnego dzieciństwa zaczynał się na końcu Wacyna, a zamykał u wylotu ul. Rwańskiej do ul. Żeromskiego, tj. do dzisiejszego pl. Kazimierza Wielkiego, który za czasów mojego dzieciństwa nosił nazwę Placu Trójcy Przenajświętszej. Z tego placu biorą swój początek nie tylko ul. Żeromskiego, ale również ulice: Mikołaja Reja, Wałowa i Jacka Malczewskiego. W mojej pamięci wciąż pozostały obrazy i wspomnienia związane z obecną ul. Malczewskiego, która dawniej nosiła nazwę ul. Warszawskiej, gdzie mieściły się budynki tworzące scenerię dla moich dziecięcych doznań. Jednym z nich był budynek Resursy Obywatelskiej, który po wojnie był siedzibą Domu Kultury Robotniczej, a później Powiatowego Domu Kultury. W obiekcie tym była sala widowiskowa, na której warszawscy aktorzy występowali dla radomian. To właśnie tam jako mały chłopiec po raz pierwszy byłem wraz ze swoją babcią Anną Wachnicką na przedstawieniu komedii Gabrieli Zapolskiej „Żabusia". Oczarowały mnie tajemnicza aura teatru, oświetlona scena, zapatrzone w nią twarze zachwycone grą aktorów.

Fot. 33. Dawna Resursa Obywatelska w latach pięćdziesiątych XX wieku

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 205.

Pamiętam również inne wydarzenia związane z tym budynkiem, będące echem okupacji. Było to w drugiej połowie lat czterdziestych. Z grupą chłopców

z podwórka wybraliśmy się na plac przed Resursą Obywatelską, na którym na trawie siedział tłum ludzi zmęczonych letnim upałem. Części z nich udało się skryć w cieniu rozłożystego Dębu Wolności, który swoją obecnością przypominał wydarzenia z 3 maja 1919 roku, kiedy to na pamiątkę odzyskania przez Polskę niepodległości został posadzony w czasie podniosłej uroczystości, w której wzięło udział kilkanaście tysięcy osób. Wśród nich była młodzież szkolna, przedstawiciele cechów, organizacji kobiecych, różnych stowarzyszeń i towarzystw, chłopów, duchowieństwa i władze miasta. Wszyscy byli zjednoczeni radością posiadania wolnej ojczyzny. Dla podkreślenia pełnej symboliki całego przedsięwzięcia obok dębu posadzono trzy lipy, które miały symbolizować scalające się zabory. Do obecnych czasów dotrwał tylko dąb, który przypomina potomnym, jak należy czcić wolność i jej bronić, gdyż nie jest ona dana raz na zawsze, o czym można było się przekonać za szesnaście lat po tych podniosłych uroczystościach przed budynkiem Resursy Obywatelskiej, kiedy 1 września 1939 roku niemieccy agresorzy napadli na Polskę i zniewolili ją prawie na sześć lat. Czytając w starych źródłach opisy obchodów na pamiątkę odzyskania niepodległości, które miały miejsce w Radomiu w 1919 roku, podziwiam ich rozmach, zaangażowanie wszystkich grup społecznych i ich jedność w godnym uczczeniu tak wielkiego historycznego wydarzenia. Porównuję to lokalne wydarzenie sprzed stu lat z tym, co działo się w mojej ojczyźnie sto lat później, czyli w 2018 roku, kiedy w warunkach ogromnych podziałów wewnętrznych, często nienawiści i braku elementarnego porozumienia w imię najwyższych wartości, obchodzono tak ważną dla naszego narodu setną rocznicę odzyskania niepodległości. Jest mi po ludzku smutno. W Radomiu o wydarzeniach sprzed stu lat przypomina Dąb Wolności, a co będzie za kolejne sto lat przypominało następnym pokoleniom rocznicę, którą obchodziliśmy w 2018 roku? Nie sadzę, że będą to ławeczki grające patriotyczne pieśni. Wracając jednak do wspomnień wydarzeń z lat czterdziestych, które miały miejsce w budynku Resursy, trzeba czytelnikom wyjaśnić, że odbywały się w nim procesy hitlerowskich oprawców odpowiedzialnych za zbrodnie popełnione w czasie okupacji. Siedzący wokół dębu ludzie słuchali zeznań świadków i oskarżonych. Oczekiwali nie zemsty, lecz sprawiedliwego ich ukarania. Często z głośników umieszczonych na zewnątrz Resursy unosiło się niezrozumiałe dla mnie słowo „nein", wypowiadane niejednokrotnie przez oskarżonych zaprzeczających zarzutom prokuratorów i zeznaniom świadków, którym udało się przeżyć piekło okupacyjnych dni i nocy. Niemym, jakże symbolicznym świadkiem tych procesów był Dąb Wolności, który wciąż stoi i swoją obecnością przypomina żyjącym, żeby wyciągali wnioski z naszej tragicznej historii i swoją postawą oraz działaniami chronili wolność i niepodległość naszej ojczyzny. Budynek Resursy kojarzy mi się nie tylko z wymiarem dziejowej sprawiedliwości, ale również z przeżyciami, które zapewnia X Muza. Od 1955 roku bowiem prowadziło w nim

swoją działalność kino „Przyjaźń", w którym miałem okazję oglądać amerykański film wojenny z 1943 roku w reżyserii Sama Wooda „Komu bije dzwon", zrealizowany na kanwie powieści Ernesta Hemingwaya pod tym samym tytułem. Zachwycała gra wspaniałej pary aktorów – Ingrid Bergman i Gary'ego Coopera. Przerażało realistyczne przedstawienie okrucieństw wojny domowej w Hiszpanii i zadziwiał kunszt reżyserski twórcy filmu.

Tuż za budynkiem dawnej Resursy rozłożył się okazały gmach szpitala św. Kazimierza, w którym chirurg dr Tadeusz Orzeszko wraz z zespołem lekarzy i pielęgniarek uratował mi życie. Tam urodził się mój brat Zbigniew i zmarła moja mama Zofia. Dzisiaj już nie ma tego szpitala. Jest hotel „Aviator", którego nazwa wiąże się z tradycjami lotniczymi miasta nad Mleczną, corocznie podtrzymywanymi organizacją międzynarodowych pokazów lotniczych na terenach lotniska w Sadkowie. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko hotelu, jest rozległy plac, na którym wznosi się mauzoleum pułkownika Dionizego Czachowskiego, jednego z przywódców powstania styczniowego. Idea uczczenia jego zasług w tym zrywie narodowym przeciwko carskiej przemocy zrodziła się jeszcze przed drugą wojną światową, ale ostateczna forma pomnika zmaterializowała się dopiero w setną rocznicę tego powstania. Stąd też mojej codziennej wędrówce do szkoły, która mieściła się przy ul. Śniadeckich 5, nie towarzyszył widok materialnego dowodu wdzięczności radomian dla przywódcy powstania styczniowego. Dzisiaj uporządkowany wokół mauzoleum plac i stojące przy nim nowe i odrestaurowane budynki cieszą oko i potwierdzają troskę władz miasta o zachowanie piękna jego historycznych i urokliwych miejsc. Z obiektów, które utkwiły w mojej pamięci i znajdują się w tym rejonie miasta, jest jeszcze rogatka warszawska. Dzisiaj jest to siedziba Akademickiej Galerii Sztuki „Rogatka". W czasach mojego dzieciństwa i młodości rogatka warszawska była kaplicą przedpogrzebową szpitala św. Kazimierza. To w niej odbywały się dramatyczne pożegnania zmarłych i brały swój początek pogrzebowe kondukty zmierzające na cmentarz przy ul. Limanowskiego. Miały one dość widowiskowy charakter i były pewną formą demonstracji przeciwko nieuchronnemu losowi każdego człowieka. Dzisiaj śmierć jest traktowana jako coś, co się komuś przydarzyło i nas nie dotyczy. Jest wyrazem życiowej klęski. Wypiera się ją ze świadomości żyjących, a sam obrządek pochówku lokuje w zamkniętej przestrzeni świątyń i ogrodzonych murami cmentarzy. Na szlaku moich codziennych wędrówek do szkoły znajdował się jeszcze budynek Seminarium Nauczycielskiego przy ul. Warszawskiej (obecnie ul. Malczewskiego), do którego uczęszczała moja mama i jej siostra Wanda Wachnicka. To z ich opowiadań czerpałem wiedzę o tej placówce, która miała ogromne zasługi w kształceniu nauczycielek dla szkół powszechnych. Dalsza wędrówka do szkoły była dość monotonna. Po przekroczeniu mostu nad Potokiem Północnym po lewej stronie można było zobaczyć pierwsze wybudowane po wojnie w Radomiu dość

ponure osiedle mieszkaniowe. Nieotynkowane, wybudowane z cegły budynki były przedmiotem westchnień tych, którzy gnieździli się w ciasnych jednopokojowych mieszkaniach w starej części miasta. Osiedle Obozisko, bo tak nazywa się dzielnica Radomia, w której rozpoczęła się era budowy blokowisk w tym mieście, otaczało moją szkołę przy ul. Śniadeckich, która mimo przedwojennych tradycji nie przetrwała do naszych czasów. Dla mnie na tej ulicy kończył się Radom. Wiedziałem, że za horyzontem jest jeszcze Firlej, miejsce uświęcone krwią ok. 15 tys. polskich patriotów, radomian, którzy zginęli z rąk hitlerowskich oprawców, oraz gdzieś daleko jest Warszawa, na co wskazywała nazwa zmierzającej na północ ul. Warszawskiej.

Na początku lat pięćdziesiątych zasięg samodzielnego poznawania przeze mnie miejskiej przestrzeni zwiększył się do pl. Konstytucji, aby ostatecznie objąć cały obszar miasta wraz z rozpoczęciem przeze mnie w 1957 roku nauki w Technikum Przemysłu Skórzanego. Początkowo miało ono siedzibę przy ul. Słowackiego 17 w budynku zajmowanym przed wojną przez Seminarium Nauczycielskie, później zostało przeniesione na ul. Śniadeckich 5. W latach powojennych ul. Żeromskiego, podobnie jak i obecnie, była sercem miasta. To właśnie w tym miejscu radomianie nie tylko się spotykali, ale również manifestowali spontanicznie lub w sposób zorganizowany, często przymuszony przez panującą władzę, poparcie bądź sprzeciw wobec dziejowych wydarzeń. Obecnie pełni funkcję reprezentacyjnego deptaka, ale w latach mojego dzieciństwa i wczesnej młodości była ruchliwym ciągiem komunikacyjnym pełnym samochodów i końskich zaprzęgów. Było to miejsce spotkań radomian. Jeżeli ktoś dawno nie widział swoich znajomych, a bardzo zapragnął ich zobaczyć, to przypadkowy spacer zwiększał prawdopodobieństwo takiego spotkania. Zabudowa ul. Żeromskiego, zwanej wcześniej Lubelską, zawsze urzekała mnie ciepłem architektury inspirowanej formami renesansu i baroku. Zdobne kamienice i urokliwe pałacyki wybudowane w XIX wieku przez ziemian, wysokich urzędników państwowych oraz bogatych rzemieślników przypominają o latach świetności tej ulicy. Jej uroda najbardziej zachwyca widokiem, który można podziwiać w rzeczywistości i na licznych zdjęciach zrobionych z perspektywy pl. Konstytucji 3 Maja w kierunku ul. Rwańskiej.

Będąca główną arterią miasta, ul. Żeromskiego pełniła wiele funkcji i była świadkiem wydarzeń związanych z naszą burzliwą historią. Formalne początki jej powstania należy kojarzyć z opracowaniem planu regulacyjnego dla miasta Radomia w 1822 roku. Stąd też architektoniczny charakter tej ulicy został ukształtowany głównie przez budynki i budowle wzniesione w XIX i w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku. Moje pierwsze wrażenia i zetknięcie z ul. Żeromskiego miały miejsce w latach czterdziestych ubiegłego wieku, a więc w okresie powojennym, pełnym szarości i niedostatku. W opowiadaniach moich dziadków i rodziców przedwojenny wygląd tej ulicy wzbudzał zachwyt, tęskniono więc potem za czasami, które tak okrutnie przerwała wojna. Bogate sklepy, kina

Fot. 34. Siedziba Technikum Przemysłu Skórzanego w Radomiu w latach pięćdziesiątych XX wieku

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 155.

Fot. 35. Ulica Żeromskiego w Radomiu w latach pięćdziesiątych XX wieku

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 61.

„Miraż" i „Czary", pełne kawiarnie i zawsze oblegana przez gości z Warszawy słynna restauracja Wierzbickiego. Powojenna rzeczywistość zmieniła krajobraz ulicy. Prywatne sklepy zostały zastąpione państwowymi, a wystawione w nich towary potwierdzały ograniczone możliwości planowej gospodarki co do zaspokojenia codziennych potrzeb obywateli. Odrobinę luksusu, i to dla nielicznych, można było ujrzeć w sklepach „Galluksu". Przestała istnieć restauracja Wierzbickiego, a w miejscu kina „Czary" rozgościło się kino „Hel". Zubożenie społeczeństwa, a zwłaszcza inteligencji, spowodowało ograniczenie kawiarnianego życia. Główna arteria Radomia utraciła swój przedwojenny blask, mimo to była dla mnie najpiękniejszym miejscem na ziemi. Miałem na tej ulicy ulubione obiekty, które budziły ciekawość i jak magnes przyciągały moją uwagę. Należały do nich: klasztor i kościół ojców Bernardynów, cukiernia „U Turka", księgarnia, Miejska Biblioteka Publiczna, budynek Delikatesów i kino „Hel".

Obiektem, który poznałem najwcześniej, był klasztor i kościół ojców Bernardynów. Było to miejsce codziennych wypraw mojej babci Anny Wachnickiej na wieczorne msze. Często zastanawiałem się, dlaczego, mając bliżej kościół farny, decydowała się na dodatkowy trud nawiedzenia bernardyńskiej świątyni. Być może magiczna atmosfera klasztornego kościoła wzmacniała jej duchowe dozna-

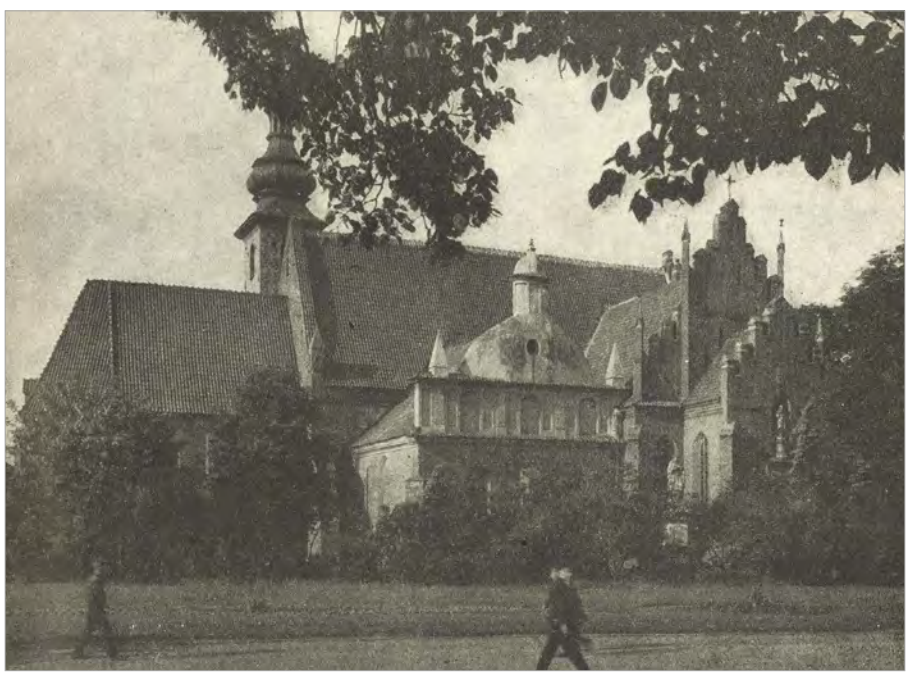

Fot. 36. Kościół ojców Bernardynów w latach pięćdziesiątych XX wieku

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 51.

nia. W tamtych czasach wnętrze kościoła było dość ponure. Ściany były pokryte ciemnymi malowidłami i licznymi epitafiami, a sklepienie krzyżowo-żebrowe w prezbiterium i gwiaździste w nawie potwierdzały szesnastowieczny rodowód świątyni. W głównym ołtarzu dominował późnogotycki krucyfiks w towarzystwie rzeźb Matki Boskiej Bolesnej oraz św. Jana Apostoła. Autorstwo tego ołtarza przypisuje się uczniom Wita Stwosza. Jako mały chłopiec musiałem towarzyszyć mojej babci w codziennych mszach wieczornych, które odprawiały się w bernardyńskim kościele. Zajmowała ona miejsce w zabytkowych stallach, a mnie lokowała na drewnianym podeście poniżej swoich nóg. Wpatrywałem się w twarze świętych postaci, dym kadzideł nadawał im tajemniczego wyglądu i podkreślał ich piękno. Z czasów wieczornych mszy odprawianych w kościele ojców Bernardynów utkwiły mi w pamięci wzrok i zbolała twarz ukrzyżowanego Chrystusa, które podkreślały grozę zdarzeń sprzed prawie 2000 lat i sens wędrówek na codzienne modły. Nudziłem się jednak straszliwie, a jedyną atrakcją tych nabożeństw był widok ciężkich grzesznic, które podczas podniesienia kładły się na kamiennej posadzce kościoła i leżały krzyżem w tej dramatycznej pozie. W taki demonstracyjny sposób odprawiały zadaną pokutę, budząc wśród zebranych podziw i akceptację tego gestu niosącego odkupienie grzechów i nadzieję na wieczne zbawienie. Dzisiaj

Fot. 37. Rzeźba Chrystusa na krzyżu z kościoła ojców Bernardynów

Źródło: J. Jędrzejewicz, *Radom. Szkice z dziejów miasta*, Arkady 1961, s. 171.

już pewnie nie ma ciężkich grzesznic, bo tak przejmującego widoku nie spotyka się podczas nabożeństw. Zmienił się również wygląd bernardyńskiego kościoła. Lśniące nowe pokrycie dachu i jasne wnętrze zatarły ślady upływającego czasu. Nie ma już na dziedzińcu kościoła starych kasztanowych drzew, które w upalne dni dawały swoim cieniem chwile wytchnienia rozmodlonym wiernym. Wieczorem podświetlona budowla przyciąga swoim pięknem, zapraszając do wnętrza osoby spragnione duchowego ukojenia. Cieszy troska o tę piękną świątynię, której los był niejednokrotnie zagrożony. Pamiętam, jak w 1960 roku obserwowałem wraz z moim dziadkiem Janem Wachnickim pożar dachu kościoła ojców Bernardynów. Z perspektywy ul. Wałowej wyglądało to bardzo groźnie. Języki ognia ogarniały coraz większą połać dachu, ale dzięki wielogodzinnej akcji strażaków udało się opanować groźny pożar, którego skutki w postaci okopconego sklepienia były widoczne przez wiele lat.

Podążając ul. Żeromskiego śladami moich dziecięcych i młodzieńczych doznań, warto wspomnieć miejsca, których dzisiaj już nie ma, a które były w tamtych czasach źródłem pozytywnych przeżyć. Miejscem tym była cukiernia „U Turka" położona naprzeciw ul. Traugutta. W jej dość obszernym wnętrzu lśniły szklane witryny i przeszklone lady, w których wyeksponowane były przeróżne słodkości i ciastka dzisiaj niespotykane. Właścicielem cukierni był autentyczny Turek, elegancki i przystojny pan, ubrany w nienagannie skrojony garnitur, w śnieżnobiałej koszuli. Gustowny krawat dopełniał reszty. Z uśmiechem i gracją podawał on wschodnie przysmaki zamówione wcześniej przez kupujących. Większość sprzedawanych tam wyrobów pozwalała poznać cukiernicze, a zarazem egzotyczne smaki rodem z Bliskiego Wschodu. Moje wędrówki ul. Żeromskiego były nieodłącznie związane z poszukiwaniem kontaktów z książką. Można je było łatwo nawiązać, stojąc przed witryną księgarni usytuowanej w środkowej części tej radomskiej arterii. Za szklaną szybą wystawy wyłożone książki i kolorowe albumy kusiły potencjalnych czytelników. Barwne okładki i intrygujące tytuły pobudzały wyobraźnię i wzmagały chęć kupna upatrzonego tytułu. Marzenia o posiadaniu własnej książki w tamtych czasach nie zawsze były łatwe do spełnienia. Bliższy kontakt z książką był możliwy dzięki jej wypożyczeniu w Miejskiej Bibliotece Publicznej, która wówczas mieściła się w stylowej kamienicy na rogu ul. Żeromskiego i pl. Konstytucji. W jej pomieszczeniach zawsze było dużych chętnych do spotkania z książkami, które przysparzały nowych przeżyć, wzbudzały refleksje i wzbogacały duchowo. W latach powojennych nie było przecież smartfonów i tabletów, książka była więc podstawowym źródłem wiedzy, rozrywki i intelektualnego relaksu. Pierwsze odbiorniki telewizyjne pojawiły się w użyciu w końcu lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Posiadali je nieliczni, co było powodem do dumy, ale stawało się też źródłem pewnych kłopotów. Zaczął bowiem upowszechniać się zwyczaj „chodzenia na telewizję". Ci, którzy nie mieli odbiorni-

ków telewizyjnych, nawiedzali „szczęśliwych" posiadaczy srebrnych ekranów, co czasami było źródłem licznych uciążliwości. Mogło naruszać mir domowy i burzyć atmosferę intymnego przeżywania akcji pokazywanych filmów czy innych programów. Powodzeniem cieszyły się wystawy sklepów sprzedających telewizory. Ponieważ nikt w mojej rodzinie nie miał tego cudownego wynalazku, często biegałem na ul. Nowotki (obecnie Marszałka Józefa Piłsudskiego), gdzie mieścił się sklep ze sprzętem radiowo-telewizyjnym. Na jego wystawie był włączony telewizor i można było do woli oglądać nadawane audycje. Wymagało to pewnego wysiłku, gdyż stojąca pozycja oglądających i mały rozmiar ekranu pierwszych odbiorników obniżały komfort bezpłatnej rozrywki. Przekazywany obraz był czarno-biały i często niewyraźny. Stąd też w stosunkowo krótkim czasie pojawiły się w sprzedaży specjalne kolorowe szkła powiększające nakładane na ekran. Ich użycie polepszało jakość odbioru, obraz był jednak daleki od idealnego, który dzisiaj mamy dostępny na co dzień. Pojawienie się możliwości oglądania telewizji wywoływało też zróżnicowane reakcje. Osoby żądne wszelkich nowinek technicznych były zachwycone nowym wynalazkiem, starsi i ludzie o zachowawczych zapatrywaniach nazywali go „złodziejem czasu".

Główna arteria miasta Radomia była skupiskiem sklepów przyciągających uwagę potencjalnych nabywców, którzy w tamtych czasach przypominali łowców towarów. Stojąca przed sklepem kolejka była bowiem często zapowiedzią możliwości zakupu poszukiwanych produktów. Miejscem, przed którym często można było ją zauważyć, był sklep delikatesowy na rogu ul. Żeromskiego i ul. Moniuszki. To właśnie w nim przed świętami Bożego Narodzenia klienci mieli największe szanse nabycia świątecznych smakołyków, którymi były wówczas kubańskie pomarańcze, cytryny czy rodzynki. Któregoś przedświątecznego dnia pod koniec lat pięćdziesiątych, zwabiony radiowym komunikatem, że do Gdyni zawinął statek z transportem kubańskich pomarańczy, stanąłem w kolejce przed wspomnianym delikatesowym sklepem. Kolejka żyła swoim życiem. Była miejscem nawiązywania kontaktów towarzyskich, przypadkowych rozmów, jak i zwykłych narzekań na uciążliwości codziennego dnia. Tak też było i tym razem. Przede mną stały dwie kobiety. Jedna nieustannie opowiadała o swoich domowych problemach, druga zaś słuchała i z objawami pewnego zniecierpliwienia z utęsknieniem oczekiwała momentu dojścia do lady, gdzie w natłoku i zgiełku dokonywano przedświątecznych zakupów. W lawinie słów, które wypowiadała kobieta prowadząca monolog, pojawiła się kwestia zbyt długiego oczekiwania na własne mieszkanie. Powiedziała, że musi ten problem szybciej rozwiązać, udając się po pomoc do… „dziada". Cierpliwa słuchaczka wówczas ze zdziwieniem zapytała: „do kogo?". Autorka pomysłu na sposób rozwiązania swoich problemów ze zdobyciem własnego dachu nad głową odpowiedziała „… do Grzecznarowskiego". I w tym momencie stojący przed nimi starszy pan odwrócił się i z uśmie-

Fot. 38. Józef Grzecznarowski ze współpracownikami i córkami Danutą i Haliną w latach trzydziestych XX wieku (własność Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, Radom 2014, s. 127.

chem powiedział: „zapraszam". W kolejce zapanowała konsternacja, bo nikt się nie spodziewał, że wśród oczekujących na świąteczne zakupy jest ówczesny poseł i człowiek ogromnie zasłużony dla miasta Radomia. Przed wojną dwukrotnie był prezydentem miasta, posłem do Sejmu RP. W 1945 roku po powrocie z obozu koncentracyjnego w Oranienburgu zajmował się w Radomiu budownictwem. Był założycielem Radomskiej Spółdzielni Mieszkaniowej i Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego.

Ulica Żeromskiego, jako główna arteria Radomia, stała się początkiem wielu ulic i miejsc, które tworzyły i tworzą niepowtarzalną atmosferę miasta. Jedną z nich jest ul. Moniuszki, poprowadzona na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku, pełna okazałych mieszczańskich kamienic i budynków użyteczności publicznej. W czasach mojego dzieciństwa szczególnie przyciągającym miejscem na tej ulicy było kino „Bałtyk". Przed wojną początkowo w tym samym lokalu działało kino „Corso", a od 1934 roku kino „Adria". Dla mnie kino „Bałtyk" było miejscem niezapomnianych przeżyć. To właśnie w tym kinie wspólnie z moim dziadkiem oglądałem w 1953 roku przezabawną komedię „Wakacje pana Hulot". Poznałem grozę codziennego życia w okupowanej War-

szawie, oglądając „Zakazane piosenki", film w reżyserii Leonarda Buczkowskiego. Jeszcze do dziś brzmią mi w uszach utwory w niepowtarzalnym wykonaniu Hanki Bielickiej. Wciąż przed oczami mam plejadę znakomitych, nieżyjących już aktorów, którzy w filmie „Skarb" w sposób pełen wdzięku i humoru przedstawili życie w powojennej Warszawie. Jak wynika z akcji filmu, życie w wynajętym pokoju było codziennym udziałem młodych małżeństw oczekujących na własny kąt. Znalezienie skarbu byłoby dla nich cudownym rozwiązaniem problemu, który w tamtych czasach dla wielu był nie do pokonania. Fabuła filmu dość banalna, ale wspaniała gra takich aktorów, jak: Adolf Dymsza, Ludwik Sempoliński czy Alina Janowska, pozostaje na zawsze w pamięci. Problem mieszkaniowy pojawił się również w filmie „Przygoda na Mariensztacie", w którym obok plejady znanych aktorów: Danuty Szaflarskiej, Lidii Korsakówny, Jerzego Duszyńskiego, występował znakomity do dzisiaj Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze". Wspominam obrazy z filmu „Nędznicy", w którym Jean Gabin urzekał kunsztem aktorskiej gry. Starsi widzowie wystawali w kolejkach, aby obejrzeć wspaniałą Gretę Garbo w filmach „Dama Kameliowa" i „Królowa Krystyna". Można by długo przywoływać wrażenia z kina „Bałtyk", które dzisiaj oczekuje na remont i inne przeznaczenie w czasach wszechobecnej telewizji i ogromnych kin goszczących klientów galerii handlowych. Przechodząc obok budynku dawnego kina w pewne październikowe popołudnie 2018 roku, pożegnałem dawne przeżycia i z wdzięcznością pomyślałem o tych twórcach, którzy swoimi talentami rozjaśniali mroki szarej rzeczywistości powojennej Polski. Podobnych wrażeń dostarczało również położone przy ul. Żeromskiego kino „Hel", w pobliżu którego przed wojną, w kamienicy pod numerem 51, była słynna restauracja Stanisława Wierzbickiego. O jej sławie dowiedziałem się od moich dziadków i rodziców. Ich opowieści budziły zdziwienie, a lista gości, którzy w niej bywali, potwierdzała respekt i podziw dla właściciela i kucharzy budujących renomę restauracji znanej nie tylko w kraju, ale i za granicą. Na wspomnianej liście można znaleźć między innymi nazwiska takich znanych postaci świata polityki i kultury, jak: Charles de Gaulle, Wojciech Kossak, Stefan Jaracz, Henryk Sienkiewicz, Władysław Reymont, Ludwik Solski, Ignacy Mościcki czy Felicjan Sławoj Składkowski. Szkoda, że współcześni nie mogą w scenerii dawnej słynnej radomskiej restauracji raczyć się kunsztem kulinarnym mistrzów, a przedstawiciele „bogatszej" Warszawy, jak to miało miejsce przed wojną, przyjeżdżać do Radomia na okazjonalne obiady lub kolacje.

Wiedziony magią centralnej ulicy Radomia podążam w swoich wspomnieniach z jej nurtem, który konsekwentnie zmierza w kierunku ul. 1 Maja (obecnie ul. 25 Czerwca). W niewielkim oddaleniu od skrzyżowania z ul. Moniuszki miejscem spacerów w latach pięćdziesiątych był park im. Tadeusza Kościuszki, który mój dziadek, tak jak i inni radomianie, nazywał „nowym ogrodem". Był on atrakcją samą w sobie tak dla mieszkańców Radomia, jak i dla przyjezdnych

podążających z dworca kolejowego w kierunku ul. Żeromskiego. Jego ozdobą były sztuczne ruiny zamku i altana wzorowana na chińskiej pagodzie. W pobliżu głównej alei znajdowała się muszla koncertowa. Odbywające się w niej koncerty muzyczne umilały odpoczynek spacerowiczów. Niezmiennie urokliwy był widok fasady kościoła katedralnego pw. Opieki NMP, który od momentu zakończenia jego budowy w 1911 roku towarzyszył spacerowiczom podążającym w kierunku świątyni od strony ul. Żeromskiego. Obecnie urokowi parku dodają pomniki Fryderyka Chopina i Jana Kochanowskiego siedzącego w dość swobodnej pozie. Moje młodzieńcze wędrówki kończyły się zwykle w okolicach parku z dwóch dość prozaicznych powodów – zlokalizowanej w pobliżu łaźni miejskiej oraz usytuowanej przy ul. Słowackiego szkoły średniej, do której uczęszczałem. Było nią Technikum Przemysłu Skórzanego, przeniesione później na ul. Śniadeckich. Łaźnia miejska mieściła się w dawnym budynku rogatki lubelskiej i była ważnym obiektem w powojennym Radomiu, gdyż większość starych domów nie była wyposażona w łazienki, gruntowne umycie całego ciała wymagało więc korzystania z łaźni. Kąpiele odbywały się w tradycyjnych żeliwnych wannach rozmieszczonych w pokojach kąpielowych. W każdym z nich były dwie wanny. Do pomieszczeń wpuszczano po dwie osoby spośród dużej liczby chętnych oczekujących w długiej kolejce. Czas kąpieli był ograniczony. Po jego upływie wanny były opróżniane i myte przez personel łaźni. Rytuał łaziennych oblucji należy już dziś do przeszłości, a w pomieszczeniach dawnej łaźni można się wzbogacić duchowo, gdyż funkcjonuje w nich Klub Środowisk Twórczych, który dzięki szerokiej ofercie różnorodnych form sztuki dostarcza chętnym niezapomnianych przeżyć. Tuż za łaźnią bierze swój początek ul. Słowackiego, przy której mieściła się moja szkoła średnia. Przedwojenny budynek Męskiego Seminarium Nauczycielskiego i sąsiadujące z nim stylowe kamienice w sposób zachwycający podkreślały urodę pobliskiego parku, który dawał w upalne dni wytchnienie jej mieszkańcom i tworzył liryczną atmosferę młodzieżowych spotkań. Wnętrze budynku skrywało pozytywną energię dawnych lat, a stara architektura dopełniała reszty. Szczególnym miejscem pięknego gmachu była pokaźna aula, która na co dzień była salą gimnastyczną, a na szczególne okazje zamieniała się w salę balową lub koncertową. To właśnie w niej było mi dane po raz pierwszy zetknąć się z muzyką poważną i wielkimi nieżyjącymi już artystami. Jednym z nich był światowej sławy niewidomy śpiewak i wielki patriota Ryszard Gruszczyński, który w ramach koncertów organizowanych przez Państwową Organizację Imprez Artystycznych „Artos" prezentował młodzieży szkolnej swój fenomenalny głosu, brzmiący w szkolnej auli jak zygmuntowski dzwon. Sama organizacja „Artos" pod tym względem pełniła społecznie pożyteczną misję, której treść z perspektywy czasu straciła swój blask, gdyż jej działalność wiązała się w dużym stopniu ze sprawowaniem funkcji cenzorskich nad prezentowanymi w czasie występów utworami.

Mój Radom kończył się w okolicy ul. 1 Maja (obecnie 25 Czerwca). Historia stworzyła nowe miejsca w tej części miasta, godne uczczenia i będące rezultatem wydarzeń, o których nie będę wspominał, gdyż nie byłem ich uczestnikiem. Ich przebieg śledziłem z oddali, wspierałem swoim zaangażowaniem w obecnym miejscu zamieszkania i przeżywałem radość zwycięstwa 4 czerwca 1989 roku, które nie byłoby możliwe bez odwagi i poświęcenia radomskich robotników oraz wspierających ich przedstawicieli warszawskiej i radomskiej inteligencji.

5

DOM ROZBITKÓW

Tęsknota za tym, co przeminęło i nie wróci, dotyczy nie tylko ludzi, ale również domów, które tworzyły środowisko codziennej egzystencji i były niemym świadkiem naszych radości lub bolesnych przeżyć. Wszystkie moje okazjonalne powroty do Radomia wiążą się z odwiedzinami domu usytuowanego tuż przy rynku, na rogu ulic Wolności i Szewskiej, w którym spędziłem wiele dni swojego dzieciństwa. To w tym domu mieszkali moi dziadkowie Anna i Jan Wachniccy oraz ich córka Wanda, absolwentka Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego w Radomiu. Budząc zdziwienie moich najbliższych, wchodzę na podwórze, próbuję odnaleźć dawnych znajomych i szukam śladów dawnych przeżyć. Na próżno. Większość mieszkańców pożydowskiej kamienicy jest już po drugiej stronie. Nieliczni przedstawiciele młodszego pokolenia wyprowadzili się z budynku, który w powojennych czasach nie zapewniał nawet minimum wygody i komfortu kojarzonego zwykle z miastem. Cóż, pozostaje tylko wskrzesić obraz życia mieszkańców tak bliskiego mi domu we wspomnieniach, które, jak stary film, będą niezbyt ostre i zakłócone naturalnymi odczuciami tęsknoty za czasami i przeżyciami minionymi bezpowrotnie. I znowu odzywa się nostalgia, o której pisałem wcześniej, uczucie nieobce uchodźcom i ludziom zmuszonym ze względów życiowych bądź materialnych poszukiwać nowego

Fot. 39. Dom rozbitków (stan obecny)

Źródło: archiwum autora.

miejsca na ziemi. To nowe miejsce znalazło wielu mieszkańców kamienicy położonej przy ul. Wolności, która jest obiektem moich wspomnień.

Moi dziadkowie zostali pozbawieni swojego mieszkania, które przed wojną zajmowali w dość nowoczesnych jak na owe czasy budynkach postawionych przy ówczesnej ul. 1 Maja dla pracowników fabryki broni i innych zakładów przemysłowych. Były one na tyle atrakcyjne dla niemieckich okupantów, że po utworzeniu radomskiego getta polskich lokatorów przesiedlono do pożydowskich mieszkań, a na ich miejsce wprowadzono przedstawicieli narodu panów, jak określała najeźdźców ich własna propaganda. Podobny los spotkał polskich lokatorów, którzy zamieszkiwali w okazałych kamienicach położonych w centrum miasta. Rodowód kamienicy przy ul. Wolności interesował mnie już od pierwszych dni mojego pobytu u dziadków. Ich mieszkanie nie było zbyt obszerne. Składało się z dużego pokoju, mniejszej od niego kuchni oraz drewnianego ganku podzielonego na dwa pomieszczenia. Do jednego wchodziło się bezpośrednio z podwórza. Pomieszczenie to, wyposażone w okno z różnokolorowymi szybkami, spełniało funkcję przedpokoju, z którego wchodziło się do kuchni. Kolorowe szyby w oknach przedpokoju sączyły do jego wnętrza smugi światła, które pozwalały w półmroku znaleźć klamkę do drzwi wejściowych i nadawały temu skromnemu miejscu odrobinę tajemniczości i romantyzmu. Druga część ganku była przeznaczona na komórkę do przechowywania opału. Leżały w niej ogromne bryły węgla, które zimą, spalane w piecu, dawały przyjemne uczucie ciepła, a latem umożliwiały gotowanie codziennych posiłków w kuchni. W pomieszczeniu tym przechowywane były również nocne naczynia, gdyż mieszkania te nie miały nie tylko łazienek, ale również zwykłych toalet. Wczesnym rankiem mieszkańcy kamienicy dyskretnie przemykali

Fot. 40. Dziadek autora Jan Stanisław Wachnicki

Źródło: archiwum autora.

Fot. 41. Babcia autora Anna Petronela Wachnicka z domu Sobieraj

Źródło: archiwum autora.

Fot. 42. Ciotka autora Wanda Wachnicka

Źródło: archiwum autora.

z tymi naczyniami do zbiorowej toalety położonej na końcu posesji, gdzie opróżniali ich zawartość. Komórka z węglem zawsze pobudzała moją wyobraźnię i inspirowała do dokładnego zbadania zgromadzonych w niej zapasów. Pewnego dnia postanowiłem dokładnie spenetrować to tajemnicze dla mnie pomieszczenie. Z dużym trudem przerzuciłem bezładnie wysypane bryły węgla w inne miejsce. Wykonując mozolnie to zadanie, w pewnym momencie odsłoniłem dość pokaźny zwój białej cienkiej skóry, której powierzchnia była szczelnie pokryta dziwnymi dla mnie znaczkami, wyglądającymi jak małe robaczki. O znalezisku powiedziałem dziadkom, którzy zgodnie orzekli, że odnaleziony pod węglem skarb to tora, czyli zbiór modlitewnych tekstów wyznawców wyznania mojżeszowego, którzy wcześniej zajmowali to mieszkanie. Zachęcony dotychczasowymi rezultatami, postanowiłem szukać dalej. Wyniki tych eksploracji były zaskakujące, gdyż pod zwałami węgla znalazłem przedwojenne roczniki katolickiego pisma „Rycerz Niepokalanej" wydawanego przez świętego o. Maksymiliana Kolbego oraz kilka numerów pisma dla naturystów wydawanego przez Niemców. Jak się można było spodziewać, najwięcej emocji wywołało to ostatnie pisemko. Oczywiście o tym znalezisku nikomu nic nie powiedziałem, ale czasami, wiedziony pokusą oglądania zakazanych zdjęć, skradałem się do komórki z węglem, aby podziwiać piękno ludzkich ciał.

W mieszkaniu dziadków, urządzonym w części pożydowskimi meblami, było wiele interesujących szczegółów i przedmiotów. Moją uwagę przykuwał stary zegar, którego bicie wyrywało ze snu, oraz maszyna do szycia „Singer", której turkot wyprowadzał mojego dziadka z równowagi. W pokoju zastawionym dębowymi ciężkimi meblami najbardziej moją uwagę przyciągał duży portret babki, której czujny wzrok powstrzymywał mnie przed realizacją nowych pomysłów zabawy mogącej naruszyć ustalony przez nią porządek. Moim najbardziej ulubionym miejscem w tym skromnym mieszkaniu była kuchnia. To w niej babcia przyjmowała swoich licznych klientów, którzy oprócz materiałów do szycia przynosili swoje kłopoty i radości, mrożące krew w żyłach opowieści z niedawnej okupacyjnej przeszłości oraz dzielili się swoimi codziennymi troskami. To właśnie między innymi z tych opowieści czerpałem wiedzę o ciekawych i zasłużonych ludziach miasta Radomia, o których piszę w tej książce. Zanim opowiem co nieco o osobach odwiedzających moich dziadków, a zwłaszcza bab-

cię, chcę wspomnieć o metalowym łóżku stojącym przy ścianie między oknem a żeliwnym zlewem, który był jedynym artefaktem miejskiego luksusu w tym mieszkaniu, gdyż umożliwiał korzystanie z bieżącej wody i jej wylewanie do kanalizacji. Łóżko było mi bliskie, gdyż na nim zasypiałem, spoglądając na wyniosłą oświetloną u góry wieżę kościoła farnego, która pobudzała moją wyobraźnię i pozwalała niepostrzeżenie oddać się w objęcia dwóch greckich bogów – boga snu Hypnosa i jego ojca, boga sennych marzeń – Morfeusza.

Podziwianie widoku kościelnej wieży nie zawsze było możliwe, gdyż czasami, a zwłaszcza zimą, dziadek zamykał dostęp do niego ciężkimi drewnianymi okiennicami. Wówczas przestrzeń wyobrażeń przedsennych ograniczała się do szarej kuchennej rzeczywistości, ożywianej biciem ściennego zegara. Niezwykłość niepozornego metalowego łóżka wynika również stąd, że jego konstrukcja i zewnętrzne pokrycie były schronieniem dla drewnianej, zamykanej na kłódkę skrzynki, w której były przechowywane skarby mojego dziadka Jana Stanisława Wachnickiego, czyli listy i dolarowe banknoty od brata Antoniego ze Stanów Zjednoczonych. Cała historia tego skarbu bierze swój początek w przebiegu wspomnianych wcześniej wydarzeń, które doprowadziły do ucieczki Antoniego za ocean. Szybko zapomniał on jednak o przykrych przeżyciach i swoje braterskie uczucia potwierdzał w nadsyłanych listach z dolarowym „nadzieniem". Pamiętam, z jakim nabożeństwem dziadek otwierał każdy list z dalekiej Ameryki i czytał go na głos, aby wszyscy mogli usłyszeć najnowsze wiadomości. List obowiązkowo zaczynał się nabożną formułą: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", po której następował niezmienny zwrot: „W pierwszych słowach mojego listu ściskam was serdecznie…" rozpoczynający opis wydarzeń, które nastąpiły od czasu ostatniej korespondencji. Ostrożność dziadka w otwieraniu każdego listu wynikała nie tylko z potrzeby uszanowania jego autora, ale również ze wzglę-

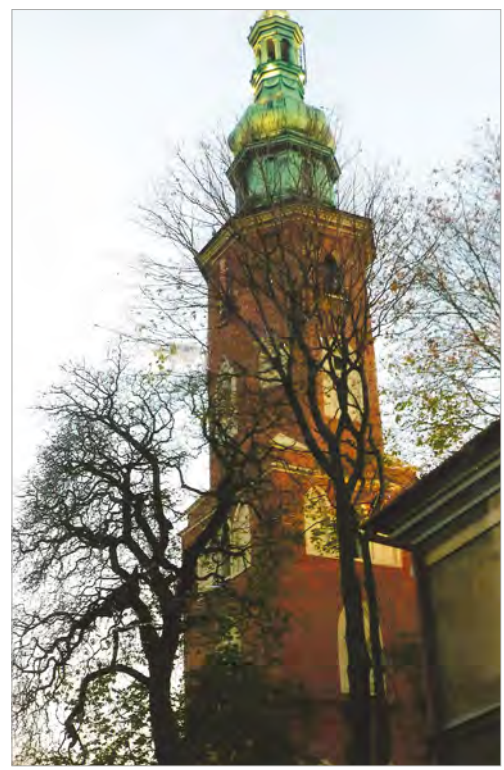

Fot. 43. Wieża kościoła farnego w Radomiu

Źródło: archiwum autora.

dów czysto praktycznych. Do prawie każdego listu dołączony był banknot jednodolarowy. Słowo „prawie" ma tu swoje uzasadnienie, gdyż w czasach powojennej Polski listy z Ameryki były czytane przez określone służby stojące na straży jedynie słusznego ustroju lub też okradane przez pracowników poczty, a zwłaszcza doręczycieli. Po wielokrotnym przeczytaniu list z dolarowym „nadzieniem" trafiał do niepozornej skrzyni pod metalowym łóżkiem, którą dziadek zamykał na solidną kłódkę, a z kluczem do niej nigdy się nie rozstawał. Posiadanie i obrót dolarami w tamtych czasach były surowo karane. Handel nimi był traktowany jako zbrodnia, za którą groziła nawet kara śmierci, ich wartość użytkowa była zatem żadna. Śpiąc na łóżku, pod którym znajdowały się dowody walutowego przestępstwa, nie miałem świadomości potencjalnych zagrożeń, ale wiedzą o niebezpiecznej zawartości drewnianej skrzynki nie dzieliłem się z nikim. Pod koniec swojego życia, kiedy „właściciele" Polski Ludowej dali więcej swobód swoim obywatelom, dziadek „uwolnił" uwięzione w skrzyni dolary i przekazał je mnie i mojej mamie. Po krótkiej naradzie rodzinnej dolarowy skarb znalazł właściwe przeznaczenie. Miał zostać wykorzystany na rozbudowę starego domu i postawienie dość dużego budynku gospodarczego, który przez wiele lat służył później mojemu bratankowi jako mieszkanie. Z czasem rozbudowany stary dom stał się siedzibą prowadzonej przez niego firmy. Amerykański stryj mojej mamy był ogromną podporą dla naszej rodziny. Dzięki przysłanym przez niego lekom mogłem wyjść z ciężkiej choroby, otrzymywane paczki umożliwiały poznanie smaku amerykańskich frykasów, a zawarte w nich materiały pozwalały mojej babci wyczarowywać piękne stroje. Przedmiotem zazdrości ze strony podwórkowych kolegów były gotowe dziecięce ubrania, o których w polskiej rzeczywistości można było tylko pomarzyć. Nie zawsze paradowanie w nich wychodziło mi na dobre, ale cóż, za odrobinę luksusu już w tamtych czasach trzeba było ponosić pewne i czasami bolesne ofiary. Po latach jako dorosły człowiek chciałem w symboliczny sposób podziękować za hojność serca stryja Antona. Będąc na turystycznym wyjeździe w Stanach Zjednoczonych, próbowałem dotrzeć do miejsca jego pochówku, ale rygor organizacyjny eskapady dookoła tego pięknego i ogromnego kraju nie dał szans na okazanie symbolicznych wyrazów wdzięczności za tak cenną pomoc w trudnych powojennych czasach.

Skromne mieszkanie moich dziadków w kamienicy przy ul. Wolności 2 miało, oprócz korzystnego usytuowania w centrum miasta, szereg niedogodności. Największą z nich był rozległy plac oddzielający opisywaną przeze mnie kamienicę od sąsiednich budynków. Tuż po wojnie na placu tym zorganizowano skład opałowy, który był utrapieniem dla okolicznych mieszkańców. Za oknami mieszkania moich dziadków piętrzyły się hałdy węgla. Tumany czarnego pyłu wdzierały się do wnętrza mieszkania. Stukot przejeżdżających ul. Szewską furmanek i odgłosy metalowych łopat ładowaczy węgla dopełniały reszty. Właści-

cielka składu, pani Smolińska, nie reagowała na skargi mieszkańców, a jedynym udogodnieniem, jakie stworzyła dla umęczonych jej biznesem sąsiadów, było zbudowanie z desek szczelnego wysokiego ogrodzenia. Postawiony w odległości dwóch metrów od budynku płot dawał poczucie uwięzienia. W połowie lat pięćdziesiątych zakończyła się gehenna uciążliwego sąsiedztwa, rozebrano wysoki płot, a na opróżnionym placu składowano ogromne bloki lodu, który zimą pozyskiwano na zamarzniętych stawach, a latem wywożono w celach chłodniczych do zakładów spożywczych i sklepów. Lód otulano grubą warstwą trocin, które w upalne i wietrzne dni roznosił po okolicy wiatr. Ostatecznie jednak trociny były mniej dokuczliwe od węglowego pyłu. Likwidacja płotu i zlokalizowanie mniej uciążliwego dla codziennej egzystencji mieszkańców biznesu stworzyły nowe możliwości zabawy i wypoczynku za oknami mieszkania dziadków. Była tylko jedna trudność: wyjście na przyległy plac prowadziło tylko przez okno, co wymagało trochę fizycznej zręczności i posługiwania się prowizorycznymi schodkami przystawionymi do ściany. Z czasem na placu przestano przechowywać lód, a na zwolnionym terenie dziadek założył ogród, w którym dojrzewały dorodne warzywa. W tej części ganku, gdzie przechowywano węgiel, zagnieździły się koty korzystające z wolnej przestrzeni ogrodu. Babcia, wielka ich miłośniczka, systematycznie je dokarmiała. One odwdzięczały się jej wieczornymi wizytami w kuchni. Ich wielbicielka siadała w wygodnym krześle, one zaś kładły się na jej barkach, tworząc coś w rodzaju futrzanego kołnierza, z którego wydobywało się mruczenie szczęśliwych ulubieńców pomieszane z chrapaniem mojej babci. Dla mnie ta drzemka zaprzyjaźnionych istot była trudna do zniesienia, gdyż w tym czasie nie wolno było palić światła, aby nie zakłócić błogiego wypoczynku całego towarzystwa. Wraz ze śmiercią babci w 1958 roku zakończyły się wieczorne wizyty kotów i spektakle wzajemnego uwielbienia.

Atmosfera skromnego mieszkania moich dziadków miała moc przyciągania różnych ciekawych i czasami dziwnych osób zamieszkałych zarówno w tej samej kamienicy, jak i w innych częściach miasta. Być może profesja mojej babci z natury sprowadzała do niej wiele znanych i nieznanych osób, które przekraczając progi jej mieszkania, mogły zawsze liczyć na szklankę gorącej herbaty i kruche ciastka pochodzące z własnego wypieku. Na ogół bezinteresownie poświęcała im swój czas i umiała słuchać innych, co obecnie jest raczej rzadkością. Większość współczesnych rozmówców jest zainteresowana wypowiedzeniem swoich kwestii bez konieczności wysłuchania zdania lub opowieści drugiej strony. Grono osób odwiedzających moich dziadków było bardzo zróżnicowane i dzieliło się na tych, którzy byli mieszkańcami kamienicy, i tych, którzy mieszkali poza nią. Podział ten jest ważny, gdyż przynależność do jednej z grup wpływała na porę i czas wizyty, tematykę prowadzonych rozmów czy ubiór osób odwiedzających. Sąsiedzi z kamienicy wpadali spontanicznie, bez zapowiedzi, o każdej porze dnia

lub wieczoru, w stroju dowolnym, a w trakcie ich bytności nie wyczuwało się pośpiechu czy zniecierpliwienia prowadzoną rozmową. Przybysze z zewnątrz byli na ogół staranniej ubrani, przychodzili zwykle w ciągu dnia i liczyli się z czasem. Ich odwiedziny trwały krócej, a cel prowadzonych rozmów był bardziej interesowny. Mieszkańcami domu rozbitków byli ludzie, których los nie oszczędził i w większości wypadków obszedł się z nimi bezwzględnie. Spora część z nich zamieszkała w nim z konieczności. Okrutna wojna pozbawiła ich dachu nad głową i wyrwała ze środowisk, w których żyli od pokoleń. Przeżywali oni dramatycznie rozłąkę z rodzinnymi stronami. Do grona tych osób należeli przede wszystkim uchodźcy z Kresów Wschodnich drugiej Rzeczypospolitej oraz dawni mieszkańcy Warszawy, która została prawie doszczętnie zniszczona podczas powstania warszawskiego. Do grona osób, które musiały opuścić dawne polskie ziemie na Wschodzie, należała bezpośrednia sąsiadka dziadków, osiemdziesięcioparoletnia staruszka z Wilna – pani Bukojemska. Gnieździła się w maleńkim pokoiku o powierzchni nieprzekraczającej 10 m^2. Przed wojną zajmował go żydowski handlarz, który od ul. Szewskiej miał mały sklepik. Po wojnie sklep stał się jednopokojowym, ciasnym mieszkaniem. W pokoju wilnianki panowała specyficzna atmosfera, a wygląd wystroju wnętrza wyrażał tęsknotę za utraconym na zawsze rodzinnym miastem. Na ścianach wisiały obrazy i wileńskie palmy. Na największej ścianie dominował obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, a obok wisiał nieco mniejszych rozmiarów portret marszałka Józefa Piłsudskiego. Każda wolna powierzchnia pozostałych mniejszych ścian wypełniona była obrazkami przedstawiającymi różne miejsca, tak bliskie sercu wilnianki. Może były one źródłem jej wspomnień z czasów młodości? Moją uwagę przykuwał również okazały obraz martwej natury, na którym można było podziwiać urok kwitnących bzów. W ciasnym pomieszczeniu, które było równocześnie kuchnią, unosił się zapach smażonego oleju, stałym elementem poczęstunku bowiem, którym raczyła ta urokliwa staruszka swoich gości, były bliny, przysmak wileńskiej kuchni. Lubiłem je spożywać, słuchając równocześnie opowieści starszej pani, która z charakterystycznym zaśpiewem starała się przybliżyć w mojej dziecięcej wyobraźni obrazki z utraconego wileńskiego raju. Podczas jednego z takich spotkań zdradziła również tajemnicę wyboru Radomia jako miejsca swojego dalszego życia. Motywy jej wyboru miały głębokie korzenie historyczne, dla mnie bardzo zaskakujące. Żeby je zrozumieć, trzeba się cofnąć do czasów Kazimierza Jagiellończyka, który żył w latach 1458-1484 i był synem króla Kazimierza IV Jagiellończyka. Brał czynny udział w życiu politycznym u boku ojca. Po wykryciu w 1481 roku spisku kniaziów litewskich przeciwko rodzinie królewskiej, która wówczas przebywała na Litwie, został wysłany do Polski i zamieszkał na zamku w Radomiu. Z tego miejsca jako namiestnik króla rządził Polską. Miał opinię łaskawego, roztropnego i sprawiedliwego władcy. Wiosną 1483 roku król wezwał go do Wilna.

Zmarł rok później w Grodnie i został pochowany w katedrze wileńskiej. Papież Leon X w 1521 roku ogłosił go świętym. Według opowieści pani Bukojemskiej kult św. Kazimierza był na Wileńszczyźnie bardzo pielęgnowany, a jego radomski epizod panowania wytworzył szczególną historyczną więź między Radomiem a Wilnem. Kiedy autorka tej opowieści musiała zdecydować, gdzie osiedlić się na czas jesieni swojego życia, postanowiła wybrać Radom, miasto tak silnie związane z postacią św. Kazimierza. Trafność jej wyboru została później potwierdzona przez historyczne decyzje dotyczące grodu nad Mleczną i zacnej postaci świętego, który 4 marca 1983 roku został ogłoszony przez Jana Pawła II patronem Radomia, a od 1991 roku jest również patronem diecezji radomskiej. Radomianką z wyboru stała się nie tylko sąsiadka moich dziadków. Była nią również dawna wilnianka, malarka Halina Hermanowicz, która uprawiała malarstwo sztalugowe o tematyce religijnej i historycznej. Wileńskie korzenie miał również Zygmunt Wojdan (Masiejewski), który jako dyrektor, kierownik artystyczny i aktor budował od podstaw Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Te zasłużone dla miasta zacne postaci świata kultury nie miały nic wspólnego z domem rozbitków, ale wątek wileński moich wspomnień stworzył przy okazji szansę ich upamiętnienia.

Na parterze, ale w drugiej części kamienicy, mieszkała rodzina państwa Rajkowskich. Pan Rajkowski, wysoki brunet o zielonych oczach, wypiekający chleb i bułki, bardzo kochał swoją żonę. Owocem tej miłości było liczne grono dziatek. Do dzisiaj podziwiam ich zdolności zmieszczenia całej gromadki wraz z teściową w małej kuchni i średniej wielkości pokoju. Seniorka rodziny, matka pani Rajkowskiej, starała się nie angażować swoją osobą pozostałych domowników. Odczuwała uciążliwość wszechobecnej ciasnoty i swoim zachowaniem sprawiała wrażenie zażenowania, które przez otoczenie mogło być odbierane jako forma przeprosin za jej obecność w środowisku trudnym do codziennego bytowania. Swoją całoroczną egzystencję wynagradzała rodzinie przepięknie ustrojoną przed Bożym Narodzeniem szopką betlejemską. W jej wnętrzu kolorowe figurki oświetlone elektrycznym światłem kusiły wzrok oglądających i dodawały świątecznego uroku pomieszczeniu, które na co dzień spełniało dość prozaiczne funkcje. Pod zmyślnie zawieszoną konstrukcją szopki jej właścicielka miała posłanie, na którym pewnego dnia niespodziewanie zmarła, zwalniając nieco miejsca pozostałym domownikom. Największą atrakcją mieszkania państwa Rajkowskich był przedwojenny odbiornik radiowy. Moi dziadkowie – nie wiem dlaczego – nie mieli tego cennego źródła wiadomości i rozrywki. Uprzejmi gospodarze zapraszali dziadka, który bardzo interesował się polityką, na wspólne słuchanie „Wolnej Europy". W tamtych czasach było to jedyne źródło prawdziwych informacji. Radiowe wizyty miały miejsce późnym wieczorem, kiedy dzieci państwa Rajkowskich już spały. Wszystko odbywało się w atmosferze tajemniczości i pewnej

konspiracji. Odbiornik nastawiony był niezbyt głośno, aby postronne osoby nie słyszały odgłosów stacji radiowej nieprzychylnej ówczesnej władzy. Słuchanie bowiem zagranicznych stacji mogło być źródłem kłopotów. Z radiowej skrzynki wydobywał się niewyraźny głos spikera, zagłuszany przez cały system urządzeń zainstalowanych na Wacynie, peryferyjnej dzielnicy Radomia. Przechwycone przez słuchaczy fragmenty cennych wiadomości były później przedmiotem dyskusji uprzejmego gospodarza z moim dziadkiem, który wygłaszał zwykle prorocze teksty o rychłym upadku „kolosa na glinianych nogach", jakim jego zdaniem był Związek Radziecki. Przepowiednie mojego dziadka spełniły się dopiero po prawie czterdziestu latach od czasów, kiedy jedyną otuchą doczekania niepodległej Polski były dla niego wieści płynące z „Wolnej Europy". Nie spełniło się marzenie jego życia, gdyż zmarł w 1961 roku. Moja babcia natomiast, ku utrapieniu dziadka, przyjaźniła się z lokatorką z pierwszego piętra, zajmującą dwa stylowo urządzone pokoje, których okna wychodziły na stronę radomskiego ratusza. W jednym z nich stał fortepian, na którym jego właścicielka grała mazurki Chopina podczas naszej wizyty z babcią. Tuż obok instrumentu mieścił się ogromny kredens, na którym stały przeróżne porcelanowe figurki będące jakby tłem dla dźwięków urzekającej muzyki. Niektóre wydawały się zasłuchane w skoczne tony mazurków, tworząc porcelanową widownię spontanicznego koncertu. Powodem zmartwień mojego dziadka nie były porcelanowe figurki, ale choroba ich właścicielki, która mogła być dla mnie zagrożeniem. Otóż pani Łucja była chora na otwartą gruźlicę, która po wojnie dziesiątkowała słabsze organizmy. Dziadek obawiał się, że kontakty z nią mogą być dla mnie niebezpieczne. Kiedy pani ta składała niespodziewane wizyty mojej babci, dziadek wykonywał teatralne gesty w moim kierunku, wskazujące na konieczność wyjścia do sąsiadującego z kuchnią pokoju lub zasłonięcia ust. Pewnego razu pani Łucja, ubrana w czerwony satynowy szlafrok, z wypiekami na twarzy, złożyła wizytę moim dziadkom. Usiadła przy stole i głosem pełnym smutku oświadczyła, że ostatnia wizyta u lekarza była dla niej zapowiedzią rychłego końca ziemskiej wędrówki. Otrzymała bowiem od lekarza wiadomość, że badanie rentgenowskie potwierdziło szybki postęp choroby i z jej płuc pozostały niewielkie fragmenty. Wkrótce, pewnego listopadowego poranka, właścicielka pięknych porcelanowych figurek zmarła, podobnie jak inna mieszkanka tej kamienicy – trzydziestoletnia matka małego chłopca. Śmierć i pogrzeb któregoś z mieszkańców kamienicy były dla innych wstrząsającym przeżyciem. Szczególnie utkwiła mi w pamięci uroczystość pogrzebowa pani Łucji, która odbyła się w atmosferze pewnego skandalu spowodowanego odmową uczestniczenia w tej smutnej uroczystości księdza z pobliskiego kościoła farnego. Cały orszak żałobny stojący przed kamienicą oczekiwał na przyjście duchownego z pobliskiego kościoła św. Jana, który miał poprowadzić kondukt na cmentarz. Zapadał zmierzch, a oczekujący na rozpoczęcie ostatniej ziemskiej

wędrówki zmarłej trwali w niepewności i malejącej nadziei na przyjście kapłana, który ostatecznie odmówił świadczenia ostatniej posługi swojej parafiance. W końcu kondukt ruszył bez księdza. Wokół było już ciemno, a zmarłą pochowano przy wątłym blasku świec, w atmosferze przygnębienia i nie dla wszystkich zrozumiałych powodów odmowy kościelnego pochówku. Przyczyną jej bowiem był fakt, że pani Łucja ostatnie lata życia spędziła u boku męża bez ślubu kościelnego. W dzisiejszych czasach zdarzenie to nie miałoby miejsca, gdyż udział duchownych w uroczystościach pogrzebowych osób, które żyły w związkach bez ślubu kościelnego jest powszechny i nie budzi sprzeciwu z ich strony. Czasy się zmieniają, a obowiązujące normy zachowań różnych instytucji, w tym kościoła, są mniej restrykcyjne i bardziej dostosowane do oczekiwań społecznych.

W domu rozbitków mieszkali również ludzie, których okrucieństwa wojny dotknęły szczególnie, a ich los był fizycznie napiętnowany wytatuowanymi numerami oświęcimskiego obozu zagłady wybudowanego przez niemieckich okupantów. Jedną z takich osób była lokatorka, która zajmowała mieszkanie na trzecim piętrze. Nazywano ją Marlicą. Przeżyła obóz koncentracyjny, ale była wrakiem człowieka. Często dostawała rozstroju nerwowego i swoim zachowaniem przypominała o obozowych przejściach, uprzykrzając życie mieszkańcom kamienicy. Ci jednak, pomimo swej kulturowej różnorodności, próbowali się integrować, zwłaszcza w letnie ciepłe popołudnia i wieczory. Wówczas kobiety w towarzystwie dzieci i młodzieży schodziły na wąskie podwórze usiane małymi komórkami, w których przechowywano węgiel. Każda była zbudowana w odmiennym stylu. Łączyły je jednak ogólna brzydota i prowizoryczny charakter. Na końcu podwórza była drewniana brama, którą otwierano przy nadzwyczajnych okazjach. Była nią najczęściej dostawa opału przez wozaka, który konnym zaprzęgiem wjeżdżał w wąską przestrzeń posesji. Warto przy okazji dodać, że w grupie takich wozaków był ojciec jednego z najbogatszych obecnie Polaków będącego właścicielem ogromnej fortuny, w tym ogólnopolskiej stacji telewizyjnej. Jedynym akcentem przyjaznym dla otoczenia był rosnący na końcu podwórza wiąz, który wiosną i latem dawał ożywczy cień i namiastkę żywej przyrody. W tej dość szarej scenerii odbywały się spotkania mieszkańców kamienicy, którzy pragnęli opowiedzieć o swoich niedawnych wojennych przeżyciach i bieżących problemach życia w nowej powojennej rzeczywistości. Spontanicznym spotkaniom, które ze zrozumiałych względów miały miejsce w letnie i wiosenne popołudnia, ton nadawała charakterystyczna przysadzista postać pani Kaczor, byłej warszawianki, która o Warszawie i dramatycznych przeżyciach z powstania warszawskiego mogła opowiadać godzinami. W tych pełnych grozy przekazach pojawiały się nazwy ulic, mostów, placów, które w czasie bohaterskiego zrywu mieszkańców umęczonego miasta były miejscami walk, heroicznych uniesień i osobistych klęsk ofiar, które za dążenie do wolności płaciły najwyższą cenę,

tj. cenę życia. Kiedy po raz pierwszy byłem w Warszawie na szkolnej wycieczce w 1953 roku, mogłem osobiście zobaczyć ogrom zniszczeń, o których opowiadała dawna warszawianka. Pamiętam, jak w scenerii jesiennego wieczoru na niezbyt dobrze oświetlonej ul. Marszałkowskiej straszyły kikuty zniszczonych kamienic. Prowizorycznie zagospodarowane partery domów, w których funkcjonowały sklepy, dawały przybyszom wrażenie odradzającego się miasta. Odrodzenie to odbywało się na innym gruncie ustrojowym, czego materialnym wyrazem były zarysy budowanego nieopodal Pałacu Kultury i Nauki, który dla jednych był symbolem nowych czasów, a dla innych – potwierdzeniem zniewolenia. Pani Kaczor była ofiarą wojennego kataklizmu, który przygnał ją z ukochanego miasta do sutereny w pożydowskiej kamienicy przy ul. Wolności 2 w Radomiu. Mieszkała ona w piwnicznym pomieszczeniu, którego okna w połowie swojej wysokości wystawały ponad powierzchnię podwórza. Z okna swojej izby przesiąkniętej wilgocią i piwnicznym zapachem lokatorka sutereny mogła oglądać jedynie obuwie przechodzących mieszkańców kamienicy, którzy musieli kilkakrotnie w ciągu dnia odwiedzać wspólne ubikacje usytuowane na końcu wąskiego podwórka. W mieszkaniach nie było wówczas toalet i łazienek. Piwniczna izba zajmowana przez panią Kaczor miała małe okno zastawione kwitnącymi pelargoniami, które swoim widokiem podkreślały mieszkalny charakter sutereny. Inni mieszkańcy domu rozbitków mieli większy komfort życia, gdyż ich mieszkania miały większy dostęp do dziennego światła, a niektóre miały również balkony umożliwiające obserwację życia toczącego się na rynku lub wewnątrz podwórza. Obserwacji podwórkowego życia sprzyjały balkony usytuowane od wewnętrznej strony kamienicy, które w szczególnych sytuacjach spełniały rolę teatralnych loży, obleganych przez ciekawskich obserwatorów niecodziennych spektakli. Należały do nich występy podwórkowych kapel i wizyty ostrzycieli kuchennych noży. Szczególnie widowiskowy charakter miały występy podwórkowej kapeli, której skoczne tony wyrywały z poobiedniej drzemki utrudzonych mieszkańców kamienicy. W oka mgnieniu okna zapełniały się obfitymi biustami pań żądnych muzycznych doznań, a nie zawsze kompletnie ubrani panowie oblegali wewnętrzne balkony, dopingując podwórkowych artystów do dłuższej gry. Najskuteczniejszym środkiem do przedłużenia spontanicznego koncertu były jednak zrzucane z góry banknoty, które swój triumfalny lot kończyły w czapkach podwórkowych artystów. Im więcej ich spadło, tym bardziej rosły nadzieje na dalsze występy. Mniej widowiskowo wyglądały wizyty domokrążcy zajmującego się ostrzeniem kuchennych noży i innych narzędzi. Jego urządzenie, będące obracającym się kamiennym kołem poruszanym nożnym pedałem, wydawało charakterystyczny dźwięk, któremu towarzyszyły fajerwerki iskier. Wydarzenie samo w sobie może nie należało do rozrywkowych, ale wnosiło do sennej atmosfery podwórka ożywienie domowych gospodyń, które z tępymi nożami wybiegały do ostrzyciela, powierzały mu swoje

tak niezbędne narzędzia pracy i dziękując żądaną przez niego zapłatą, zachęcały do kolejnych odwiedzin. W przestrzeni pożydowskiej kamienicy od czasu do czasu pojawiali się również zbieracze starych szmat, złomu, suchego chleba dla koni oraz specjaliści, którzy przedłużali żywot metalowych dziurawych garnków przez ich lutowanie. Wszyscy ci usługodawcy wyglądali dość egzotycznie. Zawsze przyciągali uwagę dzieci, które zwabione ich okrzykami informującymi o celu przybycia, gromadziły się na podwórku i podziwiały zdobyte przez przybysza dobra, które dawały mu nadzieję na przyszły godziwy zarobek. Kamienica żyła więc swoim specyficznym życiem, nad którym panował wąsaty dozorca zajmujący wraz z żoną jednopokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze. Codziennie rano, ubrany w skórzany fartuch, próbował za pomocą dużej brzozowej miotły z wybrukowanego podwórka stworzyć miejsce przyjazne spotkaniom dorosłych i zabawom dziatwy. Zimą zmagał się ze śniegiem i lodem, usuwając przeszkody utrudniające wędrówki do podwórkowych toalet.

Mieszkańcy kamienicy prowadzili spokojny żywot, a ich aktywność była ukierunkowana głównie na zaspokojenie codziennych podstawowych potrzeb. W powojennej Polsce, tak jak w każdym kraju, w którym wprowadzono socjalizm, natychmiast wystąpiły problemy z zaspokojeniem potrzeb żywnościowych społeczeństwa, pojawiło się też jednak dobrodziejstwo powszechnego dostępu do nauki. To drugie można było jakoś przeżyć, było ono zjawiskiem wręcz chwalebnym, ale zaspokojenie podstawowej potrzeby jedzenia wymagało nie lada sprytu, znajomości i cywilnej odwagi, zwłaszcza w warunkach, kiedy za nielegalny ubój zwierząt rzeźnych można było trafić do więzienia. Ludzie ratowali się zakupami z nielegalnych źródeł. W domu rozbitków działała również szara strefa handlu trudno dostępnymi produktami żywnościowymi. Na trzecim piętrze mieszkał niezwykle sprytny pracownik zakładów mięsnych, u którego bez specjalnych utrudnień można było nabyć szynki przygotowane do marynowania. Piętro niżej smakosze wyrobów mleczarskich mogli dostać produkty, które w sklepach rzadko oglądały światło dzienne. Swoje przedstawicielstwo w szarej strefie miała również branża tytoniowa. Jednak amatorzy skrętów własnej roboty musieli się udać pod inny adres, aby zaspokoić chęć zapalenia papierosa własnej produkcji. Często ojciec wysyłał mnie do szarej kamienicy na rogu ulic Żytniej i Limanowskiego, gdzie uprzejma pracownica radomskiej „tytoniówki" po niższej cenie sprzedawała zawinięty w gazetę tytoń. Tam też można było nabyć bibułkę służącą do domowej produkcji papierosów. Większość palaczy z szarej strefy zawijała jednak tytoń w pocięte gazety, co jeszcze bardziej potęgowało toksyczne działanie upragnionej używki.

Atmosfera codziennego życia mieszkańców domu rozbitków była dość przyjazna i mimo dużej różnorodności kulturowej lokatorów pożydowskiej kamienicy rzadko zdarzały się większe konflikty. Ludzie w tamtych czasach, dotknięci tra-

gicznymi skutkami wojny, cieszyli się tym, że przetrwali i okazywali sobie więcej serdeczności i zrozumienia. W tamtym okresie w większym stopniu niż obecnie obowiązywała reguła pani Dulskiej, że „brudy należy prać we własnym domu". Konflikty rodzinne były ukrywane i rozwiązywane w wąskim gronie najbliższych. Odgłosy tego złożonego procesu docierały czasami z kamienicy położonej przy ul. Szwarlikowskiej, naprzeciwko domu rozbitków. W jednopiętrowym domu mieszkali głównie garbarze, którzy od czasu do czasu zmieniali obiekt swoich zawodowych zainteresowań i „wyprawiali" skóry swoim najbliższym, a zwłaszcza nieposłusznym żonom. Wówczas przez otwarte okna ulatywały jęki maltretowanych kobiet i wołanie o pomoc. W mojej dziecięcej świadomości rodziły się groza i przerażenie oraz niezrozumienie braku reakcji ze strony dorosłych na to, co się dzieje. Podczas jednego z takich zdarzeń wybiegłem do grupy kobiet i mężczyzn spokojnie rozmawiających na podwórku i zwróciłem im uwagę na potrzebę szybkiej interwencji i udzielenia pomocy kobiecie napadniętej przez domowego oprawcę. Ze zdziwieniem przyjęli moją propozycję i ze stoickim pokojem odpowiedzieli – „nie przejmuj się chłopcze, to tylko domowa awantura, widocznie sobie na to zasłużyła". Była to dla mnie gorzka lekcja polskiej obyczajowości, która przemoc w rodzinie traktuje jako zwykły przejaw jej funkcjonowania i rozwiązywania codziennych konfliktów. W kamienicy moich dziadków takie zdarzenia nie miały miejsca. Czasami przystojny alkoholik z pierwszego piętra dawał upust swoim zbyt głośno wyrażanym emocjom, ale skuteczne i mniej uciążliwe dla otoczenia działania najbliższej rodziny wygaszały awanturnicze zapędy amatora mocnych trunków. Tym, co mogło źle wpływać na dobrostan lokatorów zamieszkujących dom rozbitków, była wszechobecna ciasnota panująca w ich mieszkaniach. Na parterze kamienicy, w ciemnym pomieszczeniu o powierzchni niewiele przekraczającej 15 m^2, którego okno wychodziło na ul. Wolności, mieszkały trzy osoby – matka z synem i młodą synową. Lokum to spełniało jednocześnie funkcje kuchni i sypialni. Nie dawało jednak żadnych możliwości zachowania indywidualnej swobody i intymności. Pewnego dnia mieszkanie to opustoszało, a jego lokatorzy, chcąc poprawić swoje warunki bytowe, wyjechali na zachód. Nie był to jednak żaden z krajów Europy Zachodniej, jak to obecnie jest rozumiane, gdyż Polska w tamtym czasie była krajem zamkniętym za tzw. żelazną kurtyną i swobodny wyjazd w tym kierunku był niemożliwy. Słowo „zachód" oznaczało wówczas Ziemie Odzyskane, czyli te tereny należące przed wojną do Niemiec, które po jej zakończeniu zostały przyznane Polsce. W powszechnym odbiorze zasiedziałych mieszkańców centralnych rejonów naszego kraju tereny te traktowano jako obce, pełne zagrożeń i niepewności, na których kwitły szabrownictwo i rozboje. Ci, którzy decydowali się na osiedlenie się w tej części Polski, byli postrzegani jako zdesperowani śmiałkowie i straceńcy. Na ogół wyjeżdżali ci, którzy mieli niewiele lub nic: ludzie bez pracy i mieszkań, oraz ci, którym władza deptała po piętach za

działalność niepodległościową lub okupacyjną przeszłość. Niektórzy nie wytrzymywali atmosfery tymczasowości, która zrodziła się pod wpływem obcej propagandy głoszącej rychły powrót Ziem Odzyskanych do dawnych właścicieli. Wracali do miejsc dawnego zamieszkania, potęgując jeszcze bardziej nieprzyjazny obraz ziem, które w wyniku dziejowej sprawiedliwości wróciły w polskie władanie. Większość jednak, nie mając innych szans na poprawę swojego losu, pozostała na obcych im terenach, zapuściła korzenie, stworzyła godziwe warunki bytowania dla siebie i swoich rodzin. Z czasem przybysze pokochali swoje nowe małe ojczyzny i nie myśleli już o powrocie do miejsc swoich narodzin. Dokonali wspaniałego dzieła stworzenia rodzinnych stron dla następnych pokoleń nieobciążonych uczuciem nostalgii. Wśród nich znalazła się rodzina z małego mieszkanka w domu rozbitków, która niespodziewanie wyjechała na zachód w poszukiwaniu lepszych warunków życia.

W domu rozbitków byłem częstym gościem. Spędzałem w nim wakacje, święta i wszystkie dni wolne od szkolnych zajęć. Stąd też moje relacje o wydarzeniach, które były codziennym doznaniem lokatorów domu przy ul. Wolności 2, mają charakter epizodyczny i bardzo osobisty. Wśród wspomnień, które pozostały mi z tamtych lat, są wspólne gry i zabawy z rówieśnikami oraz starszymi

Fot. 44. Kościół ewangelicko-augsburski w Radomiu (stan obecny)

Źródło: archiwum autora.

chłopcami. Bawiliśmy się głównie w wojnę, gdyż w tym kierunku podwórkowe opowiadania pani Kaczor prowadziły naszą dziecięcą wyobraźnię. Rejon walk obejmował obszar zapyziałego podwórka, a w porywach przenosił się w okolice kościoła ewangelickiego, na rynek i dziedziniec ratusza, gdzie zawsze leżały sterty różnych urzędowych papierów służących nam za barykadę.

Miejscem przyciągającym naszą uwagę były podcienia ratusza, które później zostały zamurowane. Jak już wspominałem, były one miejscem dość szczególnych spektakli, których aktorami byli eksmitowani ze swoich mieszkań lokatorzy bądź osoby przyjezdne próbujące w ten sposób na władzach miasta wymusić przydział mieszkania. Późniejsza likwidacja podcieni rozwiązała uciążliwy problem niechcianych lokatorów, ale zubożyła architektoniczny zamysł wybitnego twórcy Marconiego, który stworzył projekt ratusza. Goszcząc w Radomiu w 2018 roku, z ogromną satysfakcją ujrzałem odnowioną fasadę tak bliskiej mi budowli wraz z przywróconymi podcieniami. Dziecięce gry i zabawy z tamtych czasów były wówczas atrakcją, ale również źródłem refleksji nabierających współcześnie szczególnej wymowy. Dotyczą one społecznych podziałów i stereotypów, których pielęgnowanie może służyć poniżaniu ludzi i wzbudzaniu w nich nienawiści. Podziały w społeczeństwie były od zawsze. Ich występowanie jest wyrazem różnorodności, która sama w sobie świadczy o pięknie świata. Gorzej, gdy cyniczni ludzie wykorzystują ją jako narzędzie walki politycznej i eskalacji niszczących społeczną tkankę konfliktów. W latach powojennych społeczne podziały nie były tak głębokie, jak to ma miejsce obecnie. Większość społeczeństwa była biedna. Ludzi dzieliły głównie pochodzenie, poziom wykształcenia i stosunek do nowej politycznej rzeczywistości. W codziennym życiu najwyraźniej dawały znać o sobie podziały na tle pochodzenia i związanych z nimi stereotypów. Odczuwałem to w kontaktach z rówieśnikami podczas zabaw w domu rozbitków. Podwórkowy zastęp nie od razu mnie zaakceptował. Na początku byłem obcy, gdyż na stałe nie mieszkałem w kamienicy, lecz na wsi. Wówczas do takich odnoszono się nieufnie i z pewną pogardą. Traktowano ich jako gorszych. Były to czasy ogromnej migracji ludności wiejskiej do miast. Planowe uprzemysłowienie stwarzało miejsca pracy i szanse społecznego awansu. „Wsiowych" w Radomiu było coraz więcej. Różnili się od miastowych ubiorem, zachowaniem, sposobem bycia, a nawet językiem. Ponieważ w naszym społeczeństwie odmienność nie jest zjawiskiem akceptowanym, co w obecnych czasach jest również zauważalne, przybysze ze wsi spotykali się z różnymi przejawami ostracyzmu. Ci, którzy okazywali wobec nich swoją wyższość, zapominali jednak o tym, że kultura ludowa od wieków była natchnieniem dla wielkich twórców – poetów, kompozytorów, malarzy, którzy na trwale wpisali się do dorobku nie tylko polskiej, ale również światowej kultury. Codzienne uciążliwości związane z konfliktem kulturowym występującym w miastach po wojnie przybyli ze wsi nowi ich mieszkańcy starali się znosić ze

stoickim spokojem bądź też w przyspieszonym tempie odcinać swoje korzenie przez demonstrowanie niegodnych zachowań. Przykładem tego była opowieść wspaniałej polonistki ze Szkoły Podstawowej w Cerekwi pani Jadwigi Gocel o zdarzeniu, którego była świadkiem na targowisku przy ulicy Wałowej. Podczas robienia tam zakupów usłyszała z tyłu głośno wyrażone niezadowolenie miastowej paniusi z wysokich cen produktów sprzedawanych przez wiejskie gospodynie: „ależ te chamy dzisiaj się drożą". Zbulwersowana zachowaniem kupującej, obejrzała się i, zdumiona, rozpoznała w nietaktownej mieszczce swoją dawną uczennicę ze szkoły w Cerekwi, córkę bogatego gospodarza z pobliskiej wsi Zatopolice, która po wyjściu za mąż osiedliła się w Radomiu. A więc nie wszystkim udało się zatrzeć ślady…

W obecnych czasach miejsce zamieszkania nie stanowi już powodu do społecznej stygmatyzacji. Sytuacja zmieniła się diametralnie. Dawny pęd do zamieszkania w mieście zmienił swój kierunek i marzeniem wielu miastowych stało się posiadanie rezydencji w wiejskiej scenerii. Niektórym mieszczuchom w pierwszym pokoleniu udało się zrealizować to marzenie. Większość jednak, z powodu braku odpowiedniej gotówki, pozostała w wymarzonych przez ich rodziców blokach.

Najważniejszymi dla mnie mieszkańcami domu rozbitków byli moi dziadkowie Anna i Jan Wachniccy. Zajmowali oni jednopokojowe lokum na parterze, które otrzymali w zamian za dość wygodne mieszkanie zajmowane przez nich przed wojną. Mieszkali wówczas na osiedlu zbudowanym przez Józefa Grzecznarowskiego przy obecnej ul. 25 Czerwca. Mieszkania były na tyle atrakcyjne, że niemieccy włodarze postanowili wysiedlić z nich polskich mieszkańców i ulokować tam przybyłych z głębi Niemiec ziomków. W ten sposób dziadkowie trafili pod nowy adres. Dzięki moim częstym wizytom u nich mogłem poznać ciekawych ludzi i być świadkiem zdarzeń, które na zawsze utkwiły w mojej pamięci. Moi dziadkowie byli dla mnie również interesujący nie ze względu na swoją pozycję społeczną, ale z racji swojego życiowego doświadczenia, posiadanych poglądów i sposobu ich demonstrowania. Urodzili się w XIX wieku pod zaborem rosyjskim, przeżyli dwie wojny światowe, okupację niemiecką i dane im było poznać smak życia w odmiennych ustrojach społeczno-politycznych – kapitalizmie i realnym socjalizmie. Mieli odmienne sposoby postrzegania świata i oceny politycznej rzeczywistości. Babcia w obejściu była osobą dość chłodną. Od niemowlęctwa była półsierotą. Samotnie wychowywał ją ojciec. Nie doznała w dzieciństwie ciepła rodzinnego, nie umiała więc przekazać go swoim córkom i wnukom. Była zdecydowaną zwolenniczką socjalizmu, a swoje lewicowe poglądy manifestowała w dość dziwny i ostentacyjny sposób. Miałem okazję przekonać się o tym podczas odwiedzin u moich dziadków w marcu 1953 roku. Było to tuż po śmierci Józefa Stalina. Wszedłem do mieszkania i zobaczyłem siedzącą na krześle zapłakaną

babcię. Obok niej na drewnianym wieszaku do wieszania garnków umieszczony był portret Stalina wycięty z ilustrowanego dodatku do „Życia Radomskiego". Początkowo pomyślałem, że babci coś się stało i może zachorowała. Zapytałem o przyczynę jej płaczu. A ona odparła, że jest zdrowa, tylko zmarł wielki człowiek, obrońca prostych i biednych ludzi. Dodała również, że nie może się z tym pogodzić. Jej reakcja już wówczas była dla mnie zaskakująca, gdyż nikt z mojego otoczenia szkolnego czy znajomych nie ubolewał nad śmiercią człowieka, który miał na rękach krew milionów niewinnych ludzi. W tym czasie jako dziesięcioletni chłopak nie miałem wiedzy o jego zbrodniach. W szkole postać tego radzieckiego przywódcy znałem tylko z czytanki „Soso Dżugaszwili", w której był on przedstawiany jako najmądrzejszy, najdzielniejszy i najbardziej szlachetny chłopiec w szkole, do której uczęszczał. Dla dopełnienia wzorca radzieckiego dziecka w czytance był on opisany jako bardzo chudy i biedny. Skojarzenie w tym przypadku cnót z cechami ubóstwa miało potęgować propagandowy efekt utworu przeznaczonego dla młodych czytelników, przyszłych budowniczych najlepszego ustroju w historii ludzkości. Reakcja mojego dziadka na śmierć ówczesnego przywódcy była wręcz odwrotna. Widać było na jego twarzy uczucie satysfakcji. W dziadka wstąpił nowy duch. Był wyraźnie zadowolony i mówił, że nadchodzą nowe czasy. Pomimo braku wykształcenia miał on dużą wyobraźnię i dar przewidywania politycznych wydarzeń. Przed wojną przyjaźnił się ze znanymi osobami w środowisku radomskim. Cenił sobie szczególnie bliską znajomość ze Stanisławem Kelles-Krauzem i jego żoną Marią Kelles-Krauz. Stanisław Kelles-Krauz był lekarzem, działaczem społecznym i politycznym. W 1918 roku stanął na czele tzw. Komitetu Pięciu, który przejął władzę w Radomiu z rąk austriackich. W latach międzywojennych był przewodniczącym Rady Miejskiej, a po wojnie – ambasadorem RP w Danii. Znajomość ta była na tyle bliska, że wspólnie ze Stanisławem Kelles-Krauzem dziadek wybrał się przed wojną na wakacyjny pobyt do znanego uzdrowiska Kosów, leżącego na Huculszczyźnie, która wówczas należała do Polski. Potwierdzeniem tego jest pamiątkowe zdjęcie, które skrzętnie przechowuję. Ta przyjaźń jest dla mnie zaskakująca, gdyż dziadek miał poglądy wyraźnie prawicowe. Był prenumeratorem i stałym czytelnikiem „Rycerza Niepokalanej", pisma katolickiego założonego przez św. o. Maksymiliana Marię Kolbego w 1922 roku. Miał krytyczny stosunek do marszałka Józefa Piłsudskiego. Był niechętny Żydom. Stronił od organizacji lewicowych. Kiedy zaproponowano mu wstąpienie do jednej z nich, odmówił, twierdząc, że w życiu ochrzczono go tylko raz i już tego nie będzie zmieniał. Natomiast Stanisław Kelles-Krauz w latach dwudziestych ubiegłego wieku przewodził okręgowym władzom PPS. Jego żona Maria, działaczka społeczna i polityczna, po wyborach w 1919 była przewodniczącą Rady Miasta z ramienia PPS, a po wojnie tłumaczką literatury duńskiej. Dziadek często bywał w ich domu. Opowiadał, że podczas jednej z takich wizyt pani Maria wyznała, że zazdrości mu głębokiej

Fot. 45. Kuracjusze w sanatorium Kosów na Huculszczyźnie (początek XX wieku). W ostatnim rzędzie pośrodku dziadek autora Jan Wachnicki – obok Stanisława Kelles-Krauza

Źródło: archiwum autora.

Fot. 46. Maria i Stanisław Kelles-Krauzowie, Radom, przed 1918 rokiem (własność Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, Radom 2014, s. 87.

wiary, która jej zdaniem ułatwia pokonywanie trudów codziennego życia. Nie wiem, czy w dzisiejszych czasach ogromnych podziałów politycznych w naszym społeczeństwie byłaby możliwa przyjaźń, której doświadczył mój dziadek.

Szczególną atrakcją moich wizyt w domu rozbitków było słuchanie opowieści dziadka na temat przyszłości, która czeka Europę i świat. Pamiętam jak mówił, że Związek Radziecki to kolos na glinianych nogach i przyjdzie czas, że się zawali. „Ja tego nie doczekam – podkreślał, ale ty będziesz tego świadkiem". Przewidywał, że powstaną Stany Zjednoczone Europy. Związku Radzieckiego już nie ma, a zamiast Stanów Zjednoczonych Europy mamy Unię Europejską. Jego „proroctwa" dotyczyły też ekspansji chińskiej na świat i Europę. Często powtarzał, że „żółta rasa zaleje świat". W wyobraźni dziecka wyglądało to dość groźnie: chiński zalew kojarzyłem sobie z ogromnym skośnookim tłumem wypełniającym place, ulice i każdy skrawek wolnej przestrzeni. Jednym słowem – jako wielki kataklizm. Nic takiego oczywiście się nie stało, ale zalew chińskich towarów jest wszechobecny. Do tego w ostatnich latach dołączył napływ chińskich turystów i pracowników do wielu krajów.

Mieszkanie moich dziadków nie miało współczesnych wygód, ale jego istotnym walorem było usytuowanie w samym sercu miasta. Ponieważ moja babcia zajmowała się krawiectwem, skromne progi jej mieszkania przekraczało wiele osób, które pragnęły nie tylko spełnić marzenie o nowym odzieniu, ale również opowiedzieć o swoich przeżyciach, troskach i radościach. Nie licząc się z czasem własnym, ale również otwartej na ludzi krawcowej, powierzali jej problemy z myślą uzyskania nadziei na ich rozwiązanie. Ona wysłuchiwała monologów ze spokojem, bez oznak zniecierpliwienia. Od czasu do czasu wyrażała swoje zdanie o zasłyszanych wydarzeniach lub pocieszała stroskanych rozmówców, którzy nie potrafili odnaleźć się w nowych, trudnych dla nich sytuacjach. Czasami na talerzyku obok szklanki pojawiały się andruty o smaku kawowym, które często z moją pomocą przygotowywała z myślą o swoich przypadkowych gościach. W czasach powojennych ludzie byli bardziej skłonni poświęcać swój czas i pochylać się nad troskami bliźnich. Dzisiaj czas jest dobrem deficytowym. Ludzie, w pogoni za wciąż nowymi celami i dobrami, które mają zaspokoić ich potrzeby, zapominają o dobroczynnym działaniu zwykłych ludzkich kontaktów. Powojenna szarość codziennego bytowania narzucała również formy zaspokojenia potrzeb społecznych. W celach towarzyskich spotykano się w swoich mieszkaniach, podwórkowych obejściach lub przypadkowo na ulicy. Częstym miejscem spotkań były sklepowe kolejki, w których oczekujący dawali upust swoim frustracjom lub powierzali swoje troski przypadkowym słuchaczom. Kawiarnie były nieliczne i dostępne głównie dla zamożniejszych osób.

Przez mieszkanie moich dziadków przewinęła się cała galeria ludzkich postaci, które budziły we mnie zaciekawienie, czasami podziw, sympatię lub nie-

chęć. Wszystkie te osoby łączyło jedno – były dla mnie źródłem wiedzy, która wzbogacała mnie wewnętrznie i dawała szanse poznania życia nie tylko zwykłych ludzi, ale również tych, których zaliczano do elit przedwojennego i powojennego Radomia. Dzięki tej wiedzy mogłem napisać tę książkę i uchronić od zapomnienia obrazy z codziennego życia radomian. Warto zatem bliżej przyjrzeć się postaciom, które były aktorami spontanicznych spektakli teatru codziennego życia w domu rozbitków. Przedstawienie wszystkich byłoby dla czytelnika nużące, stąd też swoją uwagę skoncentruję na tych, którzy wywarli na mojej dziecięcej wyobraźni największy wpływ lub swoją przeszłością w sposób najbardziej charakterystyczny dokumentowali ducha tamtych czasów. Jedną z takich osób była pani Tygrysowa. Tak nazywałem starszą panią, która mieszkała w dość wytwornej kamienicy na Zamłyniu i była częstym gościem mojej babci. Wstępowała do niej na herbatę zwykle po nabożeństwie w pobliskim kościele farnym na ul. Rwańskiej. Opowiadała o tym, jak wielkie szczęście ją spotkało dzięki córce, która poznała bogatego starszego pana, dyrektora przedsiębiorstwa handlowego i właściciela lisiej fermy. Córka pani Tygrysowej była niezwykłej urody, która przyciągała uwagę przede wszystkim panów poszukujących miłosnych przygód, co z czasem stało się źródłem trosk jej męża. Wcześniej obie panie żyły w biedzie. Mieszkały w skromnym pomieszczeniu, które wcześniej było komórką na węgiel. Ożenek z dobrze sytuowanym kandydatem na męża sprawił, że matka i córka poznały, co to dobrobyt. Ponieważ według niektórych bogactwo ma sens, jeżeli można się nim pochwalić, starsza pani zajęła się jego promocją. Czasami zapraszała babcię i mnie do swojego luksusowego mieszkania na Zamłyniu. Tam istotnie było co podziwiać. Na mnie największe wrażenie robiła rozłożona w salonie ogromna skóra tygrysa wraz z jego głową, w której tkwiły rozwarte szczęki drapieżnika z potężnymi kłami. Od czasu tamtej wizyty starsza pani stała się dla mnie panią Tygrysową. Po latach bogaty mąż i zięć zmarł, a wraz z jego odejściem miejsce bogactwa zajęła znów bezlitosna bieda. Z czasem skończyły się chwalebne wizyty, a obie panie, nie mogąc pogodzić się z nową sytuacją, wkrótce przeniosły się do wieczności.

Moje szczególne zainteresowanie wśród gości odwiedzających dziadków budziło starsze małżeństwo przybyłe zza Buga, które zajmowało się chiromancją. Podczas jednego ze spotkań starszy pan ze starannie przystrzyżoną bródką poprosił mnie o podanie dłoni, z której na podstawie przebiegu znajdujących się na niej linii przewidywał moją przyszłość. Była ona dość optymistyczna, gdyż ta forma wróżenia akcentuje przewidywanie pozytywnych zdarzeń dla osoby zainteresowanej tajemną wiedzą o swojej przyszłości. Po latach mogę stwierdzić, że w dużym stopniu wróżby tajemniczego pana się spełniły. Na pewno wniosły do mojego życia nadzieję na sukces i pozytywne zdarzenia, a dla mojej babci były urozmaiceniem jej dość szarego codziennego bytowania.

Równie intrygującym, ale obyczajowo kontrowersyjnym gościem była gruba Helka. Jej wizyty wzbudzały zawsze niezadowolenie mojego dziadka, który w geście protestu opuszczał demonstracyjnie mieszkanie wraz z pojawieniem się pani będącej przedstawicielką najstarszego zawodu świata. Przychodziła ona zwykle na herbatę. Mało mówiła, a więcej słuchała cudzych opowieści. Jej wygląd wzbudzał zazwyczaj zainteresowanie postronnych osób. Była to postawna pani w wieku około sześćdziesiątki, z bujną czarną fryzurą przykrytą czerwonym szalem. Ostry makijaż na twarzy, a zwłaszcza na czerwono wymalowane wargi, nadawały całej postaci dość egzotyczny i prowokujący charakter. W wyglądzie tej pani najbardziej intrygowała mnie jej ręka, a ściślej biorąc przedramię z wytatuowanymi cyframi, których znaczenia nie znałem. Później dowiedziałem się, że gruba Helka była więźniarką obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Po powrocie z obozu nie zerwała ze swoją profesją i czekała na klientów wieczorami w wąskiej uliczce łączącej ulice Rwańską i Szewską. Goszczenie grubej Helki było dość ryzykowne, gdyż w odbiorze społecznym negatywnie wpływało na wizerunek tzw. porządnych osób utrzymujących z nią kontakty. Moja babcia nie zwracała na to uwagi i drzwi jej mieszkania były otwarte dla każdego, kto potrzebował pomocy lub był skłonny skorzystać z jej krawieckich talentów.

Osobą, która w mniejszym stopniu zagrażała dobremu wizerunkowi rodziny mojej babci, była pani Wierzbicka. Osoba samotna, w wieku około pięćdziesięciu lat, o dużym potencjale niezaspokojonej kobiecości. Pracowała w fabryce broni na produkcji. Była bardzo pobożna, ale w rozmowie mocno uzależniona od problematyki damsko-męskiej i to w warstwie czysto erotycznej. Prawie w każdym jej opowiadaniu zawsze ten wątek wypływał i to w takim stopniu, że moja babcia musiała wkraczać, zwracając spokojnie uwagę: „tu jest dziecko, proszę tak nie mówić". Po takiej interwencji wszystko dochodziło do normy, tematyka opowieści pani Wierzbickiej zmieniała się na bardziej przyzwoitą, a moje wypieki na twarzy blakły, mieszając się z nudą, która zaczęła się wkradać wraz z przekazem nowych, dużo mniej interesujących treści.

Z mieszkaniem moich dziadków w sposób szczególny była związana pani Deck, Niemka o ascetycznym wyglądzie, w wieku sześćdziesięciu paru lat. Znalazła ona u nich schronienie. Prawdopodobnie nie zdążyła wraz z wycofującymi się wojskami uciec do Niemiec. Mówiła dość dobrze po polsku. Nic nie posiadała, spała na materacu każdorazowo rozkładanym na podłodze. Była zawsze schludna, starannie uczesana. W swoich wypowiedziach była dość powściągliwa. Unikała tematyki dotyczącej wojny i bieżącej polityki. Próbowała mnie uczyć podstawowych niemieckich słów. Czasami pomagała mojej babci w pracach krawieckich. Po kilku tygodniach pobytu dość nieoczekiwanie wyprowadziła się do domu położonego w pobliżu obecnego kościoła św. Wacława, gdzie mieszkał wraz z rodziną właściciel sklepu papierniczego z ul. Rwańskiej, którego bożona-

rodzeniowa wystawa wzbudzała mój zachwyt i wprowadzała w bajkowy nastrój przedświątecznych dni. Pani Deck znalazła schronienie w nowym domu do końca swojego życia. Miała zapewnione nie tylko dach nad głową, ale również źródło utrzymania, gdyż prowadziła gospodarstwo domowe właścicieli gościnnego domu położonego w pobliżu najstarszej części Radomia – Piotrówki. Kiedy piszę o losach tej Niemki, nasuwa mi się refleksja dotycząca szlachetności prostych ludzi, którzy nie bacząc na przykre doświadczenia wojenne, potrafili unieść się ponad urazy z nimi związane i przygarnąć pod dach, do skromnego i ciasnego pokoju, przedstawicielkę narodu, który tak niechlubnie zapisał się w naszej historii. Dawniej ludzie w sposób bardziej konsekwentny przestrzegali nakazów wiary katolickiej. Potrafili przebaczać i bezinteresownie czynić dobro. Może doświadczenia wojny się do tego przyczyniły?

Cennym źródłem informacji, które uzyskałem podczas wizyt różnych osób w mieszkaniu moich dziadków, była pani Janina Urbańska, wdowa po profesorze Liceum im. Jana Kochanowskiego w Radomiu, Franciszku Urbańskim, który zmarł w 1929 roku, pozostawiając w głębokiej rozpaczy wdowę z czteroletnim synkiem Tadeuszem. W 1950 roku okrutny los, a właściwie nieubłagany przebieg powszechnej po wojnie choroby, jaką była gruźlica, zabrał pani Urbańskiej jedynego syna. Pamiętam ją w czerni i pogrążonej w smutku, szukającej otuchy i pocieszenia w gronie życzliwych znajomych, do których należeli również moi dziadkowie. W ich mieszkaniu mogła liczyć nie tylko na szklankę gorącej herbaty, ale również na wysłuchanie jej opowieści o tak drogich dla niej osobach, które odeszły.

Wiatr historii, który zawiał wraz wybuchem drugiej wojny światowej, dotknął większość osób, które przekroczyły skromne progi mieszkania moich dziadków. Jedną z nich była Zoniusia Winnicka. Mieszkała dość daleko od rynku, bo na Glinicach. Przychodziła w chwilach szczególnego załamania z nadzieją powierzenia swoich trosk osobie, która ją wysłucha i obdarzy słowami pocieszenia. Zoniusia była córką bogatego przedwojennego ziemianina, który w czasach świetności prowadził bogate życie, a po wojnie, pozbawiony rozległych obszarów ziemskich i okazałego dworu, osiadł w skromnym mieszkaniu na peryferiach Radomia. Zoniusi trudno było znaleźć rozmówcę, gdyż urodziła się z uciążliwą wadą wymowy, polegającą na częstym i długotrwającym jąkaniu się. Opowiadając o czasach świetności, wpadała w pewien stan ekstazy i w nieoczekiwanym momencie w połowie wypowiadanego słowa zatrzymywała się i nie mogła „ruszyć" dalej. Wywoływało to u słuchaczy stan konsternacji i pewnej bezradności, gdyż nie było wiadomo, jak pomóc osobie dotkniętej tą niesprawnością. Kiedy Zoniusi udało się pokonać barierę płynnej wymowy, rozmówcy z ulgą mogli oddać się słuchaniu jej opowiadań o urokach dworskiego życia, które bezpowrotnie minęło. Czasami można było dowiedzieć się czegoś więcej o jej ojcu, między innymi tego, że jego korepetytorem był Stefan Żeromski.

Goście odwiedzający najbliższe mi mieszkanie w domu rozbitków byli nie tylko źródłem informacji, ale również obiektem obserwacji, źródłem inspiracji i przemyśleń na temat zawiłych losów ludzi, którzy stali się przypadkowymi ofiarami wojny. W moim odbiorze byli aktorami szczególnego spektaklu, który zakończył się ze śmiercią mojej babci w listopadzie 1958 roku. Wielu z nich odprowadzało ją w żałobnym kondukcie na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu przy ul. Limanowskiego. Po jej odejściu wszystko się zmieniło. Dziadek za namową sąsiadów przeprowadził się do mniejszego mieszkania w tej samej kamienicy, później do jeszcze mniejszego, które przed wojną było małym żydowskim sklepikiem na rogu kamienicy i ostatecznie wprowadził się do nas do Milejowic. Tęsknił za dawnym lokum i miastem. Codziennie jeździł do rynku. Po dwutygodniowym okresie zamieszkania w nowym miejscu zmarł i ostatecznie dołączył do babci na ul. Limanowskiego w marcu 1961 roku.

Domy, tak jak drzewa, umierają stojąc. Dom rozbitków jeszcze żyje, ale jest okaleczony. Podczas każdego pobytu w Radomiu zawsze odwiedzam tę bliską memu sercu kamienicę. Wchodzę na podwórko. Z trudem odnajduję ślady przeszłości… Wypatruję osób, które znałem… Większość z nich to już cienie. Nowi lokatorzy nie mają nic wspólnego z dawnymi. Szokujących przeżyć doznałem, witając się z kamienicą jak ze starą znajomą 1 listopada 2011 roku. Z ogromnym zaskoczeniem zobaczyłem, że tej części poczciwej kamienicy, w której znajdowało się mieszkanie moich dziadków, po prostu już nie ma. Została „odkrojona" równo – jak kawałek imieninowego tortu, a naprzeciwko pozostałej części starej kamienicy dumnie wznosiła się sylwetka nowego budynku w stylu miejskiego pałacyku – symbol nowych czasów. Nieuchronny proces eliminacji materialnej przeszłości postępuje i dotknął już większość rewirów moich chłopięcych zabaw. Będąc jesienią 2018 roku w Radomiu, zauważyłem, że na ul. Szwarlikowskiej nie ma już domów, które kiedyś były źródłem moich dziecięcych niepokojów związanych z panującą w nich przemocą. Uporządkowany, pusty teren oczekiwał na nową scenografię, w której nie będzie miejsca na niecne praktyki sfrustrowanych mężów. Powstaną nowe domy. Wprowadzi się do nich nowe pokolenie, dla którego człowiek, w tym również rodzaju żeńskiego, będzie, mam nadzieję, największą wartością.

6

OCALENI Z POPIOŁÓW

Pisząc o Radomiu, nie sposób pominąć jego przedwojennych mieszkańców, obywateli polskich narodowości żydowskiej, którzy przyczynili się do gospodarczej świetności miasta i w dużym stopniu stanowili jego intelektualną elitę. Nieliczni ocaleni z powojennej pożogi radomianie pochodzenia żydowskiego przy każdej okazji podkreślali swoje przywiązanie do rodzinnego miasta, czego wyrazem jest wpis zamieszczony w „Księdze Pamiątkowej Żydów Radomskich", w którym z dumą podkreślono, że „Radom był w rzeczy samej klejnotem w koronie polskiego żydostwa". Żydzi zamieszkiwali w Radomiu od niepamiętnych czasów. Według lokalnej tradycji do grodu nad Mleczną sprowadził ich król Kazimierz Wielki. W tym mieście mieszkała jego nałożnica Esterka, Żydówka. Wiodła rozkoszny żywot w kamienicy położonej w rynku, którą radomianie nazywają Domem Esterki. Na pewno nie jest to dom z tamtych czasów, gdyż jego udokumentowane powstanie miało miejsce na przełomie XVI i XVII wieku. Pewnie wzniesiono go na miejscu faktycznie istniejącego domu, w którym mieszkała królewska nałożnica. Z upływem wieków zwiększała się liczba radomskich Żydów, którzy zajmowali się głównie handlem i usługami oraz tworzyli podwaliny dla rozwijającego się dynamicznie przemysłu w XIX i XX wieku. Pomyślny czas dla ich egzystencji w Radomiu skończył się wraz z wybuchem drugiej wojny światowej. Okrutna machina hitlerowskiej zagłady spowodowała, że w powojennym Radomiu żyła niewielka grupa Żydów, której udało się przetrwać hekatombę. Przed wojną w mieście tym mieszkało ogółem 90 000 mieszkańców. Blisko jedną trzecią z tej liczby stanowili Żydzi. Po zakończeniu wojny do rodzinnego miasta powrócili nieliczni. Jednak wśród polskich mieszkańców panowała niechęć wobec niedobitków, którym udało się przeżyć. Zdarzały się napady, morderstwa i pogromy, które zmusiły żydowskich radomian do wyjazdu. Udawali się głównie na Dolny Śląsk i za granicę. Wiem to nie tylko z fachowej literatury, ale również z opowiadań moich rodziców. Moje kontakty z osobami narodowości żydowskiej w Radomiu były epizodyczne. Ponieważ jako dziecko byłem biernym obserwatorem poczynań osób dorosłych z kręgu najbliższej rodziny, stąd też ich kontakty z Żydami dostarczały mi bezpośrednich odczuć dotyczących przedstawicieli tej narodowości. Pierwszy taki kontakt był związany z poszukiwaniem

mieszkania przez moich rodziców, którzy musieli opuścić Pionki. Pamiętam, jak weszliśmy do pustego mieszkania w kamienicy w rynku, bezpośrednio przyległej do ratusza. W dużym pokoju pozbawionym mebli przywitało nas dwóch mężczyzn w średnim wieku. Towarzyszył im mały piesek ratlerek. Panowie w wyczerpujący sposób opowiedzieli o swoich okupacyjnych przeżyciach. Uratowali się, gdyż wraz z wybuchem wojny uciekli do Związku Radzieckiego. Po powrocie mieli więcej szczęścia od innych, ponieważ ich dawne mieszkanie nie zostało zajęte przez Polaków. Chcieli wyjechać do Palestyny, uważali bowiem, że nie czują się bezpiecznie w swoim rodzinnym mieście. Rodzice nie kupili jednak tego mieszkania, gdyż jego cena była dla nich wygórowana.

Przedstawicielką narodu żydowskiego, którą mogłem bliżej poznać podczas jej wizyt składanych w mieszkaniu moich dziadków, była pani Orłowska. Ta elegancka i urodziwa pani w wieku około sześćdziesięciu lat przychodziła do mojej babci zwykle z jakimś zawiniątkiem, w którym znajdował się materiał lub będąca w trakcie szycia odzież. Po wylewnym powitaniu pani ta zasiadała przy stole, rozkładała przyniesione zawiniątko i od razu przystępowała do krawieckiej pracy pod okiem mojej babci, która korygowała na bieżąco jej błędy. Przy okazji na stole pojawiała się herbata w towarzystwie kruchych ciasteczek. W tej przyjaznej atmosferze przebiegała również rozmowa, zwykle na tematy polityczne lub religijne. Pani Orłowska nigdy nie wspominała o czasach okupacji. Był to dla niej temat tabu. Mnie jednak bardzo interesowało to, w jaki sposób udało jej się przeżyć okupacyjną gehennę. Opowiedziała mi o tym moja babcia, która w przeciwieństwie do dziadka odnosiła się do Żydów w sposób przyjazny, a po powstaniu radomskiego getta omal nie straciła życia za udzielanie im pomocy. Była też w pewnym stopniu zobowiązana za rzeczy, które od nich otrzymała. Znajome z przedwojennych czasów Żydówki, przed pójściem do getta, miały świadomość swojego losu. Przychodziły do mojej babci, przynosiły różne rzeczy z prośbą o ich przyjęcie, twierdząc że w nowym miejscu zamieszkania nie będą im potrzebne. W ten sposób przepastna kuchenna szafa właścicielki mieszkania przy ul. Wolności 2 zapełniła się talerzami, porcelaną, metalowymi garnkami. W kuchni pojawiły się nawet drobne meble. Kierując się ludzkim odruchem udzielenia pomocy osobom, które znalazły się w dramatycznej sytuacji oraz potrzebą zrewanżowania się za podarowane rzeczy, babcia postanowiła przedostać się do getta i przemycić znajomym Żydom trochę żywności. Jedna z takich wypraw omal nie skończyła się dla niej tragicznie. Zauważył ją niemiecki strażnik, dokonał rewizji i wykrył przemycaną żywność. Wyjął pistolet i przystawił go do skroni przerażonej kobiety, która w myślach żegnała się z życiem. Skończyło się na wielkim strachu, gdyż przedstawiciel narodu panów postanowił być miłosierny i darować jej życie. Zagroził równocześnie, że jeżeli jeszcze raz zobaczy ją na terenie getta, to użyje skutecznie tego, co miał w ręku. Od tamtej pory skończyły się wyprawy

Fot. 47. Żydzi na jednej z ulic dużego getta (ul. Wałowa), Radom 1941-1942 (własność Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, Radom 2014, s. 204.

mojej babci do radomskiego getta, którego mieszkańcy 16 sierpnia 1942 roku zostali wywiezieni do Treblinki i tam zamordowani. Jak wynika z opowieści moich dziadków, akcja likwidacji radomskiego getta, a właściwie dwóch gett, miała dramatyczny przebieg. Najpierw zlikwidowano małe getto na Glinicach, w którym mieszkało prawie 9000 Żydów. Większość z nich zagoniono na stację kolejową, gdzie załadowano ich do bydlęcych wagonów i wywieziono do Treblinki. Osoby starsze i dzieci rozstrzelano jeszcze na terenie getta. Po dwóch tygodniach dokończono nikczemnego dzieła zagłady i z dużego getta, do którego moja babcia przemycała żywność, wywieziono ok. 20 000 Żydów. Jechali na śmierć w tak ogromnym ścisku, że wielu z nich zmarło podczas podróży. Nieliczną grupę pozostawiono w Radomiu jako niewolników pracujących w obozach pracy. Jeden z nich znajdował się niedaleko domu rozbitków przy ul. Szwarlikowskiej.

Wracając jednak do losów pani Orłowskiej, warto opowiedzieć o szczęściu ocalenia, które ją spotkało. W ponurych okupacyjnych czasach zakochał się w niej właściciel majątku ziemskiego i okazałego dworu położonego w pobliżu Radomia. Bohaterka tej opowieści przebywała w nim do zakończenia wojny wraz z synem. Jej mąż, przeczuwając niekorzystny rozwój sytuacji politycznej w Europie, opuścił Polskę tuż przed wybuchem wojny i zamieszkał w Paryżu. Pani Orłowska odnalazła się w powojennej rzeczywistości i postanowiła zasymilować się w środowisku, które dobrowolnie wybrała do dalszego bytowania. Przyjęła chrzest i jako gorliwa katoliczka codziennie uczęszczała do kościoła ojców Bernardynów.

Mieszkała niedaleko, w dawnym pałacu przy ul. Żeromskiego. Zajmowała w nim na parterze wraz z obcą jej osobą połowę ogromnego salonu, przedzielonego szafami na dwa odrębne pomieszczenia. Miało to dawać zamieszkałym tam paniom poczucie złudnej intymności. Z czasem wspólne zamieszkanie lokatorek w wytwornym salonie stało się dla nich koszmarem nie do zniesienia. A wszystko za sprawą pianina pani Orłowskiej, która jako miłośniczka muzyki klasycznej często na nim grała. Zapraszała na spontaniczne koncerty znajomych, co doprowadzało do szewskiej pasji jej współlokatorkę. W powojennym Radomiu sytuacja mieszkaniowa była dramatyczna. Stąd też system wspólnych mieszkań miał się dobrze aż do czasu, kiedy rozwój budownictwa blokowego zaczął dawać nadzieję na uzyskanie odrębnego lokum. Na osobie pani Orłowskiej kończą się moje kontakty z radomskimi Żydami. Podczas studiów we Wrocławiu miałem wielu profesorów narodowości żydowskiej, którzy byli wspaniałymi fachowcami, życzliwymi studentom nauczycielami akademickimi. Wielu z nich opuściło Polskę w 1968 roku po antysemickiej nagonce ówczesnych władz. W Radomiu już od czasów wczesnego dzieciństwa spotykałem się z niechęcią naszych rodaków do Żydów. Pamiętam jak podczas dziecięcych zabaw w Milejowicach miejscowe gospodynie straszyły rozbrykane dzieci Żydami. Mówiły: „jak będziesz niegrzeczny, to Żydy złapią cię na macę". Nie bardzo wówczas wiedziałem, co to jest ta maca i na czym polega zagrożenie z nią związane. Jeden ze starszych kolegów, bardziej wtajemniczony w tej sprawie, powiedział że Żydzi mają beczki z powbijanymi do środka gwoździami, do których wsadzają niegrzeczne dzieci. Beczka z takim „nadzieniem" miałaby być następnie toczona po ziemi, co zdaniem dobrze wtajemniczonych antysemitów powodowało wbijanie gwoździ w ciało umieszczonego w niej nieszczęśnika, a sącząca się z nich krew miała być używana do pieczenia specjalnego ciasta zwanego macą. Aby cała opowieść miała wątek bardziej bulwersujący i religijny, znawcy tematu dodawali, że zapewnienie szczególnej wartości wspomnianego ciasta wymagało w nim obecności chrześcijańskiej krwi. Stąd też idealnym źródłem jej pozyskania miały być dzieci z chrześcijańskich rodzin. Tego rodzaju bzdurne opowieści wzbudzały grozę i niszczyły resztki zdrowego rozsądku w umysłach młodych ludzi. Podejrzewam, że współcześnie żyjący w naszym społeczeństwie antysemici wychowali się na gruncie tak sączonej do młodych głów ciemnoty. Znam w Radomiu osoby, które zieją nienawiścią do Żydów, chociaż z racji wieku nie widzieli żadnego z nich. Czytają jednak nienawistną i antysemicką literaturę, która robi swoje. Czytelnicy tych dzieł są przekonani, że Matka Boska była Polką i z tej racji jest Królową Polski. Nie dopuszczają do świadomości tego, że była przedstawicielką narodu żydowskiego.

Społeczeństwo powojennego Radomia nie wymazało z pamięci swoich żydowskich współmieszkańców, o czym świadczą materialne dowody uczczenia tych, którzy stali się ofiarami zbrodniczej ideologii hitlerowskich Niemiec. Jed-

Fot. 48. Uroczystości żałobne podczas odsłonięcia 17 sierpnia 1950 roku w Radomiu pomnika ku czci zgładzonych Żydów radomskich

Źródło: zasoby archiwalne Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu.

nym z pierwszych dowodów pamięci o zamordowanych radomskich Żydach jest pomnik wzniesiony w 1950 roku na miejscu zburzonej synagogi przy ul. Bóżniczej. Byłem jako dziecko świadkiem uroczystości jego odsłonięcia, która odbywała się niedaleko miejsca zamieszkania moich dziadków. Towarzyszył mi dziadek, który pomimo chłodnego stosunku do Żydów, wiedziony ciekawością, wziął mnie za rękę i przyłączył się do licznie zgromadzonych uczestników uroczystości. Było pogodne sierpniowe popołudnie. Nad zgromadzonym tłumem dominowała wyniosła sylwetka pomnika okryta tkaniną. Wokół niej zgromadziły się ze sztandarami delegacje z zakładów pracy, przedstawiciele miejscowych władz oraz nieliczni radomscy Żydzi, którym udało się ujść z życiem z tej strasznej hekatomby. Podniosły nastrój zgromadzenia wzmacniała orkiestra grająca marsz żałobny Chopina. Przy jego dźwiękach nieznany mi człowiek stojący tuż przy pomniku zręcznym ruchem rąk zerwał tkaninę przykrywającą dzieło rzeźbiarza. Oczom zgromadzonych ukazała się płaskorzeźba kobiety ze wzniesioną do góry pięścią, która była gestem rozpaczy, a może bezsilności przed zbliżającą się niepotrzebną śmiercią z rąk hitlerowskich oprawców. Wyniosła postać zrozpaczonej kobiety spoczywała na autentycznych kamiennych macewach, poniżej których widniał napis w języku polskim: „Żydom Radomia, ofiarom zbrodni hitlerowskich". Obok umieszczona była tablica z żydowskim napisem, na którym widniała data 1 X 1939 – 9 V 1945. Odsłonięty w ósmą rocznicę likwidacji radom-

skiego getta pomnik przedstawiciel społeczności żydowskiej przekazał oficjalnie pod opiekę władz miejskich. Do dzisiejszego dnia nie wiadomo, kto był fundatorem pomnika i jego twórcą. Jego obecność jest wyrazem hołdu dla radomskich Żydów, którzy zginęli w komorach gazowych Treblinki, ale również ocalałych z hekatomby. Ci ostatni poczuli się jednak zagrożeni. Napady na powracających, nieprzychylna wokół nich atmosfera czy też echa pogromu kieleckiego dopełniły reszty. I w ten sposób społeczność żydowska w Radomiu przestała istnieć. Radomianie żydowskiego pochodzenia, którzy po wojnie opuścili rodzinne miasto, tęsknili za nim. Potwierdzeniem tego jest opowieść mojej znajomej radomianki, która będąc członkinią Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze", w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku była uczestniczką trasy koncertowej tego zespołu w Stanach Zjednoczonych. Jego członkowie w czasie wolnym od występów zachwycali się amerykańską cywilizacją, a zwłaszcza bogactwem towarów wystawionych w dużych luksusowych sklepach. Będąc w Nowym Yorku, urodziwe mazowszanki w strojach ludowych stały się obiektem zainteresowania personelu i klientów luksusowego magazynu. W pewnym momencie podszedł do nich starszy dystyngowany pan i zapytał płynną angielszczyzną, w czym może pomóc i z jakiego kraju są tak strojnie wyglądający klienci. Kiedy usłyszał, że z Polski, płynną polszczyzną oznajmił, że jest radomskim Żydem i właścicielem właśnie tego dużego sklepu. Zaskoczona tą informacją radomianka wyraziła podziw dla jego materialnego sukcesu i pogratulowała posiadania przez dawnego radomianina tak ekskluzywnego magazynu z luksusową odzieżą. W odpowiedzi na swój zachwyt usłyszała odpowiedź nowojorskiego przedsiębiorcy: „A co to za sklep? Prawdziwy sklep to miałem w Radomiu przed wojną na ulicy Wałowej". I tak na nowojorskim gruncie spotkali się radomianka z dawnym radomianinem, aby wspólnie odkryć nieprzemijającą wartość handlowego biznesu z ul. Wałowej w Radomiu.

W Radomiu nie zapomniano jednak o dawnych współmieszkańcach, czego wyrazem jest powstanie Szlaku Pamięci Żydów Radomskich „Ślad". W dwunastu miejscach miasta związanych ze społecznością żydowską stanęły pamiątkowe tablice przypominające jego byłych mieszkańców, których okrutna machina śmierci uruchomiona przez Niemców pozbawiła życia. Dowodem pamięci o radomskich Żydach jest również odnowiony cmentarz żydowski przy ul. Towarowej. Znajdujące się na nim nagrobki, wraz z ohelem, tablicą pamiątkową i lapidarium przypominają o tych, którzy przez wieki żyli w Radomiu, budowali jego świetność i pasjonującą historię.

7

MISJONARZE

Tytuł tego opowiadania jest dość przewrotny, gdyż słowo „misjonarz" kojarzone jest najczęściej z osobą duchowną, której misją jest szerzenie zasad wiary i świadczenie posług religijnych wśród ludności zamieszkującej odległe, często egzotyczne kraje. Tym razem misjonarzem będzie nauczyciel, osoba będąca pracownikiem wiedzy, niosąca od wieków „oświaty kaganiec", którego przenikliwe światło ma oświecać umysły młodych ludzi i wskazywać drogę ich osobistego i zawodowego rozwoju oraz dawać oręże w konsekwentnym dążeniu do osiągnięcia życiowych celów. Ironiczny podtekst znaczeniowy słowa „misjonarz" wynika z dość częstego traktowania nauczycieli przez rządzących jako osób, które powinny pracować dla idei, mieć powołanie do nauczycielskiego zawodu i niezbyt wygórowane oczekiwania co do wysokości wynagrodzenia za swoją pracę. Postrzeganie zawodu nauczyciela jako misji było praktykowane przez większość rządów powojennej Polski, również tych, które przejęły ster władzy po 1989 roku. W przedwojennej Polsce zawód nauczyciela był traktowany z dużym szacunkiem, a wynagrodzenie, jak na możliwości młodego i biednego państwa, było w miarę godziwe. Nauczyciele w małych ośrodkach miejskich i wsiach wchodzili w skład miejscowej elity. Moje przywiązanie do Radomia jako miasta, w którym uzyskałem średnie wykształcenie, nierozłącznie związane jest z nauczycielami, którzy wprowadzali mnie na drogę zdobywania nowej wiedzy i zaszczepili zamiłowanie do jej kreowania w złożonym procesie naukowej twórczości, którą ponad 50 lat z dużym zaangażowaniem realizowałem, pracując jako nauczyciel akademicki. Pisząc o radomskich (i nie tylko) nauczycielach, chciałbym wyrazić wdzięczność za ich trud, dobroć i wkład w mój rozwój zawodowy i intelektualny. Przywołuję na kartach tej książki pamięć nie tylko o tych, którzy mnie uczyli, wspominam również zacne postaci radomskiego szkolnictwa, których osobiście nie znałem, ale słyszałem o ich dokonaniach od moich rodziców i dziadków. Odnosili się oni do nauczycieli z ogromnym szacunkiem. Mam tu na myśli moich dziadków Annę i Jana Wachnickich, których córki Wanda i Zofia były uczennicami Seminarium Nauczycielskiego w Radomiu.

Moja przygoda ze szkołą i pierwsze kontakty z nauczycielami rozpoczęły się 1 września 1950 roku. Mieszkałem wówczas wraz z rodzicami w Milejowicach,

Fot. 49. Publiczna Szkoła Podstawowa w Cerekwi w latach pięćdziesiątych XX wieku

Źródło: zasoby archiwalne Publicznej Szkoły Podstawowej w Cerekwi.

a najbliższa szkoła podstawowa znajdowała się w odległej o 3 km Cerekwi. Dotarcie do niej wymagało pokonania opłotków Milejowic, strumyka przepływającego w poprzek polnej drogi oraz sosnowego lasu, który w czasie jesiennych i zimowych powrotów o wieczornej porze wzbudzał strach i tworzył tajemniczą scenerię dziecięcych opowieści o duchach i wojennych przygodach osób pochowanych wśród wyniosłych sosen. Pamiętam mój pierwszy dzień w szkole. Z ogromną bojaźnią samotnie pokonałem opisaną wcześniej drogę, a nagrodą za trudy pierwszej wyprawy do szkoły był widok wyniosłej wieży kościoła dominującej nad okolicą oraz sylwetka budynku szkoły, który powstał w 1927 roku. Początkowo była to szkoła sześcioklasowa, zajęcia odbywały się w wynajętym domu pana Malecińskiego. Po parcelacji majątku ziemskiego dziedzica Wietrzykowskiego i wykupieniu ziemi przez chłopów szkołę przeniesiono do budynku opuszczonego dworu. Umieszczono w nim trzy sale lekcyjne oraz mieszkania dla kierownika szkoły i nauczyciela. Pierwszym jej kierownikiem był pan Feliks Kozieł, który w 1950 roku wraz ze swoją żoną nauczycielką opuścił Cerekiew, a władanie tak bliską mi szkołą objął pan Jan Marcinkiewicz. Pamiętam moment odjazdu państwa Koziełów, którzy żegnali się nie tylko z nauczycielami, ale również z uczniami, przytulając ich do siebie i składając najlepsze życzenia na dalszą drogę edukacyjnej przygody. Wracając do pierwszego dnia w szkole, który kojarzy mi się z lękiem i ciekawością nowych przeżyć, wspominam nieśmiałe przekroczenie szkolnych progów. Stanowiły one dla mnie przepustkę do

Fot. 50. Grono nauczycielskie Publicznej Szkoły Podstawowej w Cerekwi w roku szkolnym 1950/1951 (w pierwszym rzędzie od lewej stoją: Jadwiga Gocel, Wojciech Węgierski, Janina Ciesielska, Wacław Wrzesiński; w drugim rzędzie od lewej stoją: Jan Marcinkiewicz – kierownik szkoły, Zofia Marcinkiewicz)

Źródło: zasoby archiwalne Publicznej Szkoły Podstawowej w Cerekwi.

życia, w którym poznanie i tworzenie nowej wiedzy stały się moją pasją. Zająłem miejsce wśród odświętnie ubranych „pierwszaków" w sali, którą nazywano „psiarnią" ze względu na panujący w niej zimą chłód. Tym razem było w niej dość ciepło, ale w powietrzu unosił się przenikliwy zapach ropy naftowej, którą malowano drewniane podłogi. Sala, do której wszedłem, nie miała przytulnego charakteru. Na centralnej ścianie wisiała tablica, a nad nią godło państwowe z orłem pozbawionym korony w towarzystwie trzech portretów ówczesnych dostojników państwowych, tj. Bolesława Bieruta, premiera Józefa Cyrankiewicza i marszałka Konstantego Rokosowskiego, którzy czujnym wzrokiem ogarniali siedzących uczniów. Pomieszczenie wypełniały rzędy zespolonych z siedzeniami ławek, na których umieszczone były kałamarze wypełnione atramentem. Tkwiły one w specjalnych otworach, które zapobiegały jego wylaniu się na podłogę. W tamtych czasach w zeszytach pisało się drewnianym piórem z osadzoną na końcu stalówką. Jej umoczenie w kałamarzu umożliwiło pisanie w zeszycie, ale było również źródłem utrapienia w postaci kleksów, które niepotrzebnie zdobiły z trudem wypracowany przez ucznia tekst. Na podwyższeniu w niewielkiej sali stał stół, a na nim rozłożony był stos pachnących świeżym drukiem książek. Za stołem siedziała postawna pani. Na głowie miała fryzurę w formie korony, którą czasami poru-

szała, wywołując zainteresowanie, a zarazem zdziwienie zgromadzonych dzieci. Była to Jadwiga Gocel, wspaniała nauczycielka języka polskiego i historii. To ona przekazała nam w późniejszych latach prawdę o Katyniu, rozbiorze Polski przez sąsiadów w 1939 roku oraz o przebiegu powstania warszawskiego. Oceniając postawę patriotyczną tej nauczycielki, należy podziwiać jej odwagę i determinację w przekazywaniu prawdziwej wiedzy historycznej. Od niej dowiedzieliśmy się, że zbrodni katyńskiej dokonali Rosjanie, a powstanie warszawskie było skazane na niepowodzenie ze względu na bierną postawę wojsk radzieckich stojących na praskim brzegu Wisły. W tamtych ponurych stalinowskich czasach za rozpowszechnianie prawdziwej wiedzy historycznej można było nie tylko stracić pracę, ale również trafić za więzienne kraty. Moje pokolenie wychowywało się w schizofrenicznym otoczeniu, byliśmy rozdarci, niepewni z powodu rozmaicie podawanych nam informacji. W domu moich rodziców i dziadków mówiło się o prawdziwej historii, a w szkole (z nielicznymi wyjątkami) obowiązywała wersja oficjalna, pełna przekłamań, niedomówień i treści narzuconych przez ideologię wielkiego brata ze wschodu. Pani Jadwiga Gocel, przekazując historyczną prawdę, w pewnym stopniu neutralizowała nasze wewnętrzne rozterki. Nauczyciele w tamtych czasach mieli do wykonania bardzo niewdzięczne zadanie, aby jakoś z tego wybrnąć, nie szczędzili czasu swoim uczniom i bezinteresownie wspierali ich rozwój dodatkowymi zajęciami. Pocieszali, a nawet przytulali w trudnych sytuacjach. Do dzisiaj mam w pamięci przedstawienie „Dziadów", w którym brałem udział. Reżyserem i scenografem tego spektaklu była pani Gocel, która w dość prymitywnych warunkach i nakładem ogromnego wysiłku potrafiła udostępnić młodym widzom i ich rodzicom patriotyczny przekaz zawarty w treści tego wybitnego dzieła polskiego romantyzmu. Od tamtej pory kaplica właścicieli dóbr ziemskich w Cerekwi zdobiąca miejscowy cmentarz kojarzy mi się z obrządkiem Dziadów przedstawionym w drugiej części Mickiewiczowskiego dzieła. Lektury klasyków naszej literatury i prowadzone na tej podstawie lekcje były w tym czasie swoistym antidotum na obowiązkowe teksty typu „Soso Dżugaszwili" (o Józefie Stalinie), „O człowieku, który się kulom nie kłaniał" (o Karolu Świerczewskim) czy „Kostek w Warszawie" (czuła opowieść o Konstantym Rokosowskim, moskiewskim marszałku Ludowego Wojska Polskiego). Postać niezapomnianej polonistki z pierwszego dnia pobytu w szkole towarzyszyła mi przez siedem lat nauki. Była inspiracją do różnych przemyśleń i źródłem mojego zamiłowania do utrwalania na piśmie nowych pomysłów, które rodziły się później w czasie mojej długoletniej pracy naukowo-badawczej.

Wśród grona pedagogicznego cerekiewskiej szkoły było wielu znakomitych nauczycieli. Szczególną postacią, która przyczyniła się do jej rozwoju i zapewnienia godziwych warunków nauczania oraz przyjaznej atmosfery, był jej kierownik pan Jan Marcinkiewicz, którego na co dzień wspierała jego żona, a moja dłu-

goletnia wychowawczyni pani Zofia Marcinkiewicz. Uczyła mnie matematyki i próbowała ukazać jej wszechogarniającą moc jako królowej nauk. Pan Marcinkiewicz był główną siłą sprawczą wszystkiego pozytywnego, co działo się w tej szkole. Elegancki i kulturalny, był dla mnie nie tylko wzorem dobrych manier, ale również uosobieniem wzorca pedagoga, który wśród uczniów budził respekt i ogromny szacunek. Uczył geografii i czasami wzmacniał naszą tężyznę fizyczną na zajęciach wychowania fizycznego, które z braku sali gimnastycznej odbywały się na wolnym powietrzu. Szczególnie ulubione były zajęcia odbywane na pobliskim zamarzniętym stawie w porze zimowej. To właśnie tam, pod czujnym okiem pana Jana Marcinkiewicza, trenowała jazdę na łyżwach koleżanka ze starszej klasy, Maria Kaim, przyszła absolwentka AWF-u w Warszawie i mistrzyni Polski w tej dyscyplinie. Możliwości pedagogicznej aktywności pana Marcinkiewicza były wręcz nieograniczone. Do dzisiaj mam przed oczami obraz lekcji śpiewu, którą wspólnie prowadzili państwo Marcinkiewiczowie. Pani Zofia śpiewała piosenkę ludową „Pod borem, pod borem…" przy akompaniamencie skrzypiec posłusznych zręcznym rękom jej męża, który gruntowne wykształcenie, w tym również muzyczne, zdobył podczas nauki w Seminarium Nauczycielskim w Nieświeżu. Kolegą ze szkolnej ławy pana Marcinkiewicza był wówczas późniejszy premier w rządzie PRL Piotr Jaroszewicz, z zawodu nauczyciel, a następnie generał i polityk, którego życie zostało przerwane tragiczną śmiercią w 1992 roku. Nauczyciele cerekiewskiej szkoły z pełnym zaangażowaniem starali się przekazywać wiedzę swoim uczniom i wychowywać zgodnie z wzorcami obowiązującymi w przedwojennych szkołach. Nie wszyscy jednak byli w stanie okiełznać pełnych energii chłopców, którzy po zakończonej przerwie bezskutecznie próbowali dostosować się do rygorów umożliwiających przeprowadzenie lekcji. Uczniowie potrafili bezbłędnie określić możliwości poszczególnych nauczycieli w opanowaniu żywiołu energii, który drzemał w młodych istotach wtłoczonych w ramy szkolnego regulaminu. Na niektórych lekcjach panowała atmosfera skupienia, a na sali była cisza „jak makiem zasiał". Na innych zajęcia przebiegały w atmosferze walki bezradnego nauczyciela z rozbrykaną młodzieżą, która pomysły zabawy zrodzone na przerwie skutecznie realizowała w czasie lekcji. Należały do nich lekcje języka rosyjskiego prowadzone przez starszego już nauczyciela, który pamiętał jeszcze czasy panowania cara Mikołaja II. Jego heroiczna walka o możliwość przeprowadzenia zaplanowanej lekcji kończyła się zwykle fiaskiem. Najgorzej było, gdy odwracał się on do tablicy i próbował coś napisać. Wówczas na sali wzmagał się hałas, a nad głowami rozbrykanych uczniów unosiły się papierowe pociski wystrzeliwane za pomocą gumowych wyrzutni w kierunku łysiny piszącego, który w geście bezradnego sprzeciwu wobec nasilających się ataków wypowiadał beznamiętnie „nie bałtati". Niewiele to pomagało, a papierowa amunicja ze zdwojoną siłą atakowała mówiącego te słowa. Wówczas biegł

on do tylnych ławek, próbując uspokoić rozbrykanych uczniów. Korzystali z tego siedzący bliżej tablicy, którzy wcielali w życie nowe pomysły nękania bezradnego nauczyciela. Polegały one między innymi na chlapaniu jego marynarki za pomocą piór maczanych w kałamarzach umocowanych w każdej ławce. Oczywiście tego rodzaju ekscesy nie kończyły się bezkarnie, a negatywni bohaterowie gorszących zdarzeń byli karani metodami nieznanymi we współczesnych szkołach, ale praktykowanymi w tamtych czasach, o czym będzie jeszcze mowa. Brak zainteresowania nauką języka rosyjskiego, którego przejawem były opisane tu ekscesy, był rezultatem niechęci do wielkiego sąsiada ze wschodu oraz systemu, który zapanował w naszym kraju po wojnie. Dziadkowie uczniów, którzy tak ostentacyjnie demonstrowali swoją niechęć do nauki języka rosyjskiego, żyli w czasach, kiedy był on językiem urzędowym, a obowiązek jego poznania odbierano jako formę rusyfikacji polskiego społeczeństwa. Stąd w czasach powojennych wróciły obawy językowego zniewolenia sprzed lat. Pamiętam wydarzenia, które miały miejsce w naszej szkole w październiku 1956 roku. W Polsce był to gorący okres. Z więzienia wypuszczono Władysława Gomułkę, który stanął na czele odnowy politycznej kraju, zwanej gomułkowską odwilżą lub wprost Polskim Październikiem. Zmiana sposobu sprawowania władzy przez rządzącą partię miała zaowocować zwiększeniem swobód obywatelskich, liberalizacją gospodarki i odejściem od stalinowskich reguł funkcjonowania państwa. Pamiętam widok ul. Żeromskiego 24 października 1956 w Radomiu. Było ciepłe słoneczne popołudnie. Na głównej ulicy miasta spacerowali tłumnie podekscytowani mieszkańcy miasta. Okna większości mieszkań były szeroko otwarte. Z ich wnętrza z nastawionych na cały regulator odbiorników radiowych nad głowami spacerujących unosiły się donośne słowa Władysława Gomułki, który w Warszawie na Placu Defilad przemawiał do rozentuzjazmowanego tłumu. W kierunku stolicy podążały wojska radzieckie, które miały zdusić na wzór węgierski wznieconą w Polsce rewolucję. Na szczęście do krwawej konfrontacji nie doszło i wielki brat zgodził się na złagodzenie reguł funkcjonowania państwa, które za zgodą wielkich mocarstw zachodnich zostało podporządkowane Związkowi Radzieckiemu. Atmosfera politycznej euforii ogarnęła również młode pokolenie. Wyrazem tego były wydarzenia, które w tym samym czasie miały miejsce w mojej szkole. Jako uczniowie najstarszej, siódmej klasy postanowiliśmy w spontaniczny sposób zademonstrować swoje poparcie dla zachodzących w Polsce politycznych zmian i w tym celu wykorzystać lekcje języka rosyjskiego: w momencie wejścia do klasy nauczycielki wszyscy uczniowie stanęli na ławkach z okrzykiem „precz z językiem rosyjskim". Przerażona rusycystka rozpoczęła jałowe negocjacje zakończone jej wyjściem z klasy i interwencją kierownika szkoły. Sprawa była poważna: przeprowadzono dochodzenie i poszukano prowodyrów, do szkoły wezwano rodziców. Uznano, że jednym z inicjatorów tego protestu byłem ja. Ze szkoły mnie jednak nie wy-

rzucono, a całe zamieszanie związane z tym wydarzeniem rozeszło się jakoś po kościach. W późniejszych latach z większym zapałem uczyłem się tego języka, a poezja rosyjskich poetów coraz bardziej ujmowała mnie swoim pięknem i specyficznym wschodnim romantyzmem. Opisane tu wydarzenie miało swoje głębokie uzasadnienie w realiach funkcjonowania ówczesnego szkolnictwa, które było poddane politycznym rygorom władzy podporządkowanej radzieckim mocodawcom. W szkole polityka była wszechobecna, a związane z nią rytuały przybierały często trudne do wyobrażenia dzisiaj formy. Jedną z nich było czczenie pamięci zmarłych przywódców państwa. Najbardziej utkwił mi w pamięci dzień pogrzebu Bolesława Bieruta, który w dość tajemniczych okolicznościach zmarł podczas pobytu w Moskwie. W Polsce ogłoszono żałobę narodową, a w dniu 16 marca 1956 roku odbył się pogrzeb zmarłego. Relacja z jego przebiegu była transmitowana przez radio, a młodzież szkolna obowiązkowo została zmuszona do jej wysłuchania. Młodzież wraz z nauczycielami, przez cały czas stojąc w największej sali cerekiewskiej szkoły, słuchała transmisji pogrzebowej uroczystości w Warszawie. Trwało to wiele godzin. Młodsze dzieci nie wytrzymywały tego wysiłku i osuwały się na podłogę przy dźwiękach wydobywającego się z radia marki „Stolica" marsza żałobnego Chopina. Jak to dobrze, że obecnie nie trzeba już w ten sposób czcić przywódców naszego państwa.

Szkoła w tamtych czasach w niczym nie przypominała dzisiejszych placówek edukacyjnych. Nauczyciele byli obdarzani większym szacunkiem tak przez uczniów, jak i przez ich rodziców. Posiadali więcej możliwości wpływania na zachowania uczniów, między innymi przez stosowanie różnego rodzaju kar, w tym również kar cielesnych. Asortyment kar był dość różnorodny. Najłagodniejszy ich zestaw ograniczał się do siedzenia w „oślej ławce" lub w „kozie". Ośla ławka była usytuowana najbliżej stołu, przy którym siedział nauczyciel prowadzący lekcje. Przesadzony do niej uczeń, który przeszkadzał w prowadzeniu lekcji, był zmuszony do zachowania wewnętrznego spokoju i skupienia swojej uwagi na treściach przekazywanych przez nauczyciela. Koza była już bardziej dotkliwa, gdyż polegała na konieczności przymusowego pozostania w szkole po zakończeniu lekcji. Ukarany uczeń pod okiem nauczyciela najczęściej odrabiał w tym czasie zadania domowe i z opóźnieniem docierał do domu, co niepokoiło rodziców i wymagało wyjaśnienia ze strony ucznia przyczyn spóźnionego powrotu. Zwykle efektem składanych przez niego zeznań było wymierzenie dodatkowej kary rodzicielskiej. Uciążliwość kozy była szczególnie dotkliwa w miesiącach jesienno-zimowych, gdyż wiązała się z koniecznością samotnego powrotu w ciemności przez las dzielący Cerekiew od Milejowic. Uczniowie uczęszczający na drugą zmianę odczuwali grozę powrotów w niezwykłej scenerii, którą aranżowali ich starsi koledzy. Ustawiali oni w lesie dynie imitujące ludzkie głowy, a w środku tych dyni zapalali świeczki. Dla powracających ze szkoły maluchów widok był

przerażający, potęgowany jeszcze tajemniczymi odgłosami „duchów", czyli osób urządzających te spektakle. Jak wynika z tej opowieści, tzw. halloween nie jest tylko przejawem amerykańskiej kultury. Wykorzystanie dyni do celów umożliwiających wkroczenie w świat duchów było znane u nas wiele dziesiątków lat temu. W zbiorze bardziej dotkliwych kar było również stanie lub klęczenie w kącie sali lekcyjnej, podkręcanie uszu lub uderzenie wewnętrznej strony dłoni specjalnym patykiem. Kary te były stosowane rzadko, a ich aplikacja dotyczyła dużych przewinień, nie tylko naruszających panujący w szkole porządek, ale i stwarzających zagrożenie dla bezpieczeństwa uczniów. Stanie w kącie dotykało osobiście winowajcę, ale jeszcze bardziej, i to dosłownie, bolało klęczenie na grochu. Duży postrach wśród chłopców wywoływały tzw. łapy, czyli uderzenie dłoni patykiem, który w normalnych sytuacjach pełnił funkcję wskaźnika do map. Karę tę wymierzał sam pan kierownik szkoły. Skruszony winowajca podawał dłoń, a tę przytrzymywał egzekutor, czyli najwyższa władza w szkole. Uderzenia padały na wewnętrzną stronę dłoni obwinionego w ilości proporcjonalnej do stopnia przewinienia. Nie kryję, że raz doświadczyłem takiego dość bolesnego wymiaru kary, którego odczuwanie łagodziliśmy wcześniejszym smarowaniem wewnętrznej strony dłoni cebulą. Pomysłowość uczniów w urządzaniu niebezpiecznych zabaw, psikusów i w zakłócaniu obowiązującego w szkole porządku nie miała granic. Stąd też wielu zdesperowanych nauczycieli, kiedy nie pomagała perswazja, ratowało się uderzeniami drewnianych piórników, a doprowadzony do szewskiej pasji ksiądz proboszcz nauczający religii stawiał do pionu niesfornych chłopaków uderzeniami dłonią w poduszki marynarek, z których unosiły się tumany kurzu. Dawało to dodatkowy wręcz teatralny efekt próby okiełznania rozbrykanych uczniów, którzy całkowicie zapominali o grzesznym charakterze swoich zachowań. Siłą pomocniczą w egzekwowaniu kar za przewinienia popełnione w czasie przerwy była woźna – pani Owczarkowa, osoba o pięknej twarzy, której smukła sylwetka otulona kwiecistą chustą ożywiała szarość szkolnych korytarzy. W czasie przerwy w zręczny sposób nalewała ona do garnuszków z dużego kotła czarną zbożową kawę, a w razie potrzeby skutecznie rozdawała razy mokrą ścierką tym uczniom, do których nie docierały jej prośby o właściwe zachowanie. W dzisiejszych czasach, kiedy stosowanie kar cielesnych jako środka dyscyplinującego zachowania uczniów jest prawnie zabronione, moje opowieści mogą budzić dezaprobatę bądź oburzenie wobec stosowanych wówczas metod wychowawczych. Ich użycie było wyrazem pewnej bezsilności nauczycieli wobec uczniów, ale odbywało się za cichym przyzwoleniem rodziców. Dowiadując się o występkach swoich pociech, dokładali jeszcze często swój wymiar kary fizycznej, która umacniała słuszność szkolnego wyroku i utrwalała pamięć o niegodziwości popełnionego przewinienia. Po latach przykre doznania związane ze stosowaniem kar cielesnych w szkole zostały zapomniane, a wielu moich szkol-

nych rówieśników uważało, że dzięki nim wyrośli na tzw. porządnych ludzi. Szkoła lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku bardzo różniła się od dzisiejszej szkolnej rzeczywistości. Podstawowym środkiem przekazu wiedzy było żywe słowo nauczyciela i czytanie książek. Nie było telewizji w powszechnym użyciu, komputerów, smartfonów i wszelkich cudów współczesnej techniki. O narkotykach i innych środkach psychoaktywnych nikt nie słyszał. Nie było też wulgaryzacji języka, która dzisiaj drażni swoją wszechobecnością nie tylko wśród dorosłych, ale również w gronie dzieci i młodzieży. W szkolnej edukacji, zwłaszcza na poziomie podstawowym, wiedza o seksualności człowieka była nieobecna. Był to temat tabu, nie tylko w szkole, ale również w domu. W czasach mojego dzieciństwa o seksie się nie mówiło. Seks był jednak praktykowany w dużym przedziale wieku, bez względu na skutki tej dość przyjemnej formy ludzkiej aktywności. W domu mówienie z rodzicami „o tych sprawach" było naruszeniem obowiązujących wówczas konwenansów. Pamiętam, kiedy jako kilkuletnie dziecko próbowałem moją mamę podpytać o szczegóły damsko-męskich kontaktów intymnych. Zbyła mnie wówczas odpowiedzią: „jak będziesz starszy, to się dowiesz, a w ogóle to nie zaprzątaj sobie tym głowy". Zawiedziony, szukałem innych źródeł pozyskania cennej wiedzy. Na szkołę też nie można było liczyć, gdyż dla nauczycieli był to temat tak niebezpieczny, jak i kłopotliwy, samo zaś jego poruszenie przypominało stąpanie po polu minowym. Ksiądz wykładający religię aktywność seksualną pochwalał tylko w celach prokreacji. Inne cele według niego były wynikiem knowań szatana. Na wszelki wypadek radził się trzymać z daleka od kobiet, bo to źródło grzechu i wszelkich męskich nieszczęść… Po tak kategorycznym werdykcie podawał przykład Adama, który skuszony przez Ewę musiał opuścić bramy raju. W tej sytuacji jedynym ratunkiem dla zaspokojenia chłopięcej ciekawości stało się podwórko, bo o internecie w tamtych czasach nikomu nawet się nie śniło. Zarówno podwórko, jak i współcześnie internet nie są najlepszą formą zdobywania wiedzy na tak subtelny i ważny temat w życiu człowieka. Korzystanie z podwórkowej edukacji też wiązało się z pewnym ryzykiem i możliwością bezlitosnej kompromitacji w oczach starszych kolegów. Próbując dowiedzieć się nieco o ludzkiej seksualności, nawiązałem w związku z tym rozmowę z synami sąsiada Jędrzejewskiego. Bardzo chętnie podjęli się tego bądź co bądź odpowiedzialnego zadania. Zanim przystąpili do udzielenia szczegółowych wyjaśnień i instrukcji, chytrze postanowili sprawdzić stan mojego rozeznania w obszarze podstawowych zagadnień dotyczących początków ludzkiej egzystencji na tym bożym świecie, zadając mi fundamentalne pytanie: „a skąd ty się wziąłeś?" Pytanie mnie poraziło, po prostu nie znałem na nie odpowiedzi. Chcąc wybrnąć z opresji, odpaliłem naiwnie i bez zastanowienia: „tata znosił gałganki, a mama mnie szyła". No i zaczęło się. Za swoją niewiedzę musiałem później zapłacić ogromną cenę: wiadomość szybko rozeszła się wśród starszych kolegów,

wywołując powszechną wesołość i chęć dokuczenia ofierze krawieckiej działalności rodziców. Wówczas nie znałem jeszcze powiedzenia poety Antoniego Słonimskiego, który stwierdził, że „dzieci są zmorą ludzkości"… W tamtym czasie treść tego sformułowania miała pełne pokrycie w rzeczywistości. Niech ten komiczny przykład potwierdzi uciążliwość i negatywne następstwa luki wiedzy w każdej dziedzinie. Jej negatywne skutki w moim przypadku były stosunkowo niewielkie, ale wiele dziewcząt w tamtych czasach za stan niewiedzy i praktykowaną rozrzutność cielesną zapłaciło znacznie większą cenę. Dzisiaj, zgodnie z popularnym powiedzeniem, jajko jest często mądrzejsze od kury, a kwestia ważnej, intymnej sfery życia człowieka jest traktowana marginalnie, stając się przedmiotem sporów różnych sił społecznych i ugrupowań politycznych. Wciąż rodzą się niechciane dzieci, a nieodpowiedzialne i zdesperowane kobiety pozbawiają je życia, skazując siebie na ogólne potępienie i więzienną poniewierkę. A mamy przecież XXI wiek i treści Gabrieli Zapolskiej są wciąż aktualne.

Atmosfera w szkole podstawowej była dość kameralna. Nauczyciele wiedzieli o uczniach wszystko. Przeżywali ich sukcesy i porażki. Doświadczyłem tego na własnej skórze. Z nauką nie miałem większych trudności. Należałem do klasowej czołówki i zwykle na koniec roku szkolnego otrzymywałem nagrody książkowe za wyniki w nauce. Świadectwa z tzw. paskiem nie były wówczas znane. Lubiłem się uczyć, ale w piątej i szóstej klasie miałem przejściowe osłabienie zapału i na półrocze uzyskałem dwie oceny niedostateczne z ważnych przedmiotów. Ten fakt, będący pewnego rodzaju szkolną sensacją, był tak komentowany przez moich nauczycieli: „taki dobry uczeń, a tak się opuścił". Moje przejściowe niepowodzenia szkolne przeżywała też moja mama, którą próbował pocieszać ojciec przykrym dla mnie stwierdzeniem: „nie będzie się uczył, to pójdzie do łopaty". To wszystko tak na mnie podziałało, że na koniec roku odzyskałem utraconą czołową pozycję w klasie. Moja przygoda ze szkołą podstawową obfitowała również w liczne atrakcje w postaci wycieczek i uczestnictwa w spektaklach teatralnych oraz projekcjach filmów. Pobliski Radom kusił licznymi atrakcjami kulturalnymi. Mile wspominam wycieczki szkolne. Dzięki nim mogłem zobaczyć budujący się Pałac Kultury w Warszawie, otoczony zniszczonymi domami, zrujnowaną gdańską starówkę, stary Kraków i bardziej naturalne, mniej zurbanizowane Zakopane. Dawały one okazję nie tylko do poznania nowych miejsc i zabytków, ale również ludzi, którzy, doświadczeni wojennymi przeżyciami, szukali kontaktu z młodym pokoleniem. Chcieli przekazać mu swoje relacje o zdarzeniach, które dla nich były tragiczne, a dla nas młodych stanowiły żywą ilustrację historii. Wciąż mam w pamięci pierwszą wycieczkę do Krakowa, nie tylko ze względu na ogrom znajdujących się w nim zabytków i niepowtarzalną jego atmosferę, ale z powodu zdarzenia, które miało miejsce w jednym z krakowskich barów, gdzie zmęczeni wycieczkowicze zostali poczęstowani skromnym obiadem. Do stolika,

Fot. 51. Na wycieczce w Gdyni, czerwiec 1956 rok
(wśród stojących: autor czwarty od lewej strony)

Źródło: archiwum autora.

przy którym siedziałem wraz z ucztującymi kolegami, w pewnym momencie przysiadła się kobieta w czerni, w wieku około pięćdziesiątki. Wcześniej uprzejmie zapytała, skąd jesteśmy i czy może nam towarzyszyć. Nieco zaskoczeni, ale jednak ciekawi powodów obecności w naszym gronie nieznajomej, zaczęliśmy słuchać jej przejmującej opowieści. Otóż pani ta powiedziała, że z pochodzenia jest warszawianką, a do Krakowa przyjechała tuż po wojnie, aby znaleźć dach nad głową i być jak najdalej od miejsca jej osobistej tragedii. Nasza rozmówczyni bowiem straciła w powstaniu warszawskim dwóch synów. Jeden z nich miał 15 lat, a drugi był o rok starszy. Opowiadała o piekle, które przeżyła w walczącej Warszawie, ale najwięcej o swoich synach. Z przejęciem mówiła o swojej nowej pasji, którą jest przyglądanie się młodym chłopcom ze szkolnych wycieczek i nawiązywanie rozmowy z tymi, którzy przypominają jej nieżyjących synów. Traktowała to zajęcie jako pewną rekompensatę za niepowetowaną stratę najdroższych jej osób. Po wysłuchaniu nieznajomej pani zrobiło się nam smutno. Poczuliśmy się jednak w pewnym stopniu wyróżnieni, nie tylko ze względu na podobieństwo do młodych bohaterów tragicznej opowieści, ale również z powodu możliwości obcowania z żywymi przypadkami historii.

Źródłem szczególnych przeżyć w szkole były imprezy harcerskie. Należałem bowiem do tzw. czerwonego harcerstwa – innego wówczas nie było. Wspominam to z pewnym zażenowaniem, bo w obecnych czasach może to być powód do piętnowania tych, którym przydarzyło się żyć w czasach jedynie słusznego ustroju.

W ówczesnym harcerstwie nic strasznego się nie działo. Jeździliśmy na obozy. Uczestniczyliśmy w zbiórkach i zabawach. W mojej szkole organizację harcerską prowadziła polonistka pani Barbara Wrzesińska, która pewnego dnia nie pojawiła się na zajęciach. Po pewnym czasie gruchnęła wiadomość, że nasza druhna wybrała życie zakonne w zgromadzeniu o zaostrzonej regule. Znalazła się w jednym z klasztorów krakowskich. Dla jej byłych uczniów szczególnie wstrząsającą wiadomością było to, że nasza druhna i zarazem pani od polskiego musiała się oswajać ze śmiercią, śpiąc w trumnie. Jedynym moim przykrym wspomnieniem związanym z harcerstwem był pobyt na obozie w Bliżynie: nocne warty i podchody oraz wymyślne kary, jakie stosowano tam nawet za najdrobniejsze przewinienia, spowodowały, że pobyt na nim wspominam jak udział w karnej kompanii.

Fot. 52. Wręczenie nagród na zakończenie roku szkolnego przez Jana Marcinkiewicza, kierownika Publicznej Szkoły Powszechnej w Cerekwi, czerwiec 1955 rok

Źródło: archiwum autora.

Moja siedmioletnia edukacja w Publicznej Szkole Powszechnej w Cerekwi zakończyła się 24 czerwca 1957 roku. W tym ciepłym czerwcowym dniu kierownik szkoły pan Jan Marcinkiewicz wręczył mi świadectwo jej ukończenia. Była to przepustka do dalszej nauki w szkole średniej. Wieczorem w siedzibie szkoły odbyło się przyjęcie dla jej absolwentów. Uczestniczyli w nim również nauczyciele i niektórzy rodzice. Było uroczyście, przy akompaniamencie wyładowań atmosferycznych i zastawionych stołach oświetlonych świecami wspomnieniom i planom na przyszłość nie było końca. Ze wzruszeniem i nadzieją na kontynuację

Fot. 53. Publiczna Szkoła Podstawowa w Cerekwi (stan obecny)

Źródło: archiwum autora.

edukacyjnej przygody żegnałem koleżanki i kolegów, wspaniałych nauczycieli i mury starego dworu, w których dane mi było poznać smak wiedzy i przeżyć niezapomniane chwile.

Po przeszło 60 latach, 18 października 2018 roku odżyły wspomnienia z tamtego wieczora, jak i siedmiu wcześniejszych lat. Szkoła obchodziła 90-lecie. Wprawdzie nie było już scenerii wiejskiego dworku, gdyż w 1959 roku jak i w latach późniejszych zmodernizowano i rozbudowano siedzibę szkoły, jednak dzięki ogromnemu zaangażowaniu jej dyrekcji, zwłaszcza pani dyrektor Elżbiety Kumięgi, grona pedagogicznego, uczniów i miejscowych władz godnie uczczono rocznicę jej istnienia. Były nie tylko okolicznościowe przemówienia i wzruszające wspomnienia, ale również zachwycająca część artystyczna w wykonaniu utalentowanych uczniów. Młodzież z dużym poczuciem humoru przedstawiła historię szkoły i sceny z jej codziennego życia w czasach przedwojennych, jak i w okresie realnego socjalizmu. Na tej pełnej wzruszeń uroczystości byli nie tylko dawni absolwenci i dyrektorzy szkoły, ale również przedstawiciele miejscowych władz. Wśród absolwentów znalazły się zacne osoby, których twórczy dorobek jest znany nie tylko w kraju, ale i za granicą. Mam tu na myśli poetę Michała Sobola urodzonego w Cerekwi, autora wielu książek, laureata nagród literackich i poetyckich, między innymi Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta, którą otrzymał w 2016 roku zgodnie ze wskazaniem szwedzkiego poety Larsa Gustaffsona. Żałuję bardzo, że przy okazji tej jubileuszowej uroczy-

stości nie miałem okazji porozmawiać z tym wybitnym poetą i filozofem o jego szkolnych przeżyciach. Pozostały tylko domysły inspirowane treścią wiersza „Szkoły". Jego autor odkrywa w nim istotę tak powszechnej organizacji, z którą każdy z nas miał do czynienia:

„Jedynie szkoły nie udają, czym są naprawdę. To w nich
kształtujemy nasze umysły i ciała. Strugi, zdzieraki,
dłuta, z których korzystamy na pracach ręcznych,
są esencją szkół. To tam z kilku desek powstaje
skrzynka, w której śpiewa ptak. Gorzkie przypalone
mleko wypijane na długiej przerwie i czerstwe
bułki tylko w połowie definiują szkołę. W istocie
nie ma w niej niczego poza niezbędnym wyposażeniem".

Wśród znakomitych gości, a zarazem absolwentów jubilatki znaleźli się: Marzenna Nosowska – sekretarz gminy w Zakrzewie, Elżbieta Malecińska – kierownik Domu Ludowego w Cerekwi oraz Wojciech Pysiak – członek sieci dziedzictwa kulinarnego Mazowsza i producent produktów tradycyjnych. Znakiem współczesnych czasów była obecność na jubileuszowych uroczystościach przedstawicieli rodziny dziedzica Wietrzykowskiego, którego spadkobiercy w 1927 roku, po parcelacji dobór ziemskich, podarowali miejscowej ludności dawny budynek dworu na siedzibę szkoły w Cerekwi. Za czasów tzw. komuny uczestnictwo tak zacnych osób w jubileuszowej uroczystości byłoby nie do pomyślenia. Mój udział w obchodach 90-lecia Publicznej Szkoły Podstawowej w Cerekwi zamyka ciąg wspomnień o latach spędzonych w jej murach, o pierwszej przygodzie z edukacją, która była również przepustką do dalszej nauki w szkole średniej, tj. Technikum Przemysłu Skórzanego w Radomiu.

Wybór tej szkoły był podyktowany względami pragmatycznymi, gdyż jej ukończenie dawało konkretny zawód i pozwalało młodzieży z biedniejszych rodzin na szybkie usamodzielnienie się. Profil tego technikum wpisywał się w tradycje przemysłowe Radomia, gdzie garbarstwo rozwijało się bardzo dynamicznie od niepamiętnych czasów. Szczególnie ożywiony rozwój tej dziedziny wytwórczości miał miejsce w XIX wieku. To w tym czasie powstały garbarnie: Szmelki Adlera (początek XIX wieku), Samuela Adlera (1889 r.), Schniersteinów (1818), Ludwika Karscha (1833), Teodora Karscha (1868). Technikum Skórzane w Radomiu wywodziło się z przedwojennej Średniej Szkoły Chemiczno-Garbarskiej, która powstała w 1927 roku. Było kuźnią kadr dla przemysłu skórzanego nie tylko w Radomiu, ale również w wielu innych zakładach w kraju. Transformacja ustrojowa rozpoczęta w 1989 roku i podążające za nią nieustanne zmiany w szkolnictwie doprowadziły do likwidacji mojej szkoły. Pozostały jednak wspomnienia z pięciu lat nauki. Poczesne miejsce zajmują w nich nauczyciele, któ-

rzy dali mi wiedzę i ukształtowali sposób postrzegania świata. Większość z nich miała piękną patriotyczną przeszłość związaną z walką o niepodległość podczas niemieckiej okupacji, o której ze względów politycznych nie mogli mówić. Dopiero po 1989 roku mogłem dowiedzieć się o ich zasługach dla naszej ojczyzny.

W czasach mojej nauki dyrektorem szkoły był Stefan Kielich, przedwojenny nauczyciel, działacz społeczny, organizator oświaty. Walczył w AK i prowadził tajne nauczanie. Za swoją działalność podczas niemieckiej okupacji został wywieziony do obozów koncentracyjnych Gross-Rosen i Bergen-Belsen. Był głównym autorem sukcesów inwestycyjnych mojej szkoły i jej dynamicznego rozwoju. Na co dzień był mało widoczny dla uczniów, ale imponujące efekty jego ogromnej aktywności na rzecz rozwoju szkoły były dostrzegalne na każdym kroku. Nad wartkim nurtem szkolnego życia czuwała pani Barbara Perygowa. Pilnowała w sposób nieustępliwy obowiązujących w szkole rygorów i konsekwentnie kontrolowała ich respektowanie tak przez uczniów, jak i przez nauczycieli. Była absolwentką Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Uczyła mnie matematyki i to w sposób budzący zainteresowanie przedmiotem, który nie należał do moich ulubionych. Miała ogromne talenty organizatorskie, które pozwoliły jej w późniejszym okresie pełnić stanowisko dyrektorskie w innych radomskich szkołach, między innymi w Technikum Mechanicznym i Technikum Ekonomicznym. Szczególną rolę w życiu każdego ucznia pełni wychowawca klasy. Jest on przewodnikiem ucznia w drodze do edukacyjnego sukcesu. Pierwszym z nich w mojej radomskiej szkole był mgr Ryszard Włodarczyk, świeżo upieczony absolwent AWF-u. Jego nienaganna sylwetka i elegancja stroju budziły podziw i zachęcały do codziennego wysiłku nad ukształtowaniem modelowej sylwetki. Dla swoich podopiecznych był bardziej życzliwym opiekunem niż srogim nadzorcą. Później funkcję tę pełnił prof. Kazimierz Kwapisiewicz, gruntownie wykształcony nauczyciel, który potrafił w atrakcyjny sposób zainteresować uczniów historią i w sposób obiektywny przekazywać treści, które nie zawsze były zgodne z obowiązującą linią ówczesnych władz. Na lekcjach wychowawczych zwracał szczególną uwagę na przestrzeganie dobrych manier i kulturę życia codziennego. Szkoła w tamtych czasach nie miała takich problemów, które obecnie nękają placówki edukacyjne. Nikt wówczas nie słyszał o narkotykach czy dopalaczach. Rzadko zdarzały się konflikty między uczniami, w których dochodziło do przemocy fizycznej. Tak uczniowie, jak i ich rodzice czuli respekt przed nauczycielami. Ich autorytet był niepodważalny. To oni byli stroną dominującą w procesie edukacyjnym i wychowawczym. Istniał też bardzo rozbudowany system zajęć pozalekcyjnych, który pozwalał rozwijać różne zainteresowania uczniów. W mojej szkole było kółko teatralne, działał chór i zespoły sportowe. Pomimo braku aktorskich talentów próbowałem swoich sił na deskach amatorskiego szkolnego zespołu teatralnego, którym kierowała pani prof. Irena Bielawska, koleżanka

mojej mamy z czasów edukacji w Żeńskim Seminarium Nauczycielskim, które mieściło się przy obecnej ul. Malczewskiego 29. Dzięki inicjatywie pani prof. Bielawskiej odegrałem na deskach Teatru im. Stefana Żeromskiego epizodyczną rolę w sztuce „Stara Baśń", której akcja została oparta na znanej powieści Józefa Kraszewskiego. W mojej szkole można było wykorzystywać również swoje umiejętności wokalne pod kierunkiem pani prof. Heleny Cibor, która była też koleżanką mojej mamy z czasów szkolnych i prowadziła Międzyszkolny Chór Mieszany, odnoszący sukcesy nie tylko w kraju, ale i za granicą. Ja oczywiście z braku czasu i talentów wokalnych nie występowałem w tym chórze. Dyrekcja Technikum Skórzanego starała się o wszechstronne wykształcenie swoich uczniów, również w tak subtelnej i intymnej dziedzinie, jaką jest wychowanie seksualne młodego człowieka. Nie było wówczas przedmiotu o nazwie „przysposobienie do życia w rodzinie". W zamian były zorganizowane formy edukacji w tym zakresie. Odbywały się zajęcia z tej dziedziny, nie prowadzili ich jednak nauczyciele, lecz zaproszeni przez dyrekcję szkoły lekarze. Pamiętam jedno z takich spotkań, które odbyło się w ogromnej auli szkoły przy ul. Słowackiego 17, gdzie przed wojną była siedziba Męskiego Seminarium Nauczycielskiego. Miałem wówczas 15 lat. Na sali znajdowali się uczniowie ze wszystkich klas, bez obecności nauczycieli. Spotkanie prowadził lekarz w średnim wieku. Po krótkim wprowadzeniu, w którym była mowa o życiu seksualnym człowieka, przeszedł do konkretów, prosząc o pytania. Ku mojemu zaskoczeniu został zasypany ich gradem. Większość z nich dotyczyła technicznych aspektów współżycia seksualnego kobiety i mężczyzny. O wielu z nich nie miałem zielonego pojęcia. Na twarzy prowadzącego spotkanie rysowało się wrażenie pewnego zażenowania i zaskoczenia dużym doświadczeniem pytających. Niektórzy młodzi uczestnicy spotkania pewnie bali się nawet pomyśleć o kwestiach, które były poruszane przez ich bardziej odważnych i posiadających rozległą praktykę kolegów. Kiedy uczniowie z wypiekami na twarzy opuszczali miejsce spotkania, do sali wkroczyli nauczyciele ciekawi jego przebiegu. Poraziła ich relacja prelegenta. Niektórzy pod wpływem tego, co usłyszeli, wydali orzeczenie „w dzisiejszych czasach jajo jest mądrzejsze od kury". Działo się to ponad 60 lat temu. Wtedy nikt nie pytał o zdanie rodziców, a w szkole edukacja seksualna była bardziej profesjonalna niż obecnie. Dla tamtych i obecnych czasów wspólne jest to, że skarbnicą wiedzy o tak ważnej stronie ludzkiego życia są wciąż nieoficjalne, pokątne i podwórkowe źródła, wzbogacone aktualnie o różnego rodzaju filmiki dostępne w internecie.

Wspominając moich „misjonarzy" wiedzy z radomskiej szkoły, nie sposób uwiecznić wszystkich na stronach tej książki. Czytelnicy pewnie wybaczą mi to, że ograniczę się do tych postaci, które w mojej pamięci pozostawiły niezatarte wspomnienia, miały szczególny wpływ na moją edukację i dalsze życiowe losy lub których zasługi w obronie naszej ojczyzny podczas niemieckiej okupacji są

godne upamiętnienia. W tamtych czasach w szkole o tym się nie mówiło, gdyż działalność zbrojna żołnierzy AK lub tych, którzy walczyli po stronie zachodnich aliantów, była pomijana milczeniem. Ówczesne władze, będące pod dominującym wpływem wielkiego brata ze wschodu, uznawały, że ich zbrojna walka przeciwko niemieckim okupantom była wrogim aktem wobec tych, którzy narzucili Polsce socjalistyczny porządek. Dopiero odzyskanie wolności w 1989 roku pozwoliło na uczczenie bohaterskich czynów wszystkich, którzy walczyli o wolność naszej ojczyzny podczas niemieckiej okupacji. W czasach radomskiej edukacji nie miałem pojęcia, że na lekcjach stali przede mną prawdziwi bohaterowie, którzy bezinteresownie narażali swoje życie i oficjalnie nie mogli nam o tym powiedzieć. Jak dużo utraciliśmy przez to wymuszone milczenie. Odebrano nam szansę uczestnictwa w żywych lekcjach historii. Spróbuję zatem na podstawie strzępków swojej wiedzy napisać o tych nauczycielach, którzy zasługują na miano bohaterów walczących o wolność naszego kraju. W tym zacnym gronie znaleźli się profesorowie: Maria Pietrzyk, Bolesław Szczykutowicz, Mieczysław Pietrzykowski, Tadeusz Persz i Zdzisław Klepaczewski. Wymieniona tu grupa nauczycieli była na pierwszym froncie walki zbrojnej z niemieckim okupantem. Polonistka, pani prof. Maria Pietrzyk, była żołnierką 25. Pułku Piechoty AK Ziemi Piotrkowskiej. Pan inż. Bolesław Szczykutowicz, który uczył mnie maszynoznawstwa i rysunku technicznego, mimo moich nieszczególnych uzdolnień, walczył w Szarych Szeregach i był Komendantem AK na miasto Radom. Pan prof. Mieczysław Pietrzykowski walczył w kampanii wrześniowej w 1939 roku i przebywał w niewoli w obozie jenieckim oflag Arnswelde. Miał ogromne zasługi w powstaniu Wydziału Chemicznego WSI w Radomiu, a dzięki jego staraniom w 1969 powstał na tej uczelni Wydział Ekonomiczny. Pan prof. Zdzisław Klepaczewski, rodem ze Lwowa, walczył pod dowództwem gen. Andersa pod Monte Casino. W programie nauczania było dużo przedmiotów chemicznych i zawodowych, stąd też w gronie moich nauczycieli znalazło się wielu specjalistów z tej dziedziny, którzy byli znanymi autorami podręczników, a niektórzy z nich wykładowcami Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu, a później Politechniki Radomskiej. Oprócz już wcześniej wymienionych do grona tego należeli profesorowie: Kazimierz Wańkowicz – krewny Melchiora Wańkowicza, Julian Rydzewski, Jerzy Iwanowski i Wacław Woźniakiewicz.

Nauczyciele Technikum Skórzanego nie tylko wyposażyli mnie w ogromny ładunek wiedzy w zakresie nauk ścisłych i przedmiotów ogólnych, ale również umożliwili korzystanie z uroków uczniowskiego życia podczas licznych wycieczek i imprez o charakterze kulturalnym. Szczególnych przeżyć dostarczało mi harcerstwo, z którym zetknąłem się już w Szkole Podstawowej w Cerekwi. Po październikowych przemianach w 1956 roku organizacja harcerska nabrała innego charakteru. Była mniej upolityczniona i u podstaw swojego działania nawią-

Fot. 54. Na wycieczce w Krakowie (autor w ostatnim rzędzie na górze, piąty od lewej strony)

Źródło: archiwum autora.

Fot. 55. Na harcerskim obozie (autor w harcerskiej chuście)

Źródło: archiwum autora.

zywała do dobrych tradycji harcerstwa przedwojennego. Do czynnej działalności powrócili przedwojenni druhowie, którzy przed wojną tworzyli fundamenty radomskiego harcerstwa. Wśród nich był Czesław Gołaszewski, który pięknie

zapisał się na kartach polskiej historii. W 1915 roku wstąpił do harcerstwa. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W latach międzywojennych był współzałożycielem wielu organizacji powiązanych z harcerstwem i wspierających jego statutową działalność. Podczas niemieckiej okupacji współorganizował działalność konspiracyjną Radomskiej Chorągwi Szarych Szeregów. Działał w ZWK/AK pod pseudonimem „Bartek". Po jej zakończeniu kontynuował swoją działalność w harcerskich szeregach, ale tylko do 1948 roku, w którym Urząd Bezpieczeństwa zmusił go do rezygnacji z funkcji komendanta hufca. Ponownie objął ją w 1956 roku, ale na krótko, bo już w 1960 roku zmuszono go do ponownej rezygnacji. Komendant Czesław Gołaszewski pracował w naszej szkole w księgowości, ale każdy wolny czas poświęcał harcerskiej młodzieży. Pamiętam wspólne wyjazdy do pobliskiego Rajca, gdzie odbywały się różne gry, ogniska i zawody umożliwiające zdobywanie harcerskich sprawności i poprawę tężyzny fizycznej. Wspominając tamte czasy, dopiero dzisiaj uświadamiam sobie, jak wiele straciło moje pokolenie przez to, że ograniczano mu korzystanie z doświadczeń prawdziwych patriotów, którzy poświęcali się w walce nie tylko z najeźdźcami, ale i ludźmi wprowadzającymi totalitarny system, zniewalający ludzkie umysły i codzienne życie. Jakże wspaniałe byłyby lekcje wychowawcze i luźne kontakty towarzyskie z nauczycielami, gdyby mogli oni wówczas bez obaw opowiedzieć o swojej walce z wrogami naszej ojczyzny i o przetrwanie w czasach, gdzie zewsząd groziło niebezpieczeństwo i istniała groźba utraty życia. Tamto pokolenie już odeszło. Pozostała po nim pamięć i wdzięczność tych, którzy czerpali od nich nie tylko wiedzę, ale i wskazania dotyczące tego, jak mądrze żyć i pielęgnować najcenniejsze dla człowieka wartości.

Wracając do wątków harcerskiej przygody po odejściu komendanta Gołaszewskiego, należy podkreślić, że jego następca, prof. Mieczysław Szerling, nauczyciel fizyki, z dużym zaangażowaniem kontynuował dzieło swojego poprzednika. Organizował obozy harcerskie i rowerowe wycieczki po całym kraju. To na jednej z nich mogłem po raz pierwszy zobaczyć Dolny Śląsk. Było to w 1960 roku, kiedy z grupą harcerzy dotarłem na „Dziki Zachód", który w rzeczywistości okazał się całkiem przyjazny, a po latał stał się moją życiową przystanią. Wsiedliśmy po zakończeniu roku szkolnego, zabierając ze sobą rowery, do pociągu – jego docelową stacją był Wrocław. Miasto zwiedzaliśmy pobieżnie i ze stolicy Dolnego Śląska rowerami dojechaliśmy przez Jelenią Górę do Zgorzelca. Po drodze spaliśmy w stodole PGR w Kątach Wrocławskich. Tam nas nakarmiono i zaopatrzono w prowiant na dalszą drogę. Po latach kojarzę ten pobyt z dzisiejszymi realiami i częstymi pobytami w tym miasteczku, które przez wiele lat było miejscem zamieszkania mojej córki Joanny Popławskiej, prezeski spółki „Agronova", oraz mojego ukochanego wnuka Aleksandra Malca. Z tego wyjazdu na Dolny Śląsk pozostało mi odczucie zaniedbania i obcości architektury dolnośląskiej wsi,

Fot. 56. W Zgorzelcu przed domem kultury (obok kolega z klasy M. Chodyra), rok 1960

Źródło: archiwum autora.

wspomnienie niepowtarzalnego piękna górskich krajobrazów oraz egzotycznego wyglądu zgorzeleckich ulic upstrzonych siedzącymi przed domami postaciami greckich kobiet w czerni, które wraz z rodzinami musiały uciekać ze swojej ojczyzny rządzonej przez reżim wojskowy. Nigdy nie sądziłem, że tu kiedyś powrócę. Moje drugie przelotne spotkanie z Dolnym Śląskiem i z Wrocławiem miało miejsce rok później, przy okazji specjalistycznej wycieczki po zakładach garbarskich tego regionu. Podczas tego wyjazdu mogłem zachwycać się urokami Ostrowa Tumskiego i poznać mroczną atmosferę leśnickiej garbarni, w której obecnie zamiast przepastnych kadzi z wyprawionymi skórami znajdują się luksusowa ekspozycja sukien ślubnych i sale weselnych uciech.

Dzięki druhowi Szerlingowi, który organizował rowerowe eskapady, mogłem zobaczyć Mazury i poznać uroki morza w Jelitkowie. Jeszcze dzisiaj, pomimo upływu lat, słyszę usypiający szum fal, które można było podziwiać, leżąc w namiotach rozstawionych na plaży spokojnej miejscowości będącej dzisiaj tłocznym kurortem. Jak się później dowiedziałem, osobiste problemy nie pozwoliły druhowi Szerlingowi na prowadzenie harcerskiej działalności, której był pasjonatem. W gronie nauczycieli, których darzyłem dużą sympatią, był również prof. Jan Gruszka (Gruszecki), pełen elegancji i twórczych inwencji, które u uczniów budziły zainteresowanie literaturą i pozwalały na wyrażanie poprawnym językiem swoich myśli i sądów o otaczającej rzeczywistości. To dzięki

Fot. 57. Na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu ze szkolną wycieczką w 1961 roku (autor w środku, czwarty z lewej strony)

Źródło: archiwum autora.

panu prof. Gruszeckiemu mogłem rozwinąć swoje humanistyczne zamiłowania i sprawniej posługiwać się naszym pięknym językiem w późniejszych publikacjach naukowych. Kiedy czas mojej średniej szkoły zbliżał się ku końcowi i przyszła pora na wybór drogi dalszej edukacji, na horyzoncie życiowego wsparcia pojawili się niezawodni nauczyciele, a ściśle biorąc nauczycielki w osobach prof. Janiny Prygiel (obecnie Janiny Noskowej), prof. Lucyny Ostrowskiej i prof. Marii Babiarz. Każda z wymienionych osób odegrała inną rolę w kreowaniu mojej dalszej drogi edukacyjnego rozwoju. Kluczową rolę o znaczeniu strategicznym odegrała pani prof. Janina Prygiel, gdyż wcześnie odkryła moje zainteresowania związane z naukami ekonomicznymi. Wykładała w naszej szkole ekonomikę przedsiębiorstwa i była absolwentką Wydziału Ekonomiki Przedsiębiorstwa Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu. Ta mądra i pełna uroku osobistego nauczycielka zauważyła moje zainteresowania problematyką funkcjonowania przedsiębiorstwa i poradziła skierowanie dalszej edukacyjnej drogi w obszary wiedzy dotyczącej świata organizacji. Tak też uczyniłem i postanowiłem zdawać egzamin wstępny na Uniwersytet Łódzki na kierunek: organizacja i socjologia pracy. Był to pierwszy nabór na ten kierunek. Cieszył się on ogromnym zainteresowaniem maturzystów, bo nie zdawało się egzaminu z matematyki, tylko

z języka polskiego i języka obcego. Program z matematyki w mojej szkole był w porównaniu z liceum ogólnokształcącym bardziej okrojony i dlatego miałem obawy, czy poradzę sobie na kierunku studiów, na którym matematyka obowiązywała już na egzaminie wstępnym. Wybór którejś z warszawskich uczelni był poza zasięgiem moich możliwości, gdyż według panującej wówczas opinii był on realny dla młodzieży z rodzin inteligenckich, mogącej się pochwalić świadectwem renomowanych liceów ogólnokształcących, do których zaliczano wówczas między innymi licea im. Marii Konopnickiej, Tytusa Chałubińskiego, Jana Kochanowskiego. Egzamin w Łodzi zdałem, ale nie aż tak dobrze, żeby zapewnić sobie miejsce wśród nowo przyjętych studentów. Na jedno miejsce przypadało wówczas sześciu kandydatów. Sen o studiach w Łodzi się skończył, ale marzenia o dalszej edukacji pozostały. Czas przeżywania porażki nie trwał zbyt długo, a to za sprawą zwykłego przypadku. Przypadki zawsze były kamieniami milowymi w moim życiu. Otóż, przeglądając „Życie Radomskie", znalazłem krótką notatkę informującą o uzupełniającej rekrutacji na uczelniach, które miały jeszcze wolne miejsca. Informacja dotyczyła osób, które zdały egzamin wstępny na innych uczelniach, ale nie zostały przyjęte z powodu braku miejsc. Wśród nich znalazła się propozycja z Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu, a konkretnie z Wydziału Inżynieryjno-Ekonomicznego Przemysłu. Należało tylko zdać egzaminy z przedmiotów, które nie były wymagane w poprzedniej uczelni. Musiałem zatem zdać egzamin z chemii i matematyki. Ponieważ moje przygotowanie chemiczne dawało duże szanse na sukces, nie zastanawiałem się zbyt długo i wysłałem potrzebne dokumenty do wrocławskiej uczelni. Uzupełniające egzaminy zdałem dobrze i zostałem przyjęty na pierwszy rok studiów. I tak zaczęła się moja życiowa przygoda z Wrocławiem, która trwa już 58 lat. Jej rozpoczęcie jest również zasługą dwóch nauczycielek Technikum Skórzanego w Radomiu: pani prof. Lucyny Ostrowskiej i pani prof. Marii Babiarz. Pani Ostrowska uczyła mnie języka rosyjskiego. Jego znajomość w mojej ocenie była lepsza od znajomości języka niemieckiego, którego uczył autentyczny Niemiec prof. Radke. Pan ten był nie tylko nauczycielem, ale również mistrzem brydża sportowego. Mówił do nas szybko i nie zawsze zrozumiale. Liczba godzin nauczania tego języka była stosunkowo niewielka, stąd większość zdających na studia wybierała język rosyjski. Pani prof. Lucyna Ostrowska, świadoma wyzwań, które stoją przed przyszłymi studentami, postanowiła przygotować nas do egzaminu. Spotykała się z nami po lekcjach przez kilka miesięcy, bez żadnych gratyfikacji finansowych. Nie tylko ćwiczyła z nami gramatykę, ale przede wszystkim wprowadzała nas w meandry rosyjskiej literatury klasycznej. Prowadziła konwersacje. Była wspaniałym pedagogiem, swoją misję przez wiele lat realizowała już w czasach przedwojennych w Zarębach Kościelnych, gdzie serdeczna pamięć i wdzięczność za jej zaangażowanie w pracy nauczycielskiej dla miejscowej ludności trwa do dziś. W czasie

wojennej zawieruchy cudem uniknęła wywózki na Sybir, a jej mąż, oficer Wojska Polskiego Tadeusz Ostrowski, podzielił los innych oficerów skrytobójczo zamordowanych w sowieckich łagrach. Wsparcie w rozpoczęciu wrocławskiej przygody związanej z dalszą edukacją znalazłem również w osobie pani prof. Marii Babiarz, która pochodziła z Wrocławia i krótko uczyła mnie historii. Kiedy dowiedziała się o moich zamiarach rozpoczęcia studiów w tym mieście, postanowiła wykorzystać swoje rodzinne koneksje do nawiązania przeze mnie bliższych relacji z jej rodziną, która mieszkała we wrocławskiej dzielnicy Leśnica. Do dzisiaj ze wzruszeniem wspominam serdeczność państwa Pelczarskich, którzy pomogli mi odnaleźć się w rozległym i obcym mieście. Los tak sprawił, że dzisiaj mieszkam w dzielnicy, w której zamieszkiwała pani Babiarz wraz z rodziną. Jej mąż był dyrektorem nieistniejących już Wrocławskich Zakładów Ogniotrwałych, które były zlokalizowane we wspomnianej Leśnicy. Objęcie przez niego tej samej funkcji w Radomskich Zakładach Ogniotrwałych spowodowało ich przeprowadzkę do Radomia na zawsze. Dawni wrocławianie spoczywają na radomskim Firleju.

Właściwie to mógłbym już zakończyć swoje reminiscencje o radomskich „misjonarzach", jednak zasłyszane w mojej rodzinie opowieści o tych nauczycielach, którzy mnie nie uczyli, ale poprzez swoją aktywność pedagogiczną trwale zapisali się w pamięci moich najbliższych, postanowiłem o nich wspomnieć. Do grona tego należeli nauczyciele, którzy uczyli moją mamę i jej siostrę w Żeńskim Seminarium Nauczycielskim. Osób tych, oprócz prof. Marii Maj, nie spotkałem. Znałem ich pośrednio z opowieści moich najbliższych oraz z tableau, które wisiały na poczesnym miejscu w mieszkaniu moich dziadków przy ul. Wolności 2. Na zdjęciach tych można było zobaczyć nie tylko twarze usatysfakcjonowanych sukcesem absolwentek, ale również pełne mądrości, dystyngowane twarze nauczycieli. W Polsce międzywojennej ludzie wykształceni, do których zaliczano nauczycieli, darzeni byli ogromnym szacunkiem, który u starszego pokolenia pozostał jeszcze w pierwszych powojennych latach. Tak było w przypadku moich dziadków, którzy nie mieli wykształcenia, ale zawsze z wielką atencją odnosili się do nauczycieli. Zaspokajali moją dziecięcą ciekawość, kiedy pytałem o osoby spoglądające z pamiątkowych zdjęć wyeksponowanych na widocznym miejscu skromnego mieszkania. Wówczas dziadkowie ożywiali się i rozpoczynali swoje opowieści na ich temat. I w ten sposób dowiedziałem się o zasługach tak znakomitych nauczycieli, jak Maria Maj, Bolesław Egiejman czy ks. Bolesław Strzelecki. Z grona wymienionych tu osób osobiście znałem tylko panią Marię Maj, która czasami przyjeżdżała do nas do Milejowic, zwykle w porze wiosenno-letniej, aby odetchnąć od miejskiego zgiełku. W czasie tych spotkań nie wracała do przeszłości. Skupiała się bardziej na troskach codziennego dnia. Pamiętam, jak mówiła, że jej marzeniem jest posiadanie telewizora. Sprzęty te akurat w tym czasie pojawiły się na rynku. Realizacja tego marzenia zdaniem pani Marii nie była taka prosta, gdyż podjęcie

Fot. 58. Nauczyciele tajnego nauczania w okresie okupacji, Radom, pod koniec 1945 roku (pani Maria Maj czwarta od lewej strony w pierwszym rzędzie) (własność archiwum LO im. Marii Konopnickiej w Radomiu)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, Radom 2014, s. 243.

decyzji o zakupie telewizyjnego odbiornika zależała również od pani Zofii, która razem z nią mieszkała i prowadziła dom. Tajemnicza pani Zofia zarządzała również finansami i nie była skora do realizacji dość drogiego w tym czasie zakupu. Pani prof. Maria Maj była osobą całkowicie oddaną swojej pracy pedagogicznej i naukowej. Proza szarego życia jej nie pociągała, dlatego też całą aktywność w tej sferze realizowała za nią wspomniana pani Zofia. O życiu pani Marii Maj dowiedziałem się z opowiadań mojej mamy i jej rodziców. Była to osoba niezwykle uzdolniona. W 1926 roku ukończyła Państwowy Instytut Pedagogiczny w Warszawie oraz studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Posiadanie przed wojną dwóch fakultetów, zwłaszcza przez kobietę, nie było tak częste. Po ukończeniu studiów pani Maj powróciła do Radomia i podjęła pracę pedagogiczną w Żeńskim Seminarium Nauczycielskim, które w 1917 stworzyła zasłużona pedagog i działaczka ruchu kobiecego pani Stanisława Wroncka. Po jej przejściu na emeryturę dyrektorem Żeńskiego Seminarium została pani Maria Maj, która piastowała to stanowisko do końca istnienia tej placówki, czyli do 1936 roku. W tym samym roku rozpoczęła pracę w Państwowym Gimnazjum im. Tytusa Chałubińskiego. W czasie niemieckiej okupacji założyła tajne liceum pedagogiczne, a po zakończeniu wojny została dyrektorem Państwowego Liceum Pedagogicznego. Ze względów politycznych została odwołana z tego stanowiska.

Jeden z absolwentów tego liceum, a późniejszy mój nauczyciel, opowiadał mi o tym, jak ze łzami w oczach pani Maria żegnała się z uczniami i szkołą, którą stworzyła od podstaw. Być może były to nie tylko łzy wzruszenia, ale również wyraz żalu i lęku wobec nieznanej przyszłości. Pamiętam, jak opowiadała o trudach dotarcia do nowego miejsca pracy. Władza ludowa zaproponowała jej bowiem pracę nauczycielki w jednej z podradomskich wsi. Dojazd do tej miejscowości był dość utrudniony. Nie mając środków do życia, tak zacna i gruntownie wykształcona osoba musiała przyjąć tę propozycję. Być może niewygodny dla ówczesnych władz był fakt, że pani Maria Maj należała do grona przyjaciół gen. Władysława Sikorskiego, który w czasach II RP był Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych, premierem Rządu RP na Uchodźstwie podczas drugiej wojny światowej. Znajomość ta zakończyła się wraz z tragiczną śmiercią generała 4 lipca 1943 roku w Gibraltarze. Później restrykcje wobec osoby tak zasłużonej dla radomskiego szkolnictwa złagodzono i pozwolono jej na podjęcie pracy pedagogicznej w IV LO im. Tytusa Chałubińskiego, w którym pracowała do końca życia. Pani Maria Maj była badaczką historii radomskiego szkolnictwa. Jest autorką wielu publikacji z tego zakresu. Z ogromną pasją studiowała potrzebne dokumenty znajdujące się w zasobach radomskiego archiwum. Była jedną z osób zaangażowanych w życie intelektualne Radomia, czego wyrazem jest jej aktywny udział w organizacji radomskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego (1953 rok) i Radomskiego Towarzystwa Naukowego (1963 rok).

Kolejną postacią, której pamięć pragnę przywołać, jest pedagog, inż. technolog i muzyk Bolesław Egiejman. Człowiek wszechstronny i bez reszty oddany młodzieży oraz muzycznej pasji. Pamiętam jego ciepłą twarz z tableau, które przyciągało wzrok odwiedzających moich dziadków w mieszkaniu przy ul. Wolności. Pan Egiejman był centralną jego postacią. Siedział w otoczeniu uczennic Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Radomiu, a zarazem chórzystek chóru „Pieśń", który założył i kierował nim w latach 1920-1934. Na tym pamiątkowym zdjęciu rozpoznawałem tylko dwie osoby, które osobiście znałem – moją ciotkę Wandę Wachnicką i Helenę Cibor, o której już wcześniej pisałem. Twórca tego chóru był nie tylko jego animatorem. Dla niego komponował i opracowywał utwory muzyczne. Organizował występy w innych miastach. Śpiewaczy kunszt młodych radomskich chórzystek mogli podziwiać między innymi mieszkańcy Lwowa. Profesor Bolesław Egiejman był absolwentem Wydziału Mechanicznego w Instytucie Politechnicznym im. Cara Mikołaja II (obecnie Politechnika Warszawska). Po powrocie do Radomia w 1918 roku został nauczycielem matematyki w Państwowym Gimnazjum im. J. Kochanowskiego. Podczas niemieckiej okupacji był przewodniczącym konspiracyjnego Towarzystwa Oświatowego. Był jednym z inicjatorów zorganizowania w Radomiu Wyższej Szkoły Inżynierskiej.

Fot. 59. Bolesław Egiejman oraz chórzystki chóru „Pieśń"

Źródło: archiwum autora.

Wśród znakomitych postaci ze wspomnianego już tableau na szczególną pamięć zasługuje niezwykła postać ks. Bolesława Strzeleckiego, który był między innymi katechetą w Żeńskim Seminarium Nauczycielskim w Radomiu. Piszę o nim ze względu na jego kapłański stan w opowiadaniu „Pasterze Dusz".

Radom miał również swoich nauczycieli akademickich, którzy nie tylko trwale zapisali się w rozwoju intelektualnym miasta, ale również swoim naukowym dorobkiem wzbogacili skarbnicę polskiej nauki. Wybitną postacią polskiej nauki był urodzony w Radomiu, jeden z największych współczesnych filozofów Leszek Kołakowski. Jego akademicka aktywność związana była jednak głównie z Uniwersytetem Warszawskim, a po 1968 roku z uczelniami amerykańskimi i uniwersytetem w Oksfordzie aż do śmierci w 2009 roku. Powstanie w Radomiu w 1950 roku niepaństwowej Wyższej Szkoły Zawodowej NOT, która później stała się Ośrodkiem Kielecko-Radomskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej, zapoczątkowało proces inkubacji radomskiego ośrodka akademickiego. Wspomniana Wyższa Szkoła Inżynierska w 1978 roku usamodzielniła się i zdobyła status Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Uczelnia ta w 1996 roku decyzją Sejmu stała się Politechniką Radomską im. Kazimierza Pułaskiego. Z Wyższą Szkołą Inżynierską w Ra-

domiu związani byli moi nauczyciele ze szkoły średniej – mgr inż. Mieczysław Pietrzykowski oraz mgr inż. Kazimierz Wańkowicz. Pan Mieczysław Pietrzykowski w 1951 roku zorganizował Wydział Chemiczny WSI w Radomiu i został jego dziekanem. W latach 1955-1965 był rektorem tej uczelni. Jego zasługą jest utworzenie w niej w 1969 roku Wydziału Ekonomicznego. Bliżej znałem prof. Kazimierza Wańkowicza, który uczył mnie chemii nieorganicznej. Był osobą bardzo ciekawą i bezpośrednią w kontaktach z uczniami. Czasami używał dość pikantnego języka, ale budził respekt i wzbudzał zainteresowanie ze względu na posiadane nazwisko i wyraziste poglądy, które nie zawsze były zgodne z obowiązującą linią ówczesnej władzy. Pan prof. Kazimierz Wańkowicz był spokrewniony ze znanym pisarzem Melchiorem Wańkowiczem, ale specjalnie się tym nie chwalił. Posiadał ogromną wiedzę i dar atrakcyjnego jej przekazywania. Wykładał chemię na radomskiej WSI, pełnił również funkcję dziekana Wydziału Chemicznego tej uczelni. Był też następnie wykładowcą na Politechnice Radomskiej, która powstała na bazie WSI w 1996 roku.

Moje zainteresowania historią Radomia i chęć poznania ciekawych ludzi, którzy fascynowali się nie tylko jego przeszłością, ale również i teraźniejszością, spowodowały, że sporadycznie uczęszczałem na prelekcje organizowane przez Radomskie Towarzystwo Naukowe. Na jednym z takich spotkań poznałem prof. dra hab. Stefana Witkowskiego, nauczyciela akademickiego niezwykle zasłużonego dla rozwoju szkolnictwa wyższego w Radomiu i potencjału intelektualnego tego miasta. Ten przedwojenny absolwent SGH swoje zainteresowania teoretyczne i praktyczne związane z ekonomią realizował jako badacz i praktyk zarządzania. Działalność naukowo-badawcza i społeczna prof. Stefana Witkowskiego stała się pasją jego godnej podziwu aktywności, której rezultatem było zdobycie kolejnych stopni naukowych, wydanie przeszło 100 publikacji naukowych oraz wykreowanie w Radomiu instytucjonalnych form umożliwiających prowadzenie naukowej i kulturalnej działalności elitom intelektualnym miasta. Był on organizatorem i pierwszym prezesem Radomskiego Towarzystwa Naukowego. Z jego inicjatywy powstało w Radomiu Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. Na Kielecko-Radomskiej WSI, jako jej nauczyciel akademicki, współorganizował Instytut Naukowo-Społeczny. Po latach postać prof. Stefana Witkowskiego stała mi się szczególnie bliska, a to za sprawą jego znakomitej córki Marii Romanowskiej, która zarażona w domu bakcylem twórczych poszukiwań należy do czołówki polskich uczonych w obszarze nauk o zarządzaniu. Jako absolwentka i profesor SGH w Warszawie oraz jej prorektor była jedną z osób, które na polskim gruncie tworzyły i upowszechniały teorię zarządzania strategicznego, niezbędną w zapewnieniu sukcesu przedsiębiorstw uczestniczących w rynkowej grze i dotkniętych naturalnym instynktem zachowania bytu i ciągłego rozwoju. Radom już w poprzednich

wiekach był miejscem narodzin ludzi nauki lub przystanią dla tych, których burze historii pozbawiły możliwości bytu i twórczej egzystencji w rodzinnych stronach lub miastach akademickich o utrwalonych tradycjach naukowych. Do tych uczonych, którzy urodzili się w mieście moich młodzieńczych wspomnień, należą między innymi wspomniany już prof. Leszek Kołakowski, jeden z największych współczesnych filozofów, oraz prof. Dariusz Rosati, ekonomista i polityk.

8

BOGOWIE

Doczesna egzystencja człowieka jest nieodłącznie związana z konfrontacją przeciwstawnych sił reprezentujących życie i śmierć. W jej ogniu znajdują się lekarze, którzy stają w obronie zagrożonego życia, oddalając moment jego nieuchronnego zakończenia. Dzięki temu budzą podziw i respekt oraz bezgraniczną wdzięczność tych, którym udało się pokonać groźną chorobę. Boskość zawodu lekarskiego może być upatrywana nie tylko w samej materii medycznej usługi, ale również w sferze trudnych wyborów, których muszą dokonywać lekarze pracujący w warunkach ekstremalnego zagrożenia i deficytu środków będących w ich dyspozycji. Przykładem tego mogą być wstrząsające opisy z heroicznej walki włoskich lekarzy o życie pacjentów podczas pandemii Covid-19 w 2020 roku, którzy z powodu braku odpowiedniej liczby respiratorów podejmowali trudne decyzje o odstąpieniu ratowania życia osób powyżej osiemdziesiątego roku życia. Równie trudnych wyborów musieli dokonywać lekarze walczący o życie powstańców warszawskich w szpitalach polowych, które nie dawały możliwości uratowania wszystkich ciężko poszkodowanych w walce z okrutnym okupantem.

Ja należę do tych, którym już w dzieciństwie dzięki radomskim lekarzom udało się odnieść zwycięstwo w nierównej walce życia ze śmiercią. W mojej wdzięcznej pamięci pozostały nazwiska lekarzy, którzy leczyli mnie i moich bliskich. Szczególne miejsce wśród nich zajmują pan dr Tadeusz Orzeszko oraz pani dr Janina Koreniec. Interwencja chirurgiczna dra Orzeszki była związana z wypadkiem, któremu uległem podczas samotnej zabawy przed domem rodziców.

W trudnych powojennych latach mój ociec z racji swojej przedwojennej pracy w policji nie mógł dostać jakiegokolwiek zatrudnienia, stąd też ciężar pracy zarobkowej spadł na barki mojej mamy. Codziennie pokonywała ona pieszo 10 km do Państwowej Fabryki Broni w Radomiu. Ojciec w tym czasie zajmował się swoim małym gospodarstwem, a przy okazji sprawował opiekę nade mną. Jako kilkuletnie dziecko byłem dość ruchliwy i ciągle miałem jakieś pomysły na niebezpieczne zabawy. Jedna z nich zakończyła się urazem głowy. Początkowo nie wyglądało to groźnie. Ojciec opatrzył ranę, zawiązał głowę bandażem i uznał, że nic takiego strasznego się nie stało. Po paru dniach okazało się, że w miejsce urazu wdała się infekcja. Moje złe samopoczucie zaniepokoiło rodzi-

ców i zawieźli mnie do dziadków, którzy orzekli, że trzeba natychmiast szukać pomocy lekarskiej. Udali się ze mną do szpitala św. Kazimierza, a tam obejrzał ranę dr Tadeusz Orzeszko. Oderwał z rany strup, pod którym zgromadziła się ropa i skrzyczał moich rodziców za to, że tak późno zgłosili się ze mną do szpitala. Pan doktor orzekł, że moje życie jest zagrożone i trzeba natychmiast wykonać operację. Pamiętam ten cały rytuał przygotowania do zabiegu. Najgorsza była narkoza. Kiedy wystraszony leżałem na stole operacyjnym, podszedł do mnie jeden z lekarzy z dość dużym tamponem waty nasączonym eterem i położył go na ustach i nosie. Nagle zacząłem się dusić, z okrzykiem „mamo!" zapadłem się w jakąś ciemną czeluść i… zasnąłem. Kiedy się obudziłem na łóżku szpitalnym, było już po wszystkim. Całą głowę miałem obłożoną lodem, gdyż w tamtych czasach nie było antybiotyków, a pooperacyjnej infekcji zapobiegano przez obniżanie temperatury samej rany. Oddział szpitalny, który mieścił się w barakach obok okazałego gmachu szpitala, budził grozę małych, często cierpiących pacjentów. Scenerię zagrożenia i tajemniczości podkreślały snujące się białe postacie sióstr zakonnych, na głowach których jak skrzydła ptaków trzepotały białe kornety. Opiekowały się one chorymi, ale czasami nie wytrzymywały uciążliwości tego szlachetnego zajęcia i reagowały dość drastycznie na płacz lub marudzenie małych pacjentów. Pewnego razu i mnie się oberwało. Na mojej obłożonej lodem głowie „wylądowały" kapcie czekające przy moim łóżku na pierwszy pooperacyjny spacer. Incydent ten nie spowodował żadnego uszczerbku na moim zdrowiu, jedynie zburzył moje przekonanie o nieskazitelnym charakterze i zachowaniach niektórych osób duchownych powołanych do opieki nad chorymi. Wszystko pomimo tego drobnego incydentu dobrze się skończyło, a w mojej wdzięcznej pa-

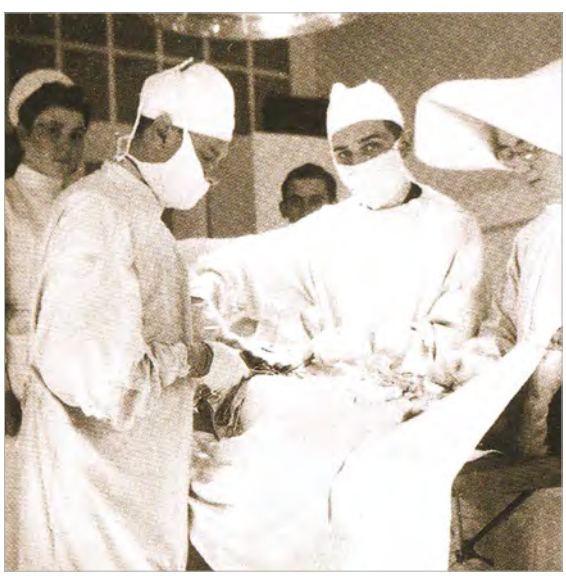

Fot. 60. Szpital św. Kazimierza. Operacja chirurgiczna (pierwszy z lewej strony dr Tadeusz Orzeszko)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, część druga, Radom 2015.

mięci pozostała postać dra Tadeusza Orzeszki, znakomitego chirurga i wielkiego patrioty. Był on żołnierzem ZWZK/AK równocześnie pełniącym podczas okupacji niemieckiej obowiązki ordynatora polskiej części Oddziału Chirurgicznego szpitala św. Kazimierza w Radomiu. Za współpracę z AK 9 kwietnia 1943 roku został aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Auschwitz-Birkenau, gdzie od sierpnia 1943 roku aż do ewakuacji w styczniu 1945 roku pracował w ambulatorium, a potem jako chirurg na oddziale chirurgicznym rewiru obozowego. Wielu więźniów zawdzięcza mu przeżycie. Dzięki temu, że po obozowej gehennie dr Tadeusz Orzeszko powrócił do Radomia i objął stanowisko ordynatora Oddziału Chirurgicznego w szpitalu, w którym wcześniej pracował, mogłem skorzystać z jego pomocy i szansy na dalsze życie. Po latach dowiedziałem się, że asystentką znakomitego chirurga podczas mojego pobytu w radomskim szpitalu była pani dr Leokadia Wróbel, która w Technikum Przemysłu Skórzanego była szkolnym lekarzem i ratowała moje oczy po wypadku podczas ćwiczeń laboratoryjnych z chemii. Od tamtej pory dość często rozmawiałem z panią doktor o jej przeżyciach podczas powstania warszawskiego, kiedy to jako lekarz chirurg, a zarazem uczestniczka (o pseudonimie „Gabriela") tego heroicznego zrywu przeciwko niemieckim oprawcom ratowała życie powstańców. Jej opowieści, kończące się zwykle stwierdzeniem „przeżyłam piekło na ziemi", budziły grozę i podziw dla bohaterów tamtego narodowego powstania. Ile razy odwiedzam jej grób na cmentarzu przy ul. Limanowskiego, w zadumie wspominam panią doktor i dziękuję nie tylko za jej poświęcenie dla Polski, ale również za dar losu, który dał mi możliwość poznania prawdziwej historii od osoby będącej jej bezpośrednią uczestniczką i obserwatorką.

W galerii radomskich lekarzy, którzy zapisali się w mojej wdzięcznej pamięci, jest również pani dr Janina Koreniec, która w latach powojennych była ordynatorem i jedynym lekarzem szpitala zakaźnego w Radomiu. Był on usytuowany w niewielkim budynku na Zamłyniu, przy ul. Zielonej. Mój pobyt w tym szpitalu był związany z dość banalnym incydentem, który zdarzył się podczas swawolnych zabaw na podwórku przed domem w Milejowicach. Doznałem ukłucia stopy kolcem suchego krzewu tarniny. Rana była prawie niewidoczna, ale głęboka. Rodzice mi ją opatrzyli, założyli opatrunek i uważali, że na tym sprawa się zakończy. Jak to z dziećmi bywa, pochłonął mnie wir zabawy i zapomniałem o opatrunku. Biegałem boso, a w ziemi czaiły się pałeczki tężca (*tetanus*), ostrej choroby zakaźnej, zwykle kończącej się śmiercią. Na efekty działania mikroba nie trzeba było długo czekać. Rozwinęła się infekcja, która najpierw spowodowała trudności wysławiania się, a później ogólne stężenie mięśni. Podejrzewam, że podczas okupacji nie szczepiono nowo narodzonych na tę chorobę, stąd też każde zabrudzenie otwartych ran niosło śmiertelne niebezpieczeństwo. W stanie wyraźnych objawów choroby zawieziono mnie do szpitala zakaźnego. Jego

Fot. 61. Personel szpitala św. Kazimierza przed budynkiem głównym, Radom, lata 1940-1943 (pierwszy rząd u dołu, trzecia od lewej strony dr Janina Koreniec) (własność Wojciecha Szafrańskiego)

Źródło: *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach*, część druga, Radom 2015, s. 220.

widok przerażał ogromem ludzkiego nieszczęścia. Był to czas epidemii tyfusu. Na podłogach, z powodu braku wolnych łóżek, leżeli na noszach przesiąknięci cierpieniem i opanowani przez wysoką gorączkę pacjenci. Wśród nich jak anioł niosący nadzieję na cudowne uzdrowienie przechodziła wolno i oceniała sytuację pani doktor Koreniec. Zauważyła wśród leżących i mnie, zbadała i zawyrokowała, że dalszy mój los jest już głównie w mocy Najwyższego. Na pocieszenie obiecała rodzicom, że zrobi wszystko, aby mnie ratować, ale dodała równocześnie, że mój stan jest ciężki. Podjęła nierówną walkę z niewidocznym przeciwnikiem, mając świadomość ograniczonych możliwości pokonania wroga. Walka o moje życie trwała prawie rok wypełniony codziennymi i bolesnymi punkcjami. Ciało wyprężone w kształcie łuku i ogarnięte chorobą spoczywało z jednej strony na głowie, a z drugiej na stopach. Zaciśnięte zęby uniemożliwiały jedzenie, stąd też życiodajną mieszankę mleka i żółtek jaj wlewano mi po podważeniu zębów za pomocą dziubka małego metalowego czajnika. Później na ratunek pospieszył lek sprowadzony ze Stanów Zjednoczonych. Przysłał go brat mojego dziadka Antoni Wachnicki. Kiedy mój stan się poprawił, pani doktor Koreniec postanowiła mnie umieścić w swoim mieszkaniu, obok budynku szpitala, abym mógł tam dojść do pełnego zdrowia w lepszych warunkach, które trudno byłoby zapewnić w przepełnionym chorymi szpitalu. Był to piękny gest, który spowodował,

że anioł medycyny stał się aniołem miłosierdzia. W tym miejscu warto przybliżyć postać niezwykłej lekarki, jaką była dr Janina Koreniec. Przybyła do Radomia ze Lwowa. Była absolwentką dwóch uniwersytetów: Jana Kazimierza we Lwowie i Uniwersytetu Poznańskiego. Skończyła nie tylko medycynę, ale również filozofię. Emanowała z niej wysoka kultura, mądrość i ciepło, którym otaczała swoich pacjentów. Pamiętam moment opuszczenia gościnnego mieszkania mojej uzdrowicielki. Było to późnym latem, jak na barkach mojego ukochanego dziadka zdążałem z ul. Zielonej do jego mieszkania przy ul. Wolności. Wróciła radość i pozostała wdzięczność za uratowanie życia. Później zdarzały się sezonowe zachorowania, skutecznie leczone przez panią dr Jadwigę Oleszczuk, którą moja mama i dziadkowie znali już przed wojną. Była w tym czasie nie tylko lekarzem szkolnym w radomskich liceach i gimnazjach, ale również wolontariuszką w szpitalu św. Kazimierza w Radomiu. Chwile grozy przeżyła na początku niemieckiej okupacji, tj. w 1939 roku, kiedy została na krótko aresztowana jako zakładniczka.

Innych radomskich lekarzy poznałem nie jako pacjent, lecz jako osoba towarzysząca mojej babci podczas jej wizyt lekarskich lub jako słuchacz rozmów rodzinnych dotyczących medyków, którzy mogli pochwalić się nie tylko nieprzeciętnymi kompetencjami medycznymi, ale również dużym zaangażowaniem społecznym. Jedną z postaci radomskiego środowiska lekarskiego była pani dr Stefania Perzanowska, lekarz w przychodni rejonowej na ul. Reja, niedaleko miejsca zamieszkania moich dziadków. Wiele razy towarzyszyłem mojej babci podczas wizyt w tej przychodni. Każda z nich była swoistym rytuałem. Babcia, odświętnie ubrana, zwykle z okazałym bukietem kwiatów, w moim towarzystwie przekraczała próg przychodni, której korytarze przyozdobione spluwaczkami przypominały o zagrożeniu gruźlicą szerzącą się w tym czasie wśród ludności wycieńczonej wojną i powojenną biedą. Moja babcia bardzo przeżywała każdą wizytę u pani doktor, gdyż obawiała się jej reakcji na niespełnianie zaleceń, które od dłuższego czasu od niej otrzymywała. Dotyczyły one przeprowadzenia dość poważnej operacji, przed którą stchórzyła jeszcze przed wojną, kiedy to zrezygnowała z niej podczas pobytu w jednym z warszawskich szpitali. Pani dr Stefania Perzanowska swoim ochrypłym głosem ostrzegała nieposłuszną pacjentkę, że jeżeli nie spełni jej zaleceń, to nie będzie jej dalej leczyć. Oczywiście swojej groźby nie spełniła, ale strach przed zabiegiem pozwolił na dalszy rozwój choroby, która doprowadziła do przedwczesnej śmierci mojej babci w 1958 roku. Pani dr Stefania Perzanowska była znaną postacią wśród radomskich lekarzy. Do Radomia przybyła jeszcze przed wojną z Warszawy, gdzie w 1926 roku skończyła Wydział Lekarski na Uniwersytecie Warszawskim. Jej patriotyczne zaangażowanie podczas niemieckiej okupacji i konspiracyjna aktywność w szeregach ZWZ/AK pod pseudonimem „Żywna" spowodowały, że w 1942 roku została aresztowa-

na, a następnie wywieziona do obozu koncentracyjnego na Majdanku, potem do Auschwitz-Birkenau, a pod koniec wojny do Ravensbrück Neustadt Glewe, gdzie doczekała wyzwolenia. Podczas pobytu w obozach koncentracyjnych z wielkim poświęceniem ratowała więźniów. Wiele więźniarek zawdzięcza jej życie, stąd też przez współwięźniarki była nazywana „aniołem z Majdanka". Swoje przeżycia z tego okresu opisała w książce „Gdy myśli do Majdanka wracają". Warszawa, jako czołowy ośrodek akademicki i intelektualny naszego kraju, była głównym źródłem kadrowego wsparcia dla Radomia, również dla środowiska lekarskiego. Przykładem tego jest postać dr Barbary Borzym, która leczyła moją ciotkę Wandę Wachnicką i ma duże zasługi dla rozwoju lecznictwa psychiatrycznego w Radomiu. To dzięki jej zaangażowaniu powstał Szpital dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Krychnowicach. W jej życiorysie są również piękne karty związane z udziałem w powstaniu warszawskim i związaną z tym deportacją do niemieckiego obozu w Lamsdorf (obecnie Łambinowice k. Opola).

W gronie radomskich „bogów" poczesne miejsce znajduje również Stanisław Kelles-Krauz, o którym już wspominałem. Był absolwentem Wydziału Lekarskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Jeszcze za czasów carskich był kierownikiem i organizatorem szpitala zakaźnego w Radomiu, zainicjował powstanie Powiatowej Kasy Chorych, w której pracował również jako lekarz naczelny. Po zakończeniu wojny i pięcioletnim pobycie w obozie koncentracyjnym Sachsenchausen powrócił do Radomia i pracował w Ubezpieczalni Społecznej. Wprawdzie nie znałem go osobiście, ale ta znakomita postać radomskiej elity utkwiła mi w pamięci za sprawą licznych opowieści mojego dziadka, który przyjaźnił się z tym znanym lekarzem, działaczem społecznym i politykiem. Właściwie jego wszechstronna aktywność spowodowała, że mógłby być bohaterem nie tylko opowiadania „Bogowie", ale również zatytułowanego „Misjonarze". Doktor Stanisław Kelles-Krauz był bowiem przed wojną nauczycielem w Prywatnym Gimnazjum Żeńskim Marii Gajl.

W czasach pogoni za materialnym dorobkiem, który dla wielu stał się miarą wartości człowieka, nie zawsze docenia się i szanuje ludzi, których ogromna wiedza i intelektualny potencjał były nie tylko źródłem ogólnego postępu, ale również dobrostanu, bezpieczeństwa i poczucia szczęścia zwykłych obywateli. Przed wojną, ale również i po jej zakończeniu ludzie wiedzy obdarzani byli dużym szacunkiem. Należeli do nich też lekarze. Pamiętam opowieści starszych członków mojej rodziny, którzy nie mieli wyższego wykształcenia, ale z ogromnym szacunkiem wymieniali nazwiska radomskich medyków – najpopularniejszego internisty dra Adolfa Tochtermana, psychiatrę i neurologa Jerzego Borysowicza, neurologa Stefana Fundowicza, lekarza miejskiego Włodzimierza Parniewskiego czy dra med. Eugeniusza Leona Schillinga, wieloletniego ordynatora Oddziału Ginekologiczno-Położniczego w Szpitalu Miejskim św. Kazimierza, znanego chi-

rurga i urologa Zenona Wasilewskiego. Każda z wymienionych tu znamienitych postaci, wierna przysiędze Hipokratesa, z ogromnym zaangażowaniem nie tylko niosła pomoc pacjentom, ale również dawała przykład, jak bronić ojczyzny w chwilach zagrożenia i jak służyć społeczeństwu w czasach pokoju. Potwierdzeniem tego jest udział dra Jerzego Borysowicza w wojnie polsko-bolszewickiej oraz jego pomoc rannym partyzantom przechowywanym w Miejskim Przytułku dla Umysłowo Upośledzonych, którego przed wojną był opiekunem. W tym przytułku znalazł schronienie między innymi Mordechaj Anielewicz, dowódca Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB) oraz przywódca powstania w getcie warszawskim. Za swoją patriotyczną postawę zapłacił również wysoką cenę dr Stefan Fundowicz (ojciec), którego niemieccy okupanci przetrzymywali przez przeszło dwa lata w niewoli. W obronie Warszawy w 1939 roku walczył dr Eugeniusz Schiling. Niemałe zasługi w obronie ojczyzny ma również dr Adolf Tochterman, który w 1939 roku brał udział jako lekarz oficer w obronie Warszawy, a w czasie okupacji leczył partyzantów i Żydów. W powojennej niełatwej rzeczywistości nasi „bogowie" włączyli się w odbudowę kraju, a przede wszystkim w rozwój radomskiej opieki zdrowotnej. Doktor Jerzy Borysowicz w 1955 zorganizował w Szpitalu Miejskim pierwszy w województwie kieleckim Oddział Neurologiczny i został jego ordynatorem. Doktor Stefan Fundowicz (ojciec) w 1945 roku był jednym z pierwszych organizatorów służby zdrowia na terenie miasta Radomia. W latach 1945-1953, jako zastępca, a później jako kierownik Wydziału Zdrowia, odpowiadał za bezpieczeństwo zdrowotne mieszkańców miasta i okolic. W latach 1954-1957 kierował również Stacją Sanitarno-Epidemiologiczną. Doktor Włodzimierz Parniewski przez 15 lat był lekarzem miejskim, założył stację „Kropla Mleka", która organizowała pomoc niemowlętom i ich matkom. Przez 27 lat kierował przychodnią rejonową. Doktor Adolf Tochterman po wyzwoleniu Radomia uczestniczył w ponownym uruchomieniu Miejskiego Szpitala św. Kazimierza i organizowaniu służby zdrowia w mieście. W tych siermiężnych powojennych czasach było w Radomiu zapewne wielu wspaniałych i oddanych swoim pacjentom lekarzy, o których w tym opowiadaniu nie wspominam. Im też należy się podziękowanie i wdzięczność za służbę radomskim pacjentom i wierność przysiędze Hipokratesa.

Od czasu, kiedy na stałe wyjechałem z Radomia do Wrocławia w 1962 roku, opisywani w tym opowiadaniu „bogowie" odeszli. Przyszli nowi, którzy swoim talentem, pracą i społecznym zaangażowaniem wzbogacili dorobek poprzedników. Niektórzy, zarażeni bakcylem społecznej aktywności, pracę lekarza skojarzyli z działalnością polityczną, często niewdzięczną, dającą rozgłos i większą władzę. W tym miejscu warto wspomnieć o pani dr Ewie Kopacz, lekarce, która urodzona w Skaryszewie, służyła małym i dorosłym pacjentom Szydłowca, Orońska i Chlewisk. Wychowywała się w Radomiu, gdzie ukończyła II Liceum

Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej. Wzrastała w atmosferze intelektualnego niepokoju i potrzeby służenia innym oraz pomnażania społecznego dobra. W pamięci swoich pacjentów i współpracowników zapisała się jako zdolna i zaangażowana lekarka, skuteczna organizatorka i menedżer służby zdrowia. Jako polityk osiągnęła szczyty władzy, piastując najważniejsze stanowiska nie tylko w naszym państwie, ale również na forum Unii Europejskiej. Była posłanką wielu kadencji, ministrem zdrowia, marszałkiem Sejmu, premierem rządu, deputowaną i wiceprzewodniczącą Parlamentu Europejskiego. Pomimo licznych obowiązków zawsze pamiętała o swoich rodzinnych stronach, wspierała ich mieszkańców i pomagała w realizacji wszelkich inicjatyw umożliwiających zwiększenie zaspokojenia ich potrzeb i rozwój tak bliskiej mi ziemi radomskiej.

Przy okazji tych nieco sentymentalnych opowieści warto wspomnieć również o niektórych przedstawicielach świata medycznego, którzy mieli radomskie korzenie, żyli we wcześniejszych czasach i swoimi osiągnięciami zawodowymi, twórczymi i społecznymi na trwale zapisali się w historii naszego kraju. Należy do nich przede wszystkim Tytus Chałubiński, lekarz, przyrodnik i społecznik, który urodził się w Radomiu w 1820 roku i był pionierem klimatycznego leczenia gruźlicy. Rozsławił zdrowotne walory Zakopanego, a dzięki jego staraniom powstało Towarzystwo Tatrzańskie. Radom nie zapomniał o swoim wybitnym krajanie. Jego imię nosi IV Liceum Ogólnokształcące oraz jedna z radomskich ulic.

9

PASTERZE DUSZ

Żyjemy w katolickim kraju, w którym większość mieszkańców deklaruje swoją przynależność do kościoła rzymsko-katolickiego, stara się przestrzegać głoszonych przez niego zasad i wierna wielowiekowej tradycji uświęconej hasłem „Bóg, Honor i Ojczyzna" czy też treścią niektórych przysłów ludowych („Bez Boga ani do proga"), pielęgnuje wartości płynące z zasad wiary. Nie wszystkim udaje się skutecznie ich przestrzegać, ale wielu ludziom pomagają one żyć i pokonywać trudności dnia codziennego. Niektórzy, określani mianem głęboko wierzących, żyją w autentycznym przekonaniu otrzymania nagrody w postaci wiecznego życia. Daje im to poczucie bezpieczeństwa, radości z czynienia dobra i poczucie pewnej wyższości nad tymi, którzy w tej subtelnej sferze ludzkich doznań i uczuć mają pewne wątpliwości i żyją w stanie niepokoju, co będzie z nimi po zakończeniu ich doczesnej egzystencji. Porzucając jednak te filozoficzne dywagacje, pragnę wspomnieć tych, którzy z racji swojego kapłańskiego powołania czy też formalnej przynależności do tego stanu są zobowiązani pomagać ludziom nie tylko w poznawaniu zasad wiary katolickiej, ale w ich stosowaniu w życiu prywatnym oraz podczas pełnienia funkcji społecznych. Wspominam głównie tych kapłanów, których nie znałem osobiście, ale ich zasługi dla radomian są tak znaczące i trwałe, że były przedmiotem rozmów i podziwu wśród członków mojej rodziny oraz znajomych.

Fot. 62. Błogosławiony ks. dr Bolesław Strzelecki

Źródło: archiwum ks. Edwarda Poniewierskiego.

Czołową postacią radomskiego duchowieństwa był ks. Bolesław Strzelecki, który w 1999 roku został zaliczony przez Jana Pawła II w poczet błogosławionych. Jego uduchowiona twarz z pamiątkowego tableau absolwentek Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego w Radomiu przyciągała moją uwagę, potęgowaną przez opowieści mojej mamy

i dziadków. Ksiądz dr Bolesław Strzelecki pochodził z ziemi suwalskiej. W Radomiu uczęszczał do Gimnazjum Rządowego Męskiego, po ukończeniu którego wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Sandomierzu. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1918 roku. W 1923 roku doktoratem zakończył studia z prawa kanonicznego i został mianowany prefektem szkół powszechnych w Radomiu. Uczył religii w Seminarium Nauczycielskim Żeńskim i Seminarium Nauczycielskim Męskim, a później w Szkole Handlowej Stowarzyszenia Kupców Polskich. Moja mama i jej siostra, jako uczennice Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego w Radomiu, miały możliwość uczestniczenia w lekcjach religii prowadzonych przez ks. Bolesława Strzeleckiego. Był on również wizytatorem religii, kapelanem radomskiego więzienia oraz diecezjalnym kapelanem harcerstwa. Rezydował przy kościele pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej, którego rektorem został w 1935 roku. Jeszcze przed wojną zasłynął z szerokiej działalności charytatywnej, którą rozwinął w czasie niemieckiej okupacji. Pieniądze otrzymywane za swoją pracę w szkolnictwie przekazywał głównie potrzebującym pomocy. Stąd też wielu radomian nazywało go „św. Franciszkiem z Radomia" lub „ojcem ubogich". Wygłaszając patriotyczne kazania, naraził się niemieckim okupantom, którzy w 1941 roku aresztowali go i zesłali do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie w tym samym roku został brutalnie zamordowany przez niemieckiego oprawcę pełniącego funkcję obozowego nadzorcy.

Fot. 63. Błogosławiony ks. dr Stefan Grelewski

Źródło: archiwum ks. Edwarda Poniewierskiego.

Pomnikową postacią radomskiego duchowieństwa jest również ks. Stefan Grelewski, zaliczony przez polskiego papieża Jana Pawła II w 1999 roku w poczet błogosławionych. Był to wielki kapłan i patriota. Brał udział w latach 1920-1921 w akcji agitacyjnej na Górnym Śląsku na rzecz pozostawienia go w granicach Polski. Uczestniczył w powstaniach śląskich. Był gruntownie wykształcony. Studia na Uniwersytecie w Strasburgu zakończył w 1924 roku, uzyskując stopień doktora prawa kanonicznego. Po studiach osiadł w Radomiu i aktywnie uczestniczył w działalności duszpasterskiej, dydaktycznej, społecznej i organizacyjnej. Był sekretarzem generalnym Związku Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich. W okresie międzywojennym był prefektem w radomskich szkołach powszechnych, zawodowych i średnich.

W parafii pod wezwaniem Opieki Najświętszej Marii Panny stworzył i prowadził placówkę Caritas. Współorganizował Kongres Eucharystyczny, który odbył się w Radomiu w 1938 roku. Był założycielem dwutygodnika „Hasło", który był pierwszym pismem chadeckim w mieście, opozycyjnie nastawionym do rządu. Zamieszczane w nim publikacje o tematyce politycznej, społecznej i ekonomicznej oparte były na założeniach encykliki „Rerum Novarum". Ksiądz Stefan Grelewski był również założycielem czasopisma „Prawda Katolicka", którego treść była poświęcona obronie wiary katolickiej przed sekciarstwem. Zamieszczano w nim publikacje o charakterze religijno-społecznym, adresowane do szerokiego grona czytelników. Ksiądz o tak dużym potencjale intelektualnym sam był autorem kilku książek, a parę innych przetłumaczył na język polski, publikował również nie tylko w prasie regionalnej, ale i ogólnopolskiej. Podczas niemieckiej okupacji otaczał opieką charytatywną ubogich, organizując dla nich kuchnie. Od sierpnia 1940 roku był rektorem kościoła pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej. Działalność społeczna, religijna i charytatywna oraz przeszłość patriotyczna i wcześniejsza aktywność ks. Stefana Grelewskiego na Górnym Śląsku nie były obojętne władzom okupacyjnym, które z pełną determinacją niszczyły elity polskiego społeczeństwa. Wyrazem tego stało się aresztowanie tego wielkiego kapłana w lutym 1941 roku, przewiezienie go do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, a następnie do obozu w Dachau, gdzie zmarł 9 maja 1941 roku.

Los błogosławionego kapłana podzielił jego młodszy brat, również ksiądz, Kazimierz Grelewski. Jego zasługi dla Kościoła oraz ojczyzny zostały docenione przez Jana Pawła II, który w tym samym czasie co starszego z braci zaliczył go w poczet błogosławionych. Niezwykła to i rzadka historia, aby dwóch braci stanu duchownego, wielkich patriotów i bohaterów tamtych czasów, złożyło największą ofiarę za wiarę i wolność ojczyzny w postaci młodego życia, którego naturalnym prawem było istnienie i realizowanie celów i marzeń, dla dobra nie tylko indywidualnego, ale i ogólnego. W jakich strasznych czasach rodziło się moje pokolenie i żyły pokolenia moich rodziców i dziadków… Błogosławiony ks. Kazimierz Grelewski po otrzymaniu święceń kapłańskich został prefektem szkół powszechnych w Radomiu aż do wybuchu wojny. Zajmował się działalnością charytatywną. Organizował kolonie dla dzieci. Był rektorem kościoła pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa i Męczennika. W czasie niemieckiej okupacji zaktywizował swoją działalność charytatywną i uczył na tajnych kompletach. Jego działalność społeczna i edukacyjna oraz demonstrowanie patriotycznej postawy w czasach niemieckiej okupacji spowodowały, że w 1941 roku został aresztowany przez gestapo i wysłany do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, a potem do Dachau, gdzie w tym samym roku zmarł.

Do grona kapłanów związanych z Radomiem, którzy ponieśli największą ofiarę w walce o godność i zachowanie polskości w mrocznych czasach niemiec-

Fot. 64. Błogosławiony ks. Kazimierz Grelewski z Henrykiem Morawskim na fotografii pierwszokomunijnej

Źródło: archiwum ks. Edwarda Poniewierskiego.

kiej okupacji, należeli również księża Franciszek Rosłaniec oraz Kazimierz Sykulski. O ich zasługach dla Polski i Kościoła dowiedziałem się nie z podsłuchanych rozmów prowadzonych przez moich dziadków, lecz z pięknego albumu *Na pamiątkę… Radomianie na starych fotografiach* wydanego w 2014 roku staraniem Rady Miejskiej w Radomiu. Ksiądz Franciszek Rosłaniec, beatyfikowany przez Jana Pawła II w 1999 roku w Warszawie, urodził się w Wyśmierzycach na ziemi radomskiej. Studiował na Uniwersytecie Gregoriańskim oraz w Instytucie Biblijnym w Rzymie. Z racji swojego gruntownego wykształcenia i posiadanych osiągnięć naukowych prawie przez cały okres międzywojenny był profesorem i dziekanem Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie wykładał również teologię biblijną, historię egzegezy, archeologię i historię biblijną. Aresztowany po wybuchu wojny przez niemieckich oku-

Fot. 65. Błogosławiony ks. prof. Franciszek Rosłaniec

Źródło: archiwum ks. Edwarda Poniewierskiego.

pantów przeszedł gehennę hitlerowskich obozów hitlerowskich w Sachsenhausen i Dachau. Zginął męczeńską śmiercią, zagazowany spalinami samochodowymi w okolicach Linzu 20 listopada 1942 roku. Równie tragiczny był koniec życia ks. Kazimierza Sykulskiego, który od 1921 roku był proboszczem parafii Opieki Najświętszej Marii Panny w Radomiu oraz posłem na Sejm Ustawodawczy Rzeczypospolitej Polskiej. Był gorliwym duszpasterzem, działaczem charytatywnym i społecznym, kapelanem wojskowym i więziennym. Aresztowany i uwięziony w Radomiu w 1941 roku, zginął męczeńską śmiercią rozstrzelany w tym samym roku przez hitlerowców w obozie koncentracyjnym Auschwitz. Papież Jan Paweł II beatyfikował tego wielkiego patriotę i kapłana w 1999 roku w Warszawie.

Fot. 66. Błogosławiony ks. prałat Kazimierz Sykulski

Źródło: archiwum ks. Edwarda Poniewierskiego.

Podczas wieczornych opowiadań moich dziadków wspominano wielu innych wybitnych radomskich kapłanów. Padały wówczas nazwiska księży: Henryka Gierycza, Dominika Ściskały, Józefa Rokosznego, Wincentego Granata. Podkreślano zasługi ks. szambelana papieskiego Józefa Rokosznego w organizacji Seminarium Nauczycielskiego w Radomiu oraz jego aktywność na rzecz rozwoju radomskiego szkolnictwa i instytucji kulturalnych. Z podobnym uznaniem opowiadano o zasługach ks. tajnego szambelana Jego Świątobliwości prałata Henryka Gierycza, który był nie tylko gruntownie wykształconym kapłanem, ale również doktorem nauk przyrodniczych i absolwentem Uniwersytetu we Fryburgu. Zwracano uwagę na jego ziemiańskie pochodzenie, upatrując w nim źródła osiągniętych sukcesów i imponującego potencjału intelektualnego, z którego korzystał w pracy dydaktycznej z uczniami radomskich szkół. Mój dziadek Jan Wachnicki wspominał również ks. proboszcza i szambelana honorowego Jego Świątobliwości Dominika Ściskałę, którego miał okazję widzieć podczas różnych oficjalnych uroczystości jeszcze przed odrodzeniem Polski w 1918 roku. Ksiądz Ściskała przybył bowiem do Radomia 18 sierpnia 1918 roku i pełnił funkcje kapelana wojsk austriackich, z której zrezygnował po złożeniu przez wojsko polskie powtórnej przysięgi na wierność powstałego 7 listopada 1918 roku w Lublinie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, na czele którego stał Igna-

cy Daszyński. W pamięci radomian ks. Dominik Ściskała zapisał się nie tylko jako kapłan, który, będąc proboszczem parafii Opieki Najświętszej Marii Panny, rozwinął szeroką działalność duszpasterską, zwłaszcza wśród robotników i inteligencji, ale przede wszystkim jako wybitny organizator stowarzyszeń i organizacji religijnych niosących pomoc charytatywną potrzebującym. Założył placówkę „Caritas", dwie ochronki dla dzieci, liczne kuchnie dożywiające ubogich. W sierpniu 1939 roku organizował pomoc dla uciekinierów z zachodnich województw przed zbliżającą się wojną. Później otaczał opieką wysiedlonych z tych rejonów. Stał się również nadzieją na przetrwanie dla więźniów obozów koncentracyjnych, gdyż w czasie niemieckiej okupacji zorganizował wśród radomian akcję wysyłania dla nich paczek.

Z zasłyszanych opowieści dowiedziałem się również o zasługach innego wybitnego kapłana, którym był ks. Wincenty Granat, będący w powojennej Polsce w latach 1965-1970 rektorem KUL-u. W Radomiu pamiętano głównie jego przedwojenną aktywność jako prefekta szkół powszechnych, nauczyciela religii w Seminarium Nauczycielskim Męskim oraz współzałożyciela „Caritasu" i organizatora pomocy charytatywnej. Gruntowne wykształcenie ks. Wincentego Granata, potwierdzone uzyskaniem dwóch doktoratów – z filozofii i teologii, budziło respekt w radomskim środowisku elit intelektualnych oraz sprzyjało rozwojowi naukowemu przyszłego profesora i rektora KUL-u. Potwierdzeniem tego są pierwsze naukowe publikacje wybitnego kapłana, które w okresie przedwojennym powstały w Radomiu.

Większość radomskich kapłanów, o których piszę, była bardzo aktywna w działalności społecznej i zaangażowana patriotycznie. Wielu z nich żyło w czasach, kiedy po pierwszej wojnie światowej odradzało się niepodległe państwo polskie. Jego pełna burzliwych zdarzeń, krótka, dwudziestoletnia historia została 1 września 1939 roku brutalnie przerwana wybuchem drugiej wojny światowej, której następstwem była pięcioletnia niemiecka okupacja. Wojna ta jak i wspomniana okupacja zniszczyły nasz kraj, pozbawiając życia milionów jego mieszkańców i niszcząc podstawy materialnego bytu tych, którzy ocaleli. Unicestwiono polską inteligencję. Na pobojowisku historii po zakończeniu działań wojennych odradzało się nowe życie, ale w zupełnie nowej rzeczywistości ustrojowej. Wielki sąsiad ze wschodu bowiem, jako jeden z pogromców hitlerowskich Niemiec, z pełną konsekwencją realizował plan budowy radzieckiego imperium, którego wpływom na mocy międzynarodowych traktatów została oddana Polska. Radomscy kapłani stanęli przed nowymi wyzwaniami. Stojąc w przeciągu historii, musieli bronić nie tylko zasad wiary, ale również historycznej prawdy i wartości patriotycznych, których respektowanie zostało zagrożone przez narzucony Polakom ustrój. Niektórzy z nich, stojąc na szańcach obrony tych wartości, utracili zdrowie, a często i życie. Jednym z nich był ks. kanonik Wacław

Kosiński. Był kapłanem wszechstronnie wykształconym. Ukończył Seminarium Duchowne w Sandomierzu. Studiował na Uniwersytecie we Fryburgu literaturę polską, filozofię i pedagogikę. Uzyskał doktorat z filozofii. Pozostawił po sobie blisko sto publikacji, w tym kilka książek z zakresu katechetyki. Swoją aktywność duszpasterską na ziemi radomskiej rozpoczął w 1929 roku jako proboszcz parafii w Skaryszewie. Dwa lata później objął probostwo parafii św. Jana Chrzciciela w Radomiu, do której należeli moi dziadkowie. Był dziekanem dekanatu radomskiego. W 1932 roku współorganizował Kongres Eucharystyczny Diecezji Sandomierskiej, który odbył się w Radomiu. Był bardzo aktywny w działalności społecznej i charytatywnej. Był współzałożycielem radomskiego oddziału „Caritasu", wybudował Dom Katolicki, zainicjował ideę budowy kościoła na Borkach i utworzenia tam parafii. Podczas okupacji wstawiał się u władz niemieckich w obronie parafian i uratował księgozbiór Biblioteki Publicznej Sejmiku Radomskiego im. Hempla, przechowując go na plebanii. Na początku lat pięćdziesiątych został niesłusznie aresztowany. Po rocznym pobycie w więzieniu wrócił do macierzystej parafii, w której zmarł. Pamiętam jako dziesięcioletni chłopiec uroczystości pogrzebowe tego zacnego kapłana. Był mroźny grudniowy dzień 1953 roku. W kościele św. Jana Chrzciciela w Radomiu przy ul. Rwańskiej zgromadzony tłum zrozpaczonych parafian żegnał swojego proboszcza. W otwartej trumnie spoczywało ciało księdza ubranego w liturgiczne szaty. Jego ręce owinięte bandażami maskowały ślady więziennych przeżyć. Wśród zgromadzonych panowała atmosfera grozy i bezsilności. Wnętrze gotyckiej świątyni wypełniał płacz, słowa zbiorowej modlitwy oraz dym kadzideł, który dodawał tej smutnej uroczystości szczególnego i tajemniczego charakteru.

Kapłanem, którego działalność duszpasterska i społeczna związana była z ks. kanonikiem Wacławem Kosińskim, był ks. Andrzej Łukasik, proboszcz parafii na Borkach i budowniczy kościoła pod wezwaniem św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Wcześniej, bo w 1936 roku, kapłan ten został wikariuszem parafii św. Jana Chrzciciela z obowiązkiem zorganizowania nowej parafii i wybudowania kościoła na Borkach. Był on realizatorem inicjatywy podjętej przez ks. kanonika Wacława Kosińskiego. Pozostawił po sobie nie tylko materialne dzieło w postaci wybudowanej świątyni, ale przede wszystkim ogromny autorytet i uznanie wiernych za swoją niezłomną patriotyczną postawę, aktywność w działalności charytatywnej i duszpasterskiej oraz obronie interesów ludzi najsłabszych i potrzebujących duchowego oraz materialnego wsparcia. Godne podziwu dokonania ks. Andrzeja Łukasika oraz związane z nim społeczne uznanie były wynikiem nie tylko jego osobistej aktywności, ale również patriotycznej postawy, która nie pozwalała mu obojętnie przyglądać się tragicznym wydarzeniom w historii naszego kraju. W 1939 roku jako kapelan wziął udział w kampanii wrześniowej. W czasie niemieckiej okupacji uczestniczył w działalności Komitetu Pomocy Ludności

Polskiej i prowadził szeroką akcję charytatywną i oświatową. Po wojnie włączył się w nurt działalności społecznej i w latach 1945-1949 pełnił funkcję radnego w Radzie Miejskiej miasta Radomia. Jego aktywność społeczna i duszpasterska została brutalnie przerwana w 1951 roku. Za sprzyjanie młodzieżowej niepodległościowej organizacji „Biały Orzeł" został uwięziony na dwa lata. W 2004 roku wyrok komunistycznego sądu został unieważniony, a w życiorysie ks. Andrzeja Łukasika pozostał trwały ślad jego walki o wolną Polskę. W pamięci odchodzącego już pokolenia radomian, którzy osobiście znali księdza, pozostał jako człowiek walczący o tolerancję i porozumienie ludzi o różnych poglądach politycznych jako warunek konieczny dla zachowania dobrostanu i ładu społecznego. Potwierdzeniem tego była postawa i zachowania ks. Andrzeja Łukasika jako proboszcza parafii, na terenie której mieszkali radomianie o zróżnicowanych orientacjach politycznych. Wszystkich darzył szacunkiem i nie omijał podczas duszpasterskich wizyt. Należy w tym miejscu wspomnieć, że w okresie międzywojennym Radom był określany mianem „czerwonego" ze względu na znaczące w nim wpływy partii lewicowych, a zwłaszcza PPS, która tuż przed odzyskaniem niepodległości w 1918 roku zaliczana była do czołowych organizacji niepodległościowych. W gronie przywódców tej partii znaleźli się między innymi: Stanisław Kelles-Krauz, Maria Kelles-Krauz i Józef Grzecznarowski. W okresie międzywojennym socjaliści w koalicji z radnymi lewicowych partii żydowskich sprawowali władzę w mieście. Bardziej radykalna partia lewicowa, jaką była nielegalnie działająca Komunistyczna Partia Polski wraz z młodzieżową przybudówką w postaci Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, miała ograniczone wpływy na życie polityczne w mieście. Ksiądz Andrzej Łukasik w lewicowym otoczeniu swojej parafii potrafił dotrzeć do tych, którzy byli niechętni bądź obojętni wobec Kościoła. Pewnym potwierdzeniem tego jest relacja jednego z byłych mieszkańców dzielnicy Borki, którego poznałem jako wykładowca akademicki na studiach podyplomowych dla kadry kierowniczej KGHM „Polska Miedź" w Lubinie. Otóż ten radomianin, brat byłego rektora Uniwersytetu Wrocławskiego, posła, ministra spraw zagranicznych oraz działacza państwowego i partyjnego w PRL, niezwykle ciepło wspominał ks. Andrzeja Łukasika, który w czasie tradycyjnej kolędy z własnej inicjatywy odwiedzał rodzinę mojego rozmówcy, nie bacząc na jej lewicowe poglądy i zaangażowanie po stronie ugrupowania ideowo dość odległego od nauki Kościoła.

Wśród radomskiego duchowieństwa w czasach powojennych kultywowana była tradycja podtrzymywania dążeń wolnościowych społeczeństwa oraz pielęgnowania postaw patriotycznych. Postacią szczególnie zasłużoną i zaangażowaną w obronie robotników uczestniczących w wydarzeniach czerwcowych w Radomiu w 1976 roku był ks. Roman Kotlarz. Potępiał on politykę ówczesnych władz. Bronił godności człowieka i poszanowania ludzkiej pracy, za co był szykanowany przez SB. Stosowane przeciwko niemu represje doprowadziły do

jego przedwczesnej śmierci w 1976 roku. Pozostała po nim wdzięczna pamięć radomian i nazwa ronda przy zbiegu tak znanych mi z dzieciństwa ulic: Reja, Limanowskiego, Okulickiego i Mireckiego.

W czasach mojej młodości w Radomiu żyli i tworzyli również duchowni zajmujący się nie tylko szerzeniem zasad wiary katolickiej, ale też wzbogacaniem dorobku nauk przyrodniczych i tworzeniem dzieł sztuki wykraczających poza kanony malarstwa klasycznego. Szczególnie ceniony w tym czasie był dorobek ks. Władysława Paciaka, którego zalicza się do najwybitniejszych malarzy tworzących po wojnie w Radomiu.

Fot. 67. Ksiądz Władysław Paciak

Źródło: archiwum ks. Edwarda Poniewierskiego.

W świecie nauki poczesne miejsce zajmuje również ks. prof. dr hab. Włodzimierz Sedlak, związany z parafią Opieki Najświętszej Marii Panny w Radomiu oraz Wydziałem Filozofii KUL w Lublinie, twórca bioelektroniki i elektromagnetycznej teorii życia.

Ze względu na czas moich narodzin nie mogłem doznać dobrodziejstw, którymi obdarzali radomian kapłani wielkiego formatu, o których wcześniej

Fot. 68. Ksiądz prof. dr hab. Włodzimierz Sedlak

Źródło: archiwum ks. Edwarda Poniewierskiego.

pisałem. Ci, których znałem i spotkałem w dzieciństwie, niczym szczególnym się nie wyróżniali. Godnie i z zaangażowaniem pełnili swoją misję. Starali się szerzyć zasady katolickiej wiary i płynące z niej moralne nakazy w trudnych czasach stalinowskich, a później realnego socjalizmu. Ponieważ po wojnie los rzucił moich rodziców do Milejowic, moje kontakty z duchowieństwem ograniczały się do dwóch parafii – św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Cerekwi z racji miejsca zamieszkania oraz św. Jana Chrzciciela w Radomiu, do której należeli moi dziadkowie. Dwie parafie i dwa światy. Pierwsza mocno zakorzeniona w realiach powojennych polskiej wsi, druga wpisana w rytm przemysłowego miasta, w którym dawni mieszkańcy wsi i przedwojenni radomianie pielęgnowali tradycje i wartości płynące z korzeni chrześcijaństwa w nieprzyjaznych warunkach wszechobecnej ideologii nowego systemu społeczno-politycznego nazywanego oficjalnie ludową demokracją. Dzisiaj dość powszechnie mówi się, że był to ustrój komunistyczny, który żyjący zwolennicy nostalgicznie i sporadycznie przywołują w znanym haśle „komuno wróć". Żyłem w tamtych czasach i porównując swoje doświadczenia z literackimi opisami życia obywateli w Związku Radzieckim oraz z opowieściami tych Po-

laków, którzy żyli w kraju powszechnej „szczęśliwości", uważam, że panujący po wojnie w Polsce ustrój, pomimo swoich dolegliwości, nie był wiernym odwzorowaniem systemu panującego u naszych wschodnich sąsiadów. Wracając jednak do kościelnych wspomnień, warto przywołać pamięć o cerekiewskich kapłanach i obrazy z przeszłości, które zapamiętałem jako ministrant oraz uczestnik niedzielnych mszy, odpustów i okazjonalnych uroczystości celebrowanych w parafialnym kościele w Cerekwi, która jako wieś bezpośrednio przylegająca do miasta ogrzewała się jego blaskiem. Bohaterami pierwszego planu tych uroczystości zawsze byli kapłani, w których wpatrzony był tłum rozmodlonych wiernych i ciekawskie oczy znudzonych, a czasami biegających po kościele dzieci. Proboszczem tej parafii w czasach mojego dzieciństwa był ks. Adam Popkiewicz, który prowadził ją od 1917 roku aż do chwili swojej śmierci w 1953 roku. Był duchownym wykształconym, posiadającym głęboką świadomość wagi swojej misji i konieczności kontynuacji wielowiekowej tradycji swoich poprzedników. Problemy zdrowotne, jakie miał po laryngologicznej operacji, bardzo mu utrudniały utrzymanie kontaktu z wiernymi. Pełne zrozumienie jego kazań było utrudnione, gdyż jego niewyraźny głos gubił się w dużej przestrzeni kościoła i działał usypiająco na słuchaczy. Stąd też najczęściej kazania głosili młodzi księża wikariusze. Wśród nich wyróżniał się ks. Jan Kruzel, obiekt westchnień wielu parafianek, który donośnym głosem trafiał ze swoimi metaforycznymi kazaniami do serc i sumień słuchaczy. Pamiętam, jak w jednym z nich porównywał swoich wiernych do łanu złocistego zboża, w którym rozsiał się kąkol, chwast o uroczych kwiatach, który należy wyrwać, gdyż jest uosobieniem grzechu. Porównując grzeszników do chwastu, zadawał retoryczne pytanie: „ jeżeli jesteś kąkolem, to po co tu przyszedłeś?" To porównanie robiło wrażenie u słuchaczy i wzbudzało mocne postanowienie poprawy, nikt bowiem nie chciał być wykluczony ze społeczności wiernych i pozbawiony nadziei nagrody w życiu wiecznym. W głoszonych wówczas kazaniach nie było akcentów politycznych. Opresyjny charakter ówczesnej władzy odstraszał większość księży od publicznej krytyki jej poczynań. Nie słyszało się wówczas o skandalach obyczajowych wśród księży czy o pedofilii. Przytulenie dziecka przez kapłana czy pogłaskanie go po głowie podczas zbierania tacy nie groziło rzuceniem podejrzenia o niecne zamiary. Zdarzały się jednak przypadki prowadzenia przez niektórych kapłanów podwójnego życia, w którym na drugim planie znajdowała się kobieta, zwykle potępiana przez najbliższe środowisko za obdarzenie uczuciem osoby duchownej. Źródeł takiej oceny księżowskich romansów należałoby szukać w biblijnych przekazach, a ściślej biorąc w Księdze Rodzaju, w której zawarty jest opis upadku pierwszych ludzi. Według tego przekazu, jak wiadomo, Ewa żyjąca wraz z Adamem w rajskim ogrodzie Edenu, wiedziona podszeptem szatana w postaci węża, poczęstowała swego męża

owocem zerwanym z zakazanego drzewa, wywołując tym faktem gniew Pana Boga i wygnanie z raju. Stąd też od zarania dziejów męski ród obciąża kobiety za winy przez nie niepopełnione bądź wyimaginowane, czego potwierdzeniem były mroczne czasy palenia czarownic na stosie, a współcześnie – przemoc w rodzinie.

W latach powojennych duszpasterze żyli skromnie, podobnie jak większość społeczeństwa. Szczytem luksusu było przemieszczanie się konną bryczką. Z samochodu korzystali głównie biskupi nawiedzający parafie z powodu bierzmowania lub innych szczególnych okazji. Kontakty towarzyskie proboszczów i podległych im wikariuszy z parafianami były rzadkie. Skorzystanie przez księdza z zaproszenia na weselne przyjęcie było wydarzeniem i wyróżnieniem dla zapraszającej rodziny. Gościną na plebanii uhonorowani byli nieliczni. Dokładnie nie wiem, z jakich powodów, ale było to na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy moja mama została zaproszona na kolację przez ks. Adama Popkiewicza, proboszcza parafii w Cerekwi. Jako ośmiolatek towarzyszyłem jej podczas tej wizyty. Było piękne letnie niedzielne popołudnie. Korzystając z uroków tego dnia, podążaliśmy spacerowym krokiem polną drogą wiodącą z Milejowic na plebanię, w której oczekiwali nas gospodarze spotkania: ksiądz proboszcz Adam Popkiewicz, jego siostra Jadwiga, ksiądz wikariusz oraz mieszkający w pobliżu kościoła organista. Po serdecznym powitaniu zaproszono nas do nakrytego białym obrusem stołu, na którym stała ogromna porcelanowa misa wypełniona młodymi gorącymi ziemniakami obficie omaszczonymi skwarkami. Małym talerzom umieszczonym naprzeciwko każdego z biesiadujących towarzyszył kubek wypełniony zsiadłym mlekiem. Skromny charakter posiłku sprzyjał rozmowom, a nie rozkoszom podniebienia. Dla mnie główną atrakcją wizyty było to, co wydarzyło się później. Pan organista, wyczuwając znużenie prowadzonymi rozmowami, zaprosił wszystkich uczestników spotkania do kościoła. Zasiadł za instrumentem będącym głównym źródłem jego utrzymania, poprosił moją mamę, aby towarzyszyła mu na chórze i po krótkich uzgodnieniach rozpoczął się niezapowiedziany wcześniej koncert. Przestrzeń kościoła, którego malowidła przypominały niebiańską przestrzeń, wypełniała muzyka organów pomieszana z pięknym wykonaniem przez moją mamę pieśni Gounoda „Ave Maria". Dla mnie był to najpiękniejszy koncert, jakiego mogłem wysłuchać.

Podstawową powinnością duszpasterzy jest szerzenie zasad wiary. Religia w powojennej Polsce odgrywała bardzo ważną rolę. Była nie tylko źródłem zaspokojenia duchowych potrzeb Polaków, ale również ostoją polskości i tarczą chroniącą społeczeństwo przed naporem komunistycznej ideologii. Stąd też jej nauczanie było pod szczególnym dozorem władz i podlegało ciągłym zmianom, zależnym od panujących nastrojów politycznych. Religia w sensie edukacyj-

nym była zawsze kłopotliwym problemem dla władz powojennej Polski i wręcz barometrem relacji występujących między nimi a Kościołem i większością społeczeństwa. Pierwsze lekcje religii pobierałem w Cerekwi w dość ciemnym pomieszczeniu kaplicy. Panujący w niej niezależnie od pory dnia półmrok stwarzał atmosferę tajemniczości przekazu zasad wiary, który odbywał się w konwencji biblijnych opowieści księdza. Nie było w tamtych czasach podręczników do nauki religii. Jedynym źródłem pisanym wspierającym przekazywaną wiedzę była bardzo skromna książeczka, w której podane były podstawowe kanony wiary, modlitwy i najczęściej śpiewane pieśni kościelne. Po dojściu do władzy w czasach październikowej odwilży ekipy Władysława Gomułki lekcje religii odbywały się w budynku szkoły. Zmiana miejsca ich odbywania pozbawiła je specyficznej atmosfery, którą daje wystrój kościoła i powaga świętych miejsc nasyconych modlitwą i westchnieniami wiernych do Boga. Lekcje religii stały się jednymi z wielu, a dość urzędowy wystrój szkolnych sal nie sprzyjał zachowaniu skupienia na treści religijnych przekazów. Niektórzy uczniowie, niezainteresowani wywodami często o transcendentnym charakterze, próbowali wypełnić czas rozmowami i zabawami utrudniającymi prowadzenie lekcji. Stąd też nierzadko prowadzący lekcje religii ksiądz próbował przywoływać do porządku niesfornych chłopaków uderzeniami dłonią w poduszki marynarek, z których unosiły się tumany kurzu. Specjalnie to nie bolało, ale robiło wrażenie i odnosiło pożądany skutek. Cóż, czasami i osoba duchowna, wyprowadzona z równowagi, musi użyć przemocy w imię zachowania wyższych wartości i możliwości realizacji swojej misji. W szkole średniej pod koniec lat pięćdziesiątych edukacja religijna w murach szkoły była powszechnie praktykowana, chociaż pod dyskretną kontrolą dyrekcji. W pierwszej klasie technikum zdarzały się podczas lekcji religii niezapowiedziane wizyty przedstawicieli dyrekcji szkoły, którzy przysłuchiwali się przekazywanym przez księdza treściom. Dla uczniów były one bardzo interesujące, gdyż prowadzący je kapłan był kapelanem wojskowym uczestniczącym w misjach pokojowych Wojska Polskiego w Indochinach, będących dawną kolonią francuską obejmującą trzy kraje: Wietnam, Kambodżę i Laos. Podczas lekcji religii otrzymywaliśmy wiedzę o tych krajach z pierwszej ręki. Dotyczyła ona nie tylko geografii tych krajów, ale również zwyczajów, wyznawanych religii oraz bujnej przyrody. Pamiętam, kiedy raz podczas lekcji jeden z uczniów zapytał, jak wygląda ananas, owoc pochodzący z tamtych stron, ale niedostępny wówczas na sklepowych półkach w naszym kraju. W dzisiejszych czasach postawienie takiego pytania potwierdzałoby jego niedorzeczność, gdyż ananasy można nie tylko zobaczyć, ale i kupić prawie na każdym większym targu. To dowodzi, jak zmieniły się czasy i jak duży wpływ na sens uczniowskich pytań ma aktualność otaczającej nas rzeczywistości politycznej i gospodarczej. Ksiądz, odpowiadając na pytanie

ciekawskiego ucznia, porównał wygląd ananasa do dużej truskawki, co w późniejszej konfrontacji obu owoców w rynkowej rzeczywistości naszego kraju mogło budzić rozczarowanie treścią księżowskiego opisu smakowitego owocu z rodziny bromeliowatych. Obecnie nie ma ono dla mnie większego znaczenia. Ważne, że doczekałem czasów, w których mogę rozkoszować się smakiem nie tylko rodzimych truskawek, lecz również jadalnych ananasów.

INDEKS NAZWISK

Adler Samuel 136
Adler Szmelka 136
Anielewicz Mordechaj 157
Babiarz Maria 143, 144, 145
Bambinek Jan 27
Bielawska Irena 137
Bielicka Hanka 91
Bierut Bolesław 77, 125, 129
Bolesław V Wstydliwy 29
Bołdokowa (Tygrysowa) 113
Borysowicz Jerzy 156, 157
Borzym Barbara 156
Brandt Józef 20, 69
Bretsznajder Halina 65
Broniewski Władysław 18
Bukojemska 100
Cembrzyńska Iga 19
Chałubiński Tytus 19, 158
Chełmoński Józef 49, 69
Chopin Fryderyk 92
Cieciszowska Stefania 31
Cibor Helena 138, 147
Cyrankiewicz Józef 77, 125
de Gaulle Charles 91
Deck 114
Dłużniewska-Kotlińska Łucja 102
Drozdowska Beata 10
Duda 33
Dymsza Adolf 91
Egiejman Bolesław 147
Fołtyn Maria 19
Foremniak Małgorzata 19
Fundowicz Stefan 157
Gabin Jean 91
Garbo Greta 91
Gierycz Henryk 69, 163
Glogier Maciej 61
Gocel Jadwiga 109, 125, 126
Gołaszewski Czesław 140, 141
Gombrowicz Jerzy 20, 23
Gombrowicz Marian Witold 23
Gomułka Władysław 77, 128
Granat Wincenty 163, 164
Grelewski Kazimierz 161
Grelewski Stefan 160, 161
Grodzińska Teresa Jadwiga 37
Grzecznarowski Józef 90, 166
Gruszczyński Ryszard 92
Gustaffson Lars 135
Hermanowicz Halina 101
Hetmanówna – żołnierka ,,wyklęta'' 62
Hoffmanowa z Tańskich Klementyna 72
Iwanowski Jerzy 139
Janowska Alina 91
Jaracz Stefan 91
Kaim Maria 127
Karczewski Zdzisław 14
Karolak Tomasz 19
Karsch Ludwik 136
Karsch Teodor 136
Kasprzykowski Edward 71
Kelles-Krauz Stanisław 110, 156
Kelles-Krauz Maria 110
Kielich Stefan 137
Klepaczewski Zdzisław 139
Kochanowski Jan 19, 92
Kolbe Maksymilian 96
Kolberg Oskar 19
Kołacz – rymarz 62
Kołaczowa – położna 63

Kołakowski Leszek 19, 148
Kopacz Ewa 19, 157
Koreniec Janina 151
Korsakówna Lidia 91
Kosiński Wacław 165
Kossak Wojciech 91
Kotarbiński Tadeusz 21
Koterbska Maria 78
Kotlarz Roman 166
Kruzel Jan 30, 169
Kumięga Elżbieta 135
Kundera 66
Kwapisiewicz Kazimierz 137
Kwieciński Stefan 12
Lewandowscy 62
Lenartowicz Teofil 18
Lubelski Tadeusz 10
Łukasik Andrzej 165
Maj Maria 145, 146
Maj Zofia 10
Malczewski Jacek 19, 69
Malec Aleksander 141
Malecińska Elżbieta 136
Maleciński 124
Marcinkiewicz Jan 124, 126, 127
Marcinkiewicz Zofia 126, 127
Marconi Henryk 68, 108
Marlica 103
Matys 32, 61
Mayr-Karczewska Iga 14
Mościcki Ignacy 91
Nowocień Stanisław 63
Nosowska Marzenna 136
O'Leary Patrick 48
Orłowska 118
Orzeszko Tadeusz 83, 151, 153
Ostrowska Lucyna 143, 144
Ostrowski Tadeusz 145
Osuchowski 62
Owczarkowie 45
Paciak Władysław 167
Parniewski Włodzimierz 156, 157
Paździor Kazimierz 13
Persz Tadeusz 139
Perygowa Barbara 137
Perzanowska Stefania 155
Pietrzyk Maria 139
Pietrzykowski Mieczysław 139
Piłsudski Józef 73
Poniatowski Stanisław August 36
Poniewierski Edward 10
Popkiewicz Adam 29, 31, 57, 169, 170
Popławska Joanna 141
Potocki 63
Prygiel Janina 143
Przybylski Ludwik 33
Przyborowski Walery 69
Pysiak Wojciech 136
Radke 144
Rajkowski 101
Reymont Władysław 91
Rokoszny Józef 163
Rokosowski Konstanty 77, 125
Romanowska Maria 149
Rosati Dariusz 19, 150
Rosłaniec Franciszek 162
Ruszczyk Leszek 10
Rydzewski Julian 139
Sadlik Karol 26, 29
Schilling Eugeniusz 157
Schnierstein 136
Sedlak Włodzimierz 167
Sempoliński Ludwik 91
Sienkiewicz Henryk 91
Sikorski Władysław 147
Skalik Stanisław 32
Skarżycki Krzysztof 10
Składkowski Felicjan Sławoj 91
Skorżyńscy 67
Słonimski Antoni 132
Sobol Michał 51, 135
Solorz Zygmunt 19
Solski Ludwik 91
Strzembosz Napoleon 36
Strzelecki Bolesław 145, 148, 159, 160
Sykulski Kazimierz 162, 163
Szaflarska Danuta 91
Szafrański Wojciech 10
Szczykutowicz Bolesław 139
Szerling Mieczysław 141, 142

Szymański Maksymilian 65
Tochterman Henryk 69
Tochterman Adolf 156, 157
Tokarczuk Olga 9
Urbańska Janina 115
Urbański Franciszek 115
Wachnicka Anna 31
Wachnicka Anna Petronela 61
Wachnicka Wanda 83
Wachnicka Zofia 49
Wachnicki Antoni 37
Wachnicki Jan Stanisław 31, 33, 36
Wachnicki Wojciech 31, 36
Wajda Andrzej 21, 22, 23
Wańkowicz Kazimierz 139, 149
Wańkowicz Melchior 139
Waszkiewicz Helena 33
Waszkiewicz Ignacy 33
Węgierski Wojciech 62, 125
Wielochorski 32
Winnicka Zoniusia 115
Witkiewicz Ignacy 69
Witkowski Stefan 149
Wlazłowie 63
Włodarczyk Ryszard 137
Wojdan (Masiejewski) Zygmunt 101
Woźniakiewicz Wacław 139
Wroncka Stanisława 146
Wróbel Leokadia 153
Wrześniak – masarz 63, 64
Wyczółkowski Leon 69
Żytnicki Dariusz 10

Redaktor Wydawnictwa
Dorota Pitulec

Redaktor techniczny i korektor
Barbara Łopusiewicz

Skład i łamanie
Małgorzata Myszkowska

Projekt okładki
Beata Dębska

Na okładce wykorzystano zdjęcie z zasobów
Muzeum Jacka Malczewskiego w Radomiu

Kopiowanie i powielanie w jakiejkolwiek formie wymaga pisemnej zgody Wydawcy

© Copyright by Jan Skalik & Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu
Wrocław 2021

ISBN 978-83-7695-833-0

Druk i oprawa: TOTEM

Autor książki jest profesorem nauk ekonomicznych. W swoim dorobku naukowym ma 250 publikacji z ekonomii i nauk o zarządzaniu. Urodził się 30 kwietnia 1943 roku w Pionkach. Ukończył szkołę podstawową w Cerekwi, a maturę uzyskał w 1962 roku w Technikum Przemysłu Skórzanego w Radomiu. Studia ukończył w 1967 roku w Wyższej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu). Na tej uczelni zdobył wszystkie stopnie i tytuły naukowe. Był z nią związany przez 51 lat. Wykształcił 18 doktorów nauk ekonomicznych i 4 doktorów habilitowanych. Obecnie pracuje na stanowisku profesora zwyczajnego na Uniwersytecie Zielonogórskim. Więzy osobiste i emocjonalne profesora z ziemią radomską oraz Wrocławiem jako miejscem studiów i zamieszkania po opuszczeniu rodzinnych stron były powodem do napisania przez niego książki „Podróże w przeszłość", którą w 2013 roku opublikowało Wydawnictwo Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Jej pierwsza część stała się inspiracją do napisania wspomnień zatytułowanych „Mała ojczyzna. Opowiadania o ziemi radomskiej i jej mieszkańcach".

Nasze książki można czytać na
ibuk.pl oraz ebookpoint.pl

Wydawnictwo Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu
53-345 Wrocław, ul. Komandorska 118/120
www.wydawnictwo.ue.wroc.pl

Zamówienia:
tel. 71 36 80 602, e-mail: econbook@ue.wroc.pl
ksiegarnia.ue.wroc.pl

ISBN 978-83-7695-847-7